

Pięć pokoleń niezależnych kobiet  
i ich tajemnice



# SEKRET DRZEWA OLIWNEGO



COURTNEY  
MILLER SANTO

**Courtney Miller Santo**

# **Sekret Drzewa Oliwnego**

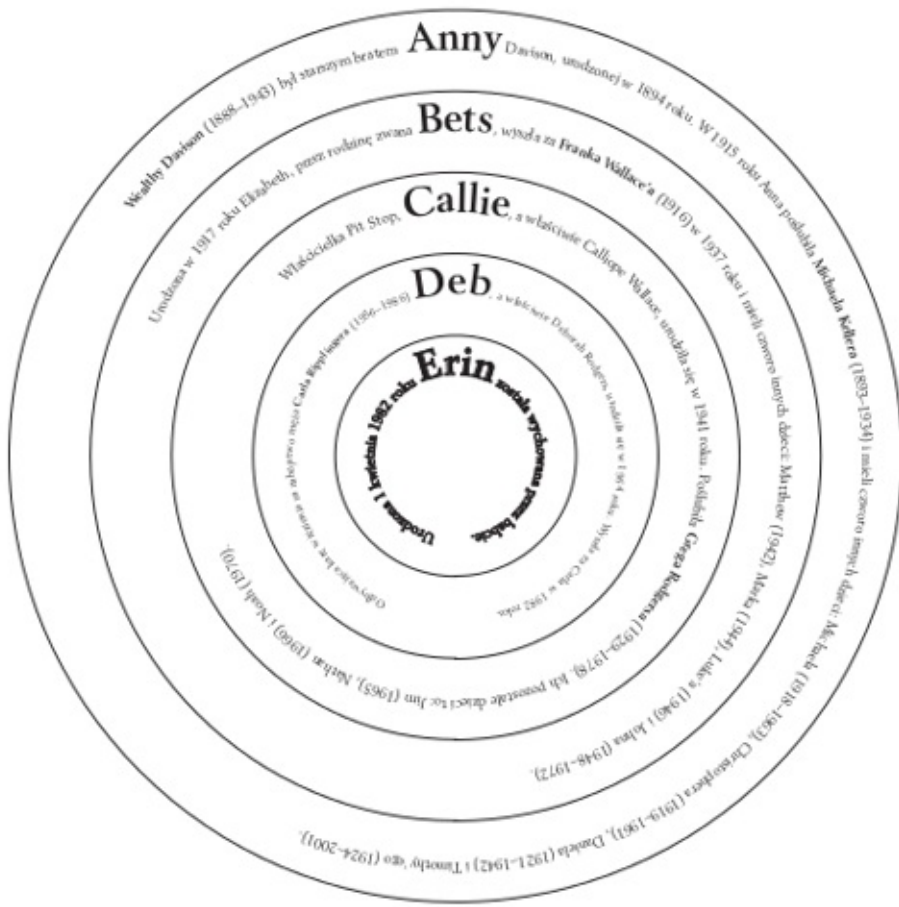
Z angielskiego przełożyła Małgorzata Miłosz



Dla Winnie i Sofii,  
które są początkiem i końcem  
pięciu pokoleń mojej rodziny

W gaju oliwnym potrzeba mądrości w stopach  
i szaleństwa w głowie.

Przysłowie włoskie (sycylijskie)



**CZEŚĆ PIERWSZA**  
**Pierwsze pokolenie**  
**Anna jesienią**

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## Przyjazd

Anna Davison Keller chciała zostać najstarszą osobą na świecie. Uważała, że zasłużyła na ten zaszczyt, gdyż zawsze bardzo troszczyła się o otrzymaną od Boga ziemską powłokę. W razie gdyby Pan akurat patrzył w jej stronę, codziennie rano po wstaniu posłusznie klękała do modlitwy. Mówiła do Pana w Jego języku, prosząc o dodanie kolejnych dni do stu dwunastu lat, które już przeżyła, o zdrowie dla ciała i pokrzepienie kości. Nie sugerowała wprost, żeby Pan spuścił grom z jasnego nieba na długowiecznego Chińczyka, który pozbawia ją tytułu, ale po tylu latach Bóg z pewnością znał jej pragnienia.

Lato 2006 roku było wyjątkowo długie i cała dolina Sacramento wyglądała jak przetrzymane w wazonie polne kwiaty. Pozostała jeszcze godzina do świtu i mimo że zaczął się już listopad, powietrze było ciepłe i ciężkie. Anna ubrała się w ciemności, podczas gdy terier Bobo podgryzał jej piętę, chcąc przyspieszyć moment wyjścia z pokoju. Rozkoszowała się iluzją prywatności, którą zapewniało wstawanie przed świtem. Dzielila dom z córką i wnuczką, chociaż często ze względu na wiek ludzie brali je za trzy siostry. Ludzie widzą to, co chcą, a w oczach młodych kobieta, która przekroczy sześćdziesiątkę, i kobieta, która przekroczy setkę, wyglądają podobnie. Od kilku dni przygotowywała się na przyjazd doktora, genetyka, który zamierza prowadzić badania nad długowiecznością jej i jej potomstwa. Powiedziano jej, że doktor poszukuje klucza do długowieczności ukrytego w genach niektórych ludzi, których nazywa superstulatkami. Anna pomyślała, że jego badania przypominają poszukiwanie Świętego Graala, ale nie odważyła się tego powiedzieć głośno.

Dzięki Bogu, że przyjeżdża już dzisiaj, całe to oczekiwanie niekorzystnie wpływało na jej życiowe czynności, na przykład na sen. Zeszłej nocy śniły się jej pępowiny i twarz kobiety, której nie potrafiła rozpoznać. Straciła także apetyt. Gdy tylko próbowała coś zjeść, miała wrażenie, że jej żołądek wypełniają jego własne kwasy. Musiała zająć czymś myśli, a dziś, po zakończeniu zbiorów, pozostawione na drzewach oliwki już na nią czekały.

Rzuciła Bobowi skórki od tosta i poszła za nim na ganek, czekać na świt.

Porastająca zbocze trawa w ciemności była szara i ciężka od rosy. Bobo zbiegł po schodach i pomknął przez trawnik, do rodzinnego gaju. Anna nie widziała w ciemności drzew oliwnych, ale słyszała szeleszczące w podmuchach wiatru liście. Poprzedniego dnia zakończyły się zbiory. Zacisnęła usta. Niespokojny, stłumiony wewnętrzny głos usiłował

wydobyć się na zewnątrz: *Trzeba pozbierać owoce. Oliwki tak dojrzałe, że ich skóra pęknie pod najlżejszym dotykiem. Każdy podmuch wiatru zrzuca na ziemię dziesiątki owoców. Gniją tam i karmią szkodniki.*

Po każdym zbiorach borykała się z poczuciem winy. Mogli zebrać jedynie dziewięć dziesiątych plonów. Nigdy nie potrafiła się pogodzić z takim marnotrawstwem. Nadmierna oszczędność to brzemień odziedziczone po rodzicach. Jak to ludzie mówili? Pokaż Szkotowi albo Irlandczykowi wieżę Eiffla, to spyta, co za głupek zmarnował tyle dobrej stali. Tak więc, pomimo oczekiwanej wizyty genetyka, Anna naciągnęła stojące na ganku zabłocone kalosze i opróżniła kosz z podpałką. Bóg świadkiem, jeśli nie ona, nikt inny tego nie robi. Przypominało to trochę walkę z wiatrakami, ale chciała wierzyć, że któregoś roku uda się jej wyzbierać wszystkie owoce, co do jednego.

Schodząc ze wzgórza, spotkała Boba. Schyliła się, żeby pogłaskać go po łepku, zanim pobiegnie w stronę domu. Ze zdziwieniem stwierdziła, że jej myśli przeniosły ją z listopadowego poranka do momentu sprzed ponad stu lat. Anna wiedziała, że czas nie zawsze układa się w linii prostej, bo chwilami wspomnienia jej zmarłych w latach trzydziestych rodziców były tak bliskie i żywe, jakby wracały tamte dni. Wiedziała, że mózg rejestrował każdą sekundę jej życia i czasami zaskakiwał ją obrazem zdarzenia, którego nigdy wcześniej sobie nie przypominała.

We wspomnieniu, które ją teraz ogarnęło, czuła zapach wilgotnej flaneli i słyszała śmiech. Anna i jej brat Wealthy mieli zbierać opadłe oliwki. Na pokrytej rosą ziemi wyznaczone były dwa kwadraty – jeden na dobre owoce, drugi na popękane lub wyschnięte. Oni jednak, zamiast sortować oliwki, siedzieli po turecku i grali w łapki. Była dużo wolniejsza niż brat i jej dłonie poczerwieniały od ciągłego uderzania. Trzymała ręce tuż nad rękami Wealthy’ego i wypatrywała w jego oczach pierwszych oznak ruchu. Z całej siły pragnęła wygrać, żeby mieć okazję plaskać w ręce brata. Żadne nie widziało nadchodzącego ojca.

Był szczupłym mężczyzną. Anna wyobrażała sobie, że gdyby zdjąć z niego skórę, tak jak struga się korę, znalazłaby pod spodem zielonkawe drzewo. Jego klapsy bolały jak uderzenia witki. Ojciec chwycił uszy Wealthy’ego w obie ręce i wydarł się na nich za marnowanie czasu. Korzystając z okazji, Anna pacnęła dłonie brata i poderwała się do ucieczki. Pamięta, jak odwróciła się, żeby spojrzeć na ojca i brata, dostrzegła ich otwarte usta i złość przechodzącą w uśmiech, po czym upadła.

Skaleczenie nie było duże i nie pozostała po nim blizna, ale krwawiło, jakby przecięła tętnicę.

– Rany głowy zawsze są niebezpieczne – powiedział ojciec, wpatrując się w małe rozcięcie nad lewą brwią. Przycisnął skaleczenie chusteczką i wysłał Wealthy’ego, żeby



nazbierał jak najwięcej pajęczyn. Chłopiec wrócił z kulką posklejanych nitczek i oboje cierpliwie nakładali je na ranę, aż krew prawie przestała się sączyć.

Anna zatrzymała się na skraju trawnika i zakłęła. Poranne słońce nie oświetlało dostatecznie gaju. Drzewa oliwne zatrzymywały i rozpraszały nawet południowe promienie słońca w taki sposób, że gaj pozostawał ocieniony. Powinna była pamiętać o świetle. *Psiakrew*. Nie znosiła popełniać tak głupich błędów. Poczowała niepokój i przejechała palcami po brwi. Wygładziła zmarszczki i przesunęła opuszkami po reszcie brązowych włosków. Nic. Żadnego zgrubienia czy zmiany na skórze, która uwiarygodniłaby jej wspomnienia, ale mimo to ufała swojej pamięci.

Niebo zmieniło się z fioletowego na niebieskie. Na przekór własnemu zapominalstwu Anna poszła na skraj gaju, gdzie było wystarczająco widno, żeby pozbierać resztę owoców. Dotykała rosnących z brzegu gałązek, starając się wyczuć kształt i ciężar oliwek, które będą się nadawały do wyciśnięcia. Napełniała kosz, a jej myśli wróciły do pajęczych nici i zapomnianych metod leczenia. Martwiło ją, że tego typu wiedza nie jest przekazywana z pokolenia na pokolenie. Pragnęła, żeby ktoś jej wysłuchał. Naprawdę wysłuchał. Świat nienawidzi starych ludzi. Nawet jej rodzina uważa, że Anna nie może ich już niczego nauczyć. Nikt z nią już niczego nie konsultuje, a gdy ona o czymś opowiada, córka albo wnuczka zawsze jej przerywają. Brakuje im właściwej perspektywy, nie rozumieją, jak wiele Anna ma jeszcze do przekazania.

Potrzebowałaby następnego życia, żeby wyjawić im wszystkie swoje sekrety, a przecież przeżyła już dwa życia.

Światło zaczęło ześlizgiwać się po zboczach doliny i Anna chciała wejść w głąb gaju, ale koszyk był prawie pełen. Córka ponownie wykrzyczała jej imię, tym razem z nutą niepokoju, przy czym zawtórował jej cienki głos wnuczki. Anna cieszyła się, że jest potrzebna. Rosa parowała z oliwnych liści jak dym. Wspinając się na wzgórze, po cichu dziękowała, że najstarsze córki zawsze zostawały w pobliżu – przywiązane do oliwek, rdzawej ziemi, siedliska i Anny.

– Tu jesteś! – powiedziała Elizabeth, a właściwie Bets, bo nikt nie nazywał jej córki pełnym imieniem.

– Jak możesz włóczyć się tak po ciemku? – zapytała Calliope.

– Na początku był ze mną pies – odparła Anna.

Trudno jej było uwierzyć, że córka i wnuczka wyglądają tak staro.

– Mimo wszystko się martwię – powiedziała Bets.

Była postawną kobietą o karnacji nieco ciemniejszej niż reszta rodziny, obdarzoną gęstymi brwiami i głęboko osadzonymi oczami. Zbliżała się do dziewięćdziesiątki i podobnie jak w przypadku innych kobiet z Kellerów wiek jej nie spowalniał. Pozwoliła

posiwieć włosom, które w ciągu paru ostatnich lat zjaśniały i w słońcu mieniły się niczym srebro.

– To jest nas dwie – dodała Callie przez siatkowe drzwi.

Anna zdjęła zabłocone buty i usiadła na ganku na jednym z bujanych foteli. Callie powinna pozwolić włosom posiwieć, pomyślała. W tym miesiącu zniszczone od nadmiaru chemikaliów włosy jej wnuczki miały odcień miedzianego blondu. Callie odmawiała również noszenia bezkształtnych ubrań dla starszych pań. Mimo że była dobrze po sześćdziesiątce, wciskała się w gorsety i nosiła bieliznę modelującą jej biust w spiczaste piramidki. W gruncie rzeczy Annę najbardziej drażnił jednak jej sposób chodzenia. Callie kulała w wyniku wypadku, który zdarzył się wiele lat temu, i według Anny zaczęła się prowokacyjnie pochylać w jedną stronę. Callie twierdziła, że zawsze chodziła w ten sposób, ale Anna była przekonana, że wnuczka nabyła tych wyzywających ruchów po tym, jak jej noga roztrzaskała się na drobne kawałki.

– Babciu? Słuchasz mnie? – spytała Callie poprzez siatkowe drzwi. – Co o tym myślisz?

– O czym?

Bets uchyliła lekko drzwi.

– O tym, żeby poczęstować doktora lunchem – wyjaśniła.

– Powiedz babci, żeby zostawiła te zabłocone buty na trawie, później je wyczyszczę – powiedziała Callie i zaczęła przeglądać zawartość lodówki, zastanawiając się na głos, czy wystarczy czasu, żeby odmrozić pieczeń.

Genetyk to pomysł Callie, która mitologizowała swoją rodzinę. Od małości odczuwała potrzebę odróżniania się od reszty świata i wkładała mnóstwo energii w budowanie swej indywidualności. Anna obwiniała jej ojca. To on nalegał na to wymyślne imię.

Calliope – ładne słowo, ale okropne imię. Nie chciała go wymawiać, dlatego zwykle używała zdrobnienia.

– Wszystko w porządku, babciu? – spytała Callie przez drzwi.

Anna musiała wypowiedzieć jej imię głośniej, niż zamierzała. Nie chcąc, by wyszło głupio, poprosiła o szklanekę ciepłej wody, z kroplą oliwy i plasterkiem cytryny. Usadowiła się w fotelu bujanym i zaczęła przebierać oliwki. Zepsute rzucała pulchnym ptaszkom, które grzebały w ziemi w poszukiwaniu owadów.

– To jest twój sekret? – zapytała Callie, podając jej szklanekę, i usiadła na fotelu obok. Ze względu na nogę nie mogła długo stać. – Może powinniśmy powiedzieć Amritowi, że nie ma sensu robić analiz krwi, że sekret długowieczności to sok z cytryny, oliwa z oliwek i H<sub>2</sub>O?

– Amrit? Myślałam, że nazywa się Hashmi, doktor Hashmi – odrzekła Anna.

Zaskakiwała ludzi tym, że wciąż ma w pełni sprawny umysł. Zdawała sobie sprawę, że jej wiek i przypominająca pestkę brzoskwini twarz sprawiały, iż ludzie zakładali, że nie wie, co się dookoła niej dzieje. Od paru tygodni starała się zapamiętać nazwisko genetyka, nawet czytała o jego badaniach, żeby podczas spotkania uświadomić mu, że stara nie znaczy zniedołężniała.

Callie oblała się rumieńcem.

– Nie, nie. Masz rację, powinniśmy nazywać go doktor Hashmi, po prostu tak często z nim rozmawiałam, że czuję, jakbyśmy zostali przyjaciółmi.

– O czym rozmawialiście?

– O nas, o tobie. O tym wszystkim. – Calliope odwróciła wzrok od Anny i wpatrywała się w gaj. Wyjęła z kieszeni małą białą pigułkę i połknęła. – Nie jest zainteresowany jedynie twoją długowiecznością. Fascynują go pokolenia i pierwородne potomstwo. W Indiach zdaje się córki uważane są za ciężar.

Anna nie mogła się powstrzymać i odpowiedziała irlandzkim przysłowiem, które słyszała z ust matki niezliczoną ilość razy.

– Syn jest synem, póki nie weźmie żony, córka jest córką na całe życie.

Wszyscy synowie Anny zmarli (ostatni pięć lat temu), ale żeńska linia pozostawała nienaruszona – pięć pokoleń pierwородnych córek. Anna kołysała się i recytowała swą prywatną litanie:

– Anna powiła Elizabeth, Elizabeth powiła Calliope, Callie powiła Deborah, a Deborah powiła Erin.

– Zawsze znajdzie się miejsce dla synów – powiedziała Bets, wychodząc na ganek.

Anna wiedziała, że jej córka jest dumna z chłopców, mimo że wszyscy opuścili Kalifornię i osiedli w miastach, skąd pochodziły ich żony.

– Callie powiedziała, że tam, skąd pochodzi ten doktor, córki uważa się za ciężar – powiedziała Anna.

– Wszyscy zawsze pragną synów, ale czasy się zmieniają. Synowie odchodzą poznawać świat. Nie widziałam moich chłopców już dwa czy trzy Boże Narodzenia, chociaż Matthew chciał, żebym przyjechała w zeszłym roku do Bostonu.

– W Indiach jest inaczej – odrzekła Callie. – Jeśli chcesz wydać córkę za mąż, musisz za nią zapłacić.

Anna pomyślała, że jej wnuczka jest romantycznie zainteresowana genetykiem. Sama była wdową od kilku dekad i nigdy nie pragnęła w swoim życiu innego mężczyzny. Callie natomiast była niezwykle kochliwa.

– Pomyśleć, ile mogłabym zarobić. Pięciu dorodnych synów mogłoby mi zapewnić wystarczająco dużo pieniędzy, żeby opuścić Kidron i przenieść się do Australii –

rozmarzyła się Anna.

– Może i byli dorodni, ale z pewnością nie grzeszyli inteligencją – odparła Bets. Nigdy nie mogła się powstrzymać, żeby nie dopiec braciom, nawet po ich śmierci.

– A ja myślę, że to romantyczne – powiedziała Callie.

Anna przyjrzała się wnuczce. Pomimo soboty miała na twarzy niedzielny makijaż, dzinsy za sto dolarów, w których, jak twierdziła sprzedawczyni z Nordstrom, wyglądała na góra pięćdziesiąt lat, zamiast na swoje sześćdziesiąt pięć. Anna uważała, że absolutnie każdy wygląda śmiesznie w ogrodniczkach. Wygładziła spódnice i ściągnęła ze szwu zabłąkaną nitkę.

– To nauka, nie romans – odrzekła Anna. Nie chciała, żeby Callie robiła sobie niepotrzebne nadzieje, tak jak zdarzyło się to jakiś czas temu, gdy nawiązała kontakt telefoniczny z jednym z dostawców i myślała, że znalazła prawdziwą miłość.

– Callie wie – wtrąciła Bets. Jej córka nie lubiła konfliktów, więc Anna nie była zdziwiona, że Bets zmieniła temat. – O której ma przyjechać?

– Przed lunchem – odrzekła Callie i zaczęła poprawiać bluzkę, aż całkowicie zakryła dekolt.

– W takim razie pomóż mi przy oliwkach – poprosiła Anna. – Zdążymy je jeszcze wycisnąć i będzie świeża oliwa na lunch.

– Zbieracze zrobili w tym roku kawał dobrej roboty. Lindseyowie twierdzą, że ich ekipa zbierała tonę z akra, u nas było podobnie – zauważyła Bets.

Anna była innego zdania.

– Zostało jeszcze dużo do zebrania.

Bets westchnęła i połknęła przynętę.

– A co? Według ciebie nie zebrali wystarczająco dużo oliwek? Wiem, że Benny zatrudnił nowego brygadzystę, ale to syn Diega i wiesz, że pracował z ojcem na polach Lindseyów, odkąd nauczył się chodzić.

Anna spojrzała na lejek ręcznej prasy, którą trzymały na ganku. Potrzebowała jeszcze jednego kosza oliwek.

– Nie mówię, że pracownicy zrobili gorszą robotę niż w zeszłych latach. Ale z pewnością praca nie była zrobiona lepiej niż w roku, gdy wszyscy mężczyźni byli na wojnie, a zbiory spadły na kobiety i dzieci.

– Tata zawsze twierdził, że kobiety lepiej zbierają. Jakie jest to stare przysłowie? – zapytała Beth.

– W gaju oliwnym potrzeba mądrości w stopach i szaleństwa w głowie – odparła Anna z uśmiechem. Przypomniała sobie słowa ojca, że tylko kobiety miały wystarczająco dzikie dusze, żeby wyczyścić drzewko co do jednej oliwki. Nie mówił tego jako komplement, ale

Anna tak to przyjmowała.

– Nigdy nie mogłam tego zrozumieć. – Callie pokręciła głową. – Myślę, że powinniśmy pozwolić zbieraczom używać maszyn. Miałybyśmy pewnie tonę i ćwierć z akra. – Tym stwierdzeniem otworzyła odwieczną dyskusję i Anna pomyślała, że wnuczka szuka po prostu tematu do rozmowy.

– Hałas zabiłby mnie, a szarpanie zapewne zabiłoby drzewka – odpowiedziała pogodnie. Wiedziała, że Callie chce wywołać dyskusję, bo Bets ucięła rozmowę o doktorze.

Callie często mówiła ludziom, że tego dnia, gdy babcia nie będzie się oburzać, zaczną planować jej pogrzeb. Wszystkich to niezmiernie bawiło, zwłaszcza młodych, którzy nie wyobrażali sobie, by w wieku Anny można było nie mieć kilkakrotnie zaplanowanego pochówku.

Siedziały na ganku, wałkując stare żale, aż suchy listopadowy wiatr wygonił je do domu. Anna schyliła się po kosz z zamiarem ponownego odwiedzenia gaju, gdy usłyszała chrzęst kół samochodu na żwirowym podejździe.

– Przyjechał za wcześnie – stwierdziła Callie, po czym podniosła się i pokuśtykała do głównego wejścia. Pies, zbyt stary, żeby usłyszeć samochód, podniósł się, dopiero gdy nad nim przeszła.

Bets przytrzymała drzwi przed Anną i spojrzała na stojący na pianinie pozłacany brązowy zegar.

– Ciekawe, w jaki sposób udało mu się tak szybko przyjechać z lotniska. W Oakland zawsze jest taki ruch.

Przed głównym wejściem nie było ganku. Na żwirowy podjazd prowadziły trzy betonowe, półokrągłe schody. Anna zatrzymała się na najwyższym z nich i osłoniła oczy od słońca, gdy ciemnoniebieski sedan podejźdzał pod dom.

– Dlaczego jedzie tak wolno? – zaniepokoiła się Callie.

– Pewnie nie wykupił ubezpieczenia – odparła Bets. – Kazaliby mu zapłacić za najmniejszą rysę.

Anna przymrużyła oczy i zobaczyła, że za kierownicą siedzi kobieta. Bobo zaskoczył wszystkich – stanął na tylnych łapach, wyciągnął przednie do góry i wywinął salto. To była sztuczka, której nie robił od wielu lat. Samochód zatrzymał się i Anna zdała sobie sprawę, że nie przywiózł oczekiwanego gościa, gdy z auta wysiadła jej praprawnuczka Erin.

# ROZDZIAŁ DRUGI

## Erin

Erin wyjechała z Kidronu dwa lata wcześniej, po ukończeniu college'u, i była to jej pierwsza wizyta w domu. Mówiła zbyt szybko, żeby Anna mogła coś zrozumieć, ale było oczywiste, że wpadła w jakieś kłopoty. Miała cieniutki głosik, ziemistą cerę, a jej gesty przeczyły słowom.

– Potrzebuję chwili oddechu, ten stres... – a tymczasem jej ręce zatoczyły krąg, jakby chciały zasygnalizować jakiś większy problem, tak wielki, że nie sposób o nim mówić.

Pies wspiał się na kolana Erin i zwinął w kulkę.

– Musisz coś zjeść – oznajmiła Bets, przynosząc talerz oliwek i krakersów. – Jesteś zbyt chuda i masz zapadnięte policzki. Czym oni cię tam karmią? Myślałam, że we Włoszech jedzą tylko makaron i chleb.

– Przyleciałaś nocnym lotem z Nowego Jorku? Dlaczego nie zadzwoniłaś, żeby nas uprzedzić? Nie musiałybyś wynajmować samochodu, przyjechałabym po ciebie.

Erin pozwoliła Callie trajkotać i nie odpowiadała na żadne z jej pytań. Oparła głowę na jej ramieniu i zamknęła oczy.

– Musimy położyć ją spać. – Anna chciała porozmawiać z córką i wnuczką na osobności. Musiały zebrać do kupy strzępki informacji, które każda posiadała, i razem zastanowić się nad dziwnym zachowaniem Erin.

– Jestem już wystarczająco duża, żeby sama położyć się spać – rzekła Erin, nie otwierając oczu, i Anna zaczęła podejrzewać, że dziewczyna płacze. – W ostatniej chwili zdecydowałam się na przyjazd i było już za późno, żeby dzwonić.

Bets głaskała ją po głowie i szeptała kojące słowa. Jedynie Anna dostrzegła, że podobna scena już raz miała miejsce. Gdy Erin była dzieckiem, straciła rodziców i niespodziewanie zamieszkała z nimi w Hill House. Anna wsłuchiwała się w hipnotyzujący głos Bets – był w nim pewien rytm, tempo, które kołysły instynkt ucieczki – a potem patrzyła, jak jej córka, osoba w wieku, w którym sama mogłaby potrzebować pomocy, zaprowadziła Erin do jej dawnego dzieciennego pokoju. Bobo pobiegł za nimi.

Anna otworzyła sekretarzyk w salonie i wyjęła wszystkie papiery związane z pobytem Erin we Włoszech. Było tam kilka napisanych na cieniusieńkim papierze listów wypełnionych opisami pozostałych muzyków z opery, wycieczek krajoznawczych i wyjątkowo długa relacja o tym, jak Erin obawiała się, że zostawiła w autobusie nuty. Był tam także pakiet informacyjny, który Erin dostała, podpisując kontrakt z Akademią

Santa Cecilia.

Callie i Bets przyszły do pokoju i usadowiły się na sofie. Rozmowa z Erin nie zmęczyła ich, a wręcz przywróciła im resztki młodości. Rozmawiały ze sobą po cichu i Anna nawet nie próbowała usłyszeć, o czym mówią. Szukała kopii kontraktu, który dostała od Erin, gdy spytała, z czego dziewczyna zamierza żyć we Włoszech. Erin miała pieniądze, o których nie wiedziała – z polisy ubezpieczeniowej jej ojca – ale Anna czekała na właściwy moment, żeby jej o nich powiedzieć. Wreszcie znalazła to, czego szukała, pod stosem listów. Rozłożyła papier i zobaczyła, że wszystko napisane jest po włosku. Na nic.

– Ma jakieś kłopoty – powiedziała Bets, wciągając Annę do rozmowy.

– Jeszcze nigdy tak bardzo nie przypominała swojej matki – zauważyła Callie. – Może powinniśmy przeszukać samochód? Muszą być tam jakieś wskazówki, dlaczego tak nagle przyjechała.

Bets wzięła od Anny papiery i zaczęła je przeglądać.

– Może przeczytasz niektóre słowa – powiedziała do córki. – Hiszpański i włoski są do siebie podobne. Obydwa należą do języków romańskich, prawda?

– Wcale nie są podobne – odparła Callie, nawet nie spoglądając na papiery. – Nie jestem pewna, czy powinniśmy się wtrącać. Jak będzie gotowa, sama nam o wszystkim powie.

– Jej matka nigdy nam o niczym nie mówiła – zauważyła Bets, poprawiając kosmyk srebrnych włosów, który wysmyknął się z jej koka.

Anna wiedziała, że powinna włączyć się do ich rozmowy. Poczucie odpowiedzialności i wzajemne obwinianie się za to, co stało się z matką Erin, były tak głęboko zakorzenione, że na zawsze zmieniły ich wzajemne relacje.

– Każda kobieta ma prawo do sekretów – powiedziała, myśląc o wszystkim, co ukrywała przed własną matką i córką, czyli o podejrzeniach, że żadna z nich nie jest tym, kim myśli.

Bets wstała i zebrała z sofy papiery. Była tak wysoka jak ojciec i odziedziczyła jego brodę – spiczastą i kanciastą, chociaż on zwykle nosił zarost, który łagodził rysy twarzy. Bets nie miała tej możliwości i ludzie często odnosili wrażenie, że jest zbyt krytyczna.

– Gdybyśmy wiedziały, mogłybyśmy temu zapobiec – powiedziała. – Nie zamierzam dopuścić do kolejnych sekretów tylko dlatego, żeby chronić czyjaś jakże ważną prywatność. Mam gdzieś prywatność.

Anna usłyszała trzaśnięcie drzwi i chrzęst stóp Bets na żwirze.

– Niczego nie znajdzie – powiedziała do Callie. – Zajrzałam do samochodu, gdy Erin wysiadła cała zapłakana, i nie widziałam żadnego bagażu, tylko papier po hamburgerze.

– To nie ma znaczenia. Mama myśli, że znowu stanęłaś po mojej stronie. – Callie

spojrzała na zamknięte drzwi pokoju Erin.

– Nie ma żadnych stron – powiedziała Anna, biorąc wnuczkę za rękę. – Nigdy nie było żadnych stron. Wszystko jest jednym wielkim, niekończącym się cyklem.

– Nie chcę tu siedzieć, gdy wróci – oznajmiła Callie.

Była nadąsana, jakby znów miała czternaście lat, długie czarne włosy i opalone nogi. Wiecznie w biegu. Jako dziecko, a później jako nastolatka uciekała Bets, nie dawała się okiełznać. Wszystkie jej marzenia i życzenia niezmiennie zakładały ucieczkę z Kidronu. Callie zawsze uważała, że wielki, nieznany świat czeka na nią z otwartymi ramionami.

– Chodź ze mną do gaju, potrzebuję jeszcze jednego kosza oliwek – zaproponowała Anna z nadzieją, że będą mogły spokojnie porozmawiać.

Callie pomasowała nogę przez sztywne dzinsy.

– Za bardzo mnie boli, żeby iść tak daleko. Zacznę robić obiad, muszę wymyślić nowe danie, bo Erin nie zje tej pieczonej szynki.

Anna wstała i podziękowała Bogu za sprawne ciało. Nigdy nie znosiła bezczynności. Callie nie wykorzystywała swej ułomności, żeby próżnować, ale mogła chować się w kuchni czy spiżarni i wykonywać tylko te prace, które lubiła. Anna wyciągnęła z szafy sweter, wzięła kosz i wyszła tylnymi drzwiami do gaju. Przyjazd Erin sprawił, że dzień wydał się jej chłodniejszy.

Gdy przyjedzie genetyk, dom będzie w stanie chaosu. Anna zastanawiała się, jakim człowiekiem jest doktor Hashmi i czy zauważy panujący wokół niego zamęt. Mężczyznom zwykle brakuje intuicji. Zeszła ze wzgórza i odwróciła się, żeby spojrzeć na dom. Był budowany etapami. W miarę jak rodzina powiększała się i bogaciła, dodawali nowe pokoje. Podobnie jak wiele posiadłości w dolinie Sacramento, wzorowano go na zabudowaniach misji, które Hiszpanie opuszczali po przegranej wojnie. Parterowy, z tynkowanymi ścianami i pokrytym dachówką dachem. Stojąc z tyłu, widziała dwa prostopadłe skrzydła odchodzące od najstarszego zabudowania. Większość północnego skrzydła zajmowała kuchnia, w której przez wiele lat przetwarzali swoje oliwki. Południowe skrzydło, które zawierało trzy sypialnie i łazienkę, było nieco dłuższe. W głównym budynku mieściła się niedawno odnowiona największa sypialnia, salon, jadalnia i biblioteka.

Dom, który od zawsze nazywali Hill House, został zbudowany przez ojca Anny, Percy'ego Davisona. Anna często zastanawiała się, w jaki sposób mężczyzna mógł skonstruować dom tak idealny dla zamieszkujących go kobiet. Pamiętała, jak wprowadzili się tu z porozstawianych na skraju gaju namiotów; ojciec nie nazwał go wtedy zamkiem, ale świątynią. Nie był to najstarszy dom w Kidronie, ale jako jeden z nielicznych w tej części doliny stał na wzgórzu i wraz z należącym do jednej rodziny od ponad stu lat gajem



stanowił przystanek na przebiegającym przez miasteczko szlaku turystycznym. Broszura, którą Anna powiesiła na lodówce, nazywała go „San Simeon Kidronu”. Oczywiście był dużo mniejszy, ale jak na Kidron i tak dostatecznie imponujący i prywatnie Anna zgadzała się z tym porównaniem. Nigdy głośno się do tego nie przyznała z obawy, że świat nie podziela jej wizji miasteczka i posiadłości.

Im bliżej podchodziła do gaju, tym młodziej się czuła. Weszła między przewyższające ją o zaledwie parę centymetrów drzewa i poczuła woń zgnilizny. Nieubłaganie zbliżała się jesień, ale tu, wśród szaro-zielonych liści drzewek oliwnych, cały czas panowało lato. Owoce zaczęły zmieniać kolor z zielonkawego na fioletowy. Sięgnęła i chwyciła najbliższą gałązkę. Szelest liści poruszanych jej dłonią i dźwięk spadających do kosza oliwek brzmiały jak głos ojca, który znał tyle opowieści, ile gwiazd na niebie, a początkiem i zakończeniem każdej z nich były drzewa.

# ROZDZIAŁ TRZECI

## Kidron

Anna kochała swojego ojca, ale nigdy go specjalnie nie lubiła. Podejrzewała, że wszyscy to czują w stosunku do jednego z rodziców, albo przynajmniej brata lub siostry. Bóg nie ma w zwyczaju otaczać cię ludźmi, których łatwo kochać – życie to jeden wielki test. Bo jak możesz kochać mazgajowatego, chorowitego brata? Czy możesz kochać swoją głupią, chociaż pełną jak najlepszych chęci matkę lub zimnego jak stal ojca? Anna zawsze mówiła dzieciom, że żadne z boskich przykazań nie nakazuje lubić ludzi, i przez lata nauczyła się, że można kogoś kochać, nie mając dla niego w sercu wiele sympatii.

Pod nieprzeniknionym spojrzeniem ojca Anna zawsze czuła się niewystarczająco dobra. Poczucie, że ani ona, ani jej starszy brat nie spełnili oczekiwań ojca, sprawiło, że Wealthy opuścił dom, a Anna została w Kidronie. Zabawne, jak dwoje ludzi wychowanych w tym samym domu może odmiennie reagować. Oczywiście rodzisz się z określonymi cechami. Doświadczenie Anny mówiło, że wychowywanie dzieci jest nie tyle modelowaniem gliny, co odłupywaniem granitu przy pomocy noża kuchennego. Jej ojciec nigdy nie próbował zmieniać swoich dzieci, po prostu był rozczarowany, że nie potrafiły spełnić jego oczekiwań. Jakiś tydzień po jego śmierci Anna znalazła w Biblii kartkę papieru, która to potwierdzała. U góry napisał swym pochyłym pismem „Wspaniałe życie Percivala Keenana Davisona”, a pod spodem widniała lista:

1. Pierwszy człowiek, który zaczął uprawiać oliwki w Kalifornii
2. Dwukrotny mistrz Meath w zapasach
3. Znalazca piątego pod względem wielkości aluwialnego samorodka złota w Au stralii
4. Przeniósł Kidron na obecne miejsce
5. ~~Ojciec Wealthy’ego Davisona i Anny Davison Keller~~ Leciał samolotem

Anna nie wiedziała, czy wykreślił dzieci z listy, bo chciał udokumentować innego rodzaju osiągnięcia, czy też gdy dorosły, okazały się mniejszym osiągnięciem niż lot dwupłatowcem na festynie.

Wiedziała, że lista nie była całkowicie zgodna z prawdą. To Hiszpanie jako pierwsi sprowadzili oliwki do Nowego Świata. Gdy podbili Kalifornię, sadzili gaje oliwne wokół swoich misji, wykorzystując oliwę do obrzędów religijnych. Podobnie jak większość religii, drzewa oliwne potrzebowały cywilizacji, żeby przetrwać, i kiedy Hiszpanie wyjechali, pozostawione przez nich gaje zmieniły się w dziki, wyjałowiony busz. Percy przyjechał pół wieku później, mógł więc jedynie przypisać sobie zasługę wskrzeszenia upraw oliwnych.

Veda, matka Anny, nazywana Mims, twierdziła, że samorodek był wielkości dwóch

pięści. Wspólnicy oszukali Percy'ego i w rezultacie rodzice Anny opuścili Australię z sumą pieniędzy, która ledwie wystarczała na osiedlenie się w Kalifornii. Gdy wyjechali z Brisbane, Anna miała zaledwie cztery lata, nie rozumiała więc, dlaczego musieli zaczynać wszystko od nowa. Wiedziała tylko, że przeprowadzka miała coś wspólnego z astmą Wealthy'ego i żałobą matki po śmierci dzieci, które straciła między narodzinami Anny i jej brata.

Mieszkańcy Kidronu opowiadali o Percym dziesiątki historii, te zaś na różne sposoby mijały się z prawdą o ojcu, którą znała Anna. Gdyby był bardziej rozmowny, może księgi historyczne byłyby bardziej zgodne, ale przynajmniej wiadomo, co wydarzyło się po ich przyjeździe do doliny Sacramento. Rodzina Davisonów przybyła do San Francisco w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym roku. Po wielu tygodniach przebywania na zatłoczonym statku Percy nie mógł znieść tłumów, odstręczał go smród miasta, wyruszył zatem na poszukiwanie ziemi w łagodnym klimacie.

Anna, Wealthy i ich matka zostali w motelu i strzegli najcenniejszego rodzinnego skarbu – sześciu drewnianych skrzyń z sadzonkami. Anna wiedziała, że zabrali z Brisbane więcej drzewek, ale nie wszystkie przetrwały podróż. Przez wiele lat jej rodzice używali skrzyń jako stolików nocnych. Anna wyrzuciła je dopiero po ich śmierci i kupiła zestaw z katalogu Penney's. Czasami żałowała, że to zrobiła, ale wtedy jeszcze nie ceniła przedmiotów z historią.

Ostatecznie Percy zdołał rozplątać połowę drzewek. Pieniądze przeznaczone na budowę domu wydał na roczne drzewka z Hiszpanii i połączył je z odnózkami tych przywiezionych z Australii. Przechadzał się po okolicy wokół Kidronu, odcinając pędy dziko rosnących drzew oliwnych. I z zadowoleniem patrzył, jak szybko rośliny przyzwyczały się do nowej ziemi. W ciągu roku urosły na wysokość trzyletnich drzewek z Australii. Wyliczył, że nie po dziesięciu, ale już po sześciu latach urodzą tyle owoców, że spłaci inwestycję i zacznie odkładać pieniądze. Głównym problemem Percy'ego był brak pieniędzy. Ojciec Anny nie miał wystarczająco dużo gotówki, żeby czekać sześć lat na zbiory. Potrzebował zaufania inwestorów, którzy zrozumieliby jego wizję podzielenia ziemi na małe dziesięcio- i dwudziestoakrowe działki zapewniające rodzinie utrzymanie. Dwóch największych posiadaczy ziemskich w hrabstwie Tehama, James Mayfield i John Woodburn, szybko dało się namówić na urzeczywistnienie wizji Percy'ego. Gdy tylko podano do publicznej wiadomości lokalizację linii kolejowej, wspólnicy ogłosili powstanie Maywood Colony. Podzielili całą ziemię na dziesięcioakrowe działki i posadzili po dziewięćdziesiąt drzewek na każdym akrze, po czym rozreklamowali się w najlepszych gazetach, obiecując ponad stuprocentowy zysk na ziemi. Było to zresztą niemal zgodne z prawdą. Dochód z drzewek umożliwiał nabywcom spłatę rat za ziemię i domy,

zapewniając także pieniądze na utrzymanie. Inwestorzy zatrudnili Percy'ego do doglądania drzewek i płacili mu procent od każdej sprzedaży.

Była to bardzo udana inwestycja. Księga pamiątkowa Kidronu przedstawiała Percy'ego jako wizjonera – człowieka, który przewidział, że motorem rozwoju Zachodu staną się nowi osadnicy, ludzie łaknący przestrzeni, której nie znajdą na zatłoczonym wschodzie kraju. A także znudzone hodowlą bydła lub pragnące uwolnić się od niepewności cen pszenicy dzieci farmerów. Percy żył wystarczająco długo, żeby przeczytać o sobie w kronikach, i bardzo mu to pochlebiało.

Zanim odnieśli sukces – a Maywood Colony okazała się ogromnym sukcesem – Percy musiał udobruchać George' a Kidrona. Jako założyciel miasta George cieszył się ogólnym poważaniem. Zapytany o kolonię, przepowiadał upadek przedsięwzięcia i nazwał Percy'ego zagranicznym oszustem, który czatuje na pieniądze naiwnych. Postawa ta zaniepokoiła współników Percy'ego, którzy zmusili go, żeby zawarł z George'em pokój. Ojciec Anny spotkał się z George'em w momencie, gdy współnicy podpisali kontrakt i zatrudnili architekta, który miał zaprojektować domy i dochodzące do nich uliczki i rozwiązać problem pobliskiej linii kolejowej. George spodziewał się łapówki. W tamtych latach w Kalifornii bezprawie i korupcja były na porządku dziennym. Percy miał jednak inny plan. Doskonale wiedział, że nieudana próba odbudowy miasta jako węzła komunikacyjnego pozostawiła wielką dziurę w sercu staruszka, więc zamiast proponować mu pieniądze, Percy zaproponował przeniesienie miasta.

Od tego momentu zaczynają się wspomnienia Anny. Zawsze myślała o dniu przeniesienia miasta w 1900 roku jak o dniu swoich narodzin. Gdzieś w zakamarkach jej pamięci kryły się pojedyncze obrazy z Brisbane – jakaś nieznajoma kobieta w fartuchu z worka po mące, wielki jak stół żółw, ojciec dźwigający kosz poczerniałych na słońcu oliwek. Chciałaby znaleźć jakiś sposób dostępu do tych wspomnień, móc obejrzeć je jak film, bo wierzyła, że kryją prawdę o jej pochodzeniu, ale były to zaledwie zamazane przebłyski. Dzień, kiedy miasteczko przesunęło się o milę w stronę linii kolejowej, był jak film, który na zawsze zapisał się w każdej komórce jej ciała.

Tego dnia nie było szkoły, a dzieciom przykazano, żeby nie plątały się pod nogami. Starsi chłopcy, jak brat Anny, Wealthy, pomagali w wiązaniu lin i wspinali się na najwyższe budynki. Anna natomiast miała iść do domu i opiekować się ciężarną matką. Byli pełni optymizmu, że w końcu donosi ciążę, ale dowiedziawszy się o licznych poronieniach, położna kazała jej leżeć w łóżku. Anna nie miała talentu do posług i wkrótce matka odesłała ją do miasteczka, żeby czuwała nad ojcem i bratem. Anna pamięta słowa matki: „Gdybyśmy ich straciły, byłybyśmy zgubione”.

Na przekór temu ponuremu proroctwu Mims albo, jak nazywały ją dzieci Anny, Veda

rozkwitła, gdy zabrakło w jej życiu mężczyzn. Była niską, okrągłą kobietą, której twarz, gdy była jeszcze szczupła, przypominała pyszczek myszy. Kiedy zrobiła się starsza i przytyła, jej buzia wyglądała jak narysowane przez dziecko słoneczko. Taką Mims pamiętały dzieci Anny, ale tego dnia w 1900 roku skóra Vedy ciasno opinała kości – zamartwienie się o dziecko, gaj i kolonię pozbawiły jej ciała ostatnich rezerw tłuszczu.

Gorące pustynne powietrze ze wschodu przywiało nad Kidron drobinki piasku. Po dwóch latach mieszkania w dolinie Anna cały czas czuła się tu obco, jednak odczucie to podzielała większość mieszkańców Kidronu. Podśluchała, jak ojciec zwierzał się napotkanym w sklepie mężczyznom, że co rano czuje, jakby włożył nie swoje spodnie. Anna pomyślała, że ludzie wtedy nie odczuwali ciągłości. Większość mieszkała tu zaledwie od jednego, dwóch pokoleń. Teraz, gdziekolwiek spojrzeć, Kidron zamieszkują wnuki i prawnuki stojących wtedy w sklepie mężczyzn, którzy utyskiwali, że w podmuchach tego gorącego wiatru nie czują się jak w domu.

Główny sklep Kidronu był imponującym prostokątnym budynkiem z przybudówkami. Sześćioletniej Annie wydawało się, że wszystko powstało wraz z jej narodzeniem. W dniu przeprowadzki karmiła marchewkami konie i rozmyślała o przedmiotach, które istniały dłużej niż ona.

Zdecydowano, że saloon nie pasuje już do nowoczesnego charakteru miasta, więc został na miejscu wraz z – jak to nazywał jej ojciec – „domem kobiet” na dawnej głównej ulicy. Gdy Bets wyszła za Franka, zamieszkali na tej ulicy, gdzie, ku zdziwieniu Anny, oba budynki przetrwały. Dom kobiet, w którym niegdyś mieścił się burdel, zamieszkiwali dwaj ekscentryczni bracia, którzy w zimie wynajmowali pokoje włóczęgom. A w historycznym saloonie mieściła się restauracja. Właściciel zainstalował drzwi wahadłowe, jak w filmach z Johnem Wayne’em, ale Anna twierdziła, że saloon nigdy nie miał wahadłowych drzwi. To takie niepraktyczne, chyba że chcesz urządzić strzelaninę.

W dniu przeprowadzki na obydwu budynkach widniało namalowane ogromne „X”. Anna przechadzała się pośród koni przygotowanych do przeciągania budynków i zatrzymała się, żeby posłuchać, jak rzeźnik opowiadał ojcu i paru innym mężczyznom, którzy przyjechali pomóc w przeprowadzce z Maywood Colony o podobnym przedsięwzięciu w Iowa.

– Cholerni głupcy wykończyli połowę koni, a drugą połowę musieli dobić ze względu na okaleczenia. Widziałem, jak jeden facet został przygnieciony przez przesuwany budynek – mówił rzeźnik, wypluwając na ulicę przeżuty tytoń. – Wyglądał zupełnie inaczej, niż myślicie. Nie pękła mu skóra ani nic się z niego nie zaczęło wylewać. To stało się dopiero później.

Mężczyźni zaczęli dyskutować o śmierci, o tym, że ciała nigdy nie wyglądają tak, jak

się spodziewali. Rzeźnik opowiadał, jak przygnieciony mężczyzna zaczął puchnąć, a skóra na nogach popękała jak na przejrzałych brzoskwiniach.

– Zmarł przed zachodem słońca – obwieścił.

Stojący wokoło mężczyźni rozeszli się i zajęli końmi lub mocowaniem lin. Percy natomiast podszedł do rzeźnika i położył mu rękę na ramieniu. Anna skrzywiła się i przypomniała sobie, jak matka powiedziała rano ojcu, że najprostsze rozwiązania czasem okazują się niewykonalne. Mimo że Anna miała zaledwie sześć lat, wizja pękającej jak nadmiernie dojrzały owoc skóry wbiła się w jej pamięć, jakby była w miasteczku w Iowa i oglądała cierpienia tamtego mężczyzny.

Bacznie obserwowała ojca, który przechadzał się, notując, kto jest gotowy do przeprowadzki. Cały czas pozostawała parę kroków za nim. Gdy się odwracał, chowała się w przedsionkach lub szła głaskać konie. W tamtych czasach miasteczko miało inny zapach; siano połączone z potem ludzi i zwierząt. Tego dnia konie były mokre od potu i wydawały szczególnie silną woń. Ojciec miał doglądać zwierząt i upewnić się, że żaden zaprzęg nie będzie ciągnął zbyt dużego ciężaru. Patrzyła, jak pisze na budynkach numery wskazujące kolejność przenosin. Wreszcie doszedł do sklepu i narysował pionową linię na boku budynku, po czym podał kredę mężczyznom na dachu, którzy dokończyli linię. Odebrał kredę i na każdej połowce sklepu napisał inny numer.

Anna nie знаła zbyt dobrze swego dwunastoletniego brata i nie czuła potrzeby, żeby go pilnować. W Brisbane był tak chorowity, że po przyjeździe rodzice niczego od niego nie wymagali i pozwalali mu włóczyć się dniami i nocami po okolicach Kidronu. Anna narzekała, że Wealthy nigdy nie musi pomagać, a rodzice tłumaczyli, że Bóg z pewnością odbierze swój dar, gdy zabronią mu korzystać ze zdrowego ciała. Słyszając to, zapragnęła, żeby znów zachorował. Patrzyła, jak wspina się po ścianach sklepu i demontuje ceglany komin, i życzyła mu, żeby spadł i złamał nogę.

Okorowane, gładkie pnie leżały pośrodku drogi niczym nogi olbrzymów. Wokół dwóch tuzinów budynków stały stosy mebli i przeróżnych przedmiotów i Anna opuściła piszącego numery ojca, żeby pooglądać zawartość domów, w których nigdy nie była. Panujący wokół hałas przebijających deski żelaznych zębów i pokrzykujących na konie mężczyzn wypełnił powietrze atmosferą oczekiwania. Szła pod wiatr, który przynosił słodki zapach świeżo ściętego drzewa. Poczowała się dumna z Kidronu, miasteczka, które nie poddało się upadkowi, tylko dlatego że Southern Pacific Railroad postanowiło poprowadzić linię kolejową poza jego zasięgiem.

Najpierw mieszkańcy pracowali nad przeniesieniem sklepu mięsnego. Dwa tuziny mężczyzn wsunęło pod podwaliny budynku deski, a czterdziestu innych podtrzymywało konstrukcję. Na komendę przyciśnięto deski, podczas gdy otaczający budynek mężczyźni

podtrzymywali swoje części, żeby umożliwić wsunięcie kłód. W ciągu trzech minut sklep znalazł się na kłodach. Anna przyglądała się, jak mężczyźni mocują linami budynek i zaprzęgają sześć grup koni. Następnie każdy mężczyzna oparł rękę na budynku i szli razem za końmi do wypalonych w trawie linii wyznaczających nowe miejsce dla każdego budynku. Anna poszła na plac, skąd zabrali sklep, i wygrzebała stopą drobne kawałki kości i zaschniętej krwi, które wypadły przez szpary w podłodze.

Wealthy i chłopcy Lindseyów odepchnęli ją i zaczęli szukać czegoś, co mogliby wykorzystać w zabawie w kowbojów. „To nie jest miejsce dla dziewczyn”. Anna schowała do kieszeni fragment kości koloru słabej herbaty i usadowiła się na górze worków z mąką. Przeniesienie kolejnych osiemnastu budynków zajęło prawie dziesięć godzin. Przy dwóch ostatnich – aptece i kuźni – dano dzieciom pochodnie i pozwolono pójść na nową główną ulicę miasta. Po przeniesieniu ostatniego budynku Anna patrzyła, jak ojciec idzie w stronę domu, po czym odwróciła się i pobiegła zobaczyć, co wypadło z każdego z budynków przez szpary w podłodze. Była to jedyna noc, kiedy wróciła do domu później niż Wealthy.

Przez wiele lat Anna przechowywała znalezione tej nocy skarby zawinięte w niebieską chusteczkę. Wyciągnęła ją z szuflady dopiero pewnego długiego letniego dnia, gdy jej małe dzieci na gwałt potrzebowały nowej rozrywki. Pokazywała im guziki, sprzączki, gwoździe, a nawet kości, dorabiając do każdego przedmiotu historię właściciela i jego szczególnych mocy. Teraz pomyślała, że opowieść o przewodzce zapewne wywarłaby większe wrażenie.

Usłyszała zgrzyt kół na żwirze i domyśliła się, że przyjechał genetyk. Szybko przebiegła rękami po paru najbliższych gałązkach, starając się ściągnąć jak najwięcej owoców. Stojący u jej stóp kosz był w dwóch trzecich pełny. Wystarczy.

# ROZDZIAŁ CZWARTY

## Superstulotka

Doktor był przystojny. Anna patrzyła, jak nakłada na talerz oliwki, zieloną fasolkę i ziemniaki. Zrezygnował z mięsa, ale wziął trzy upieczone przez Callie bułki. Rozglądał się wokół stołu i kłaniał się lekko za każdym razem, gdy natrafiał na spojrzenie którejś z kobiet. Wyglądał na około czterdzieści pięć lat. Callie zapewne była dla niego za stara; odnoszący sukcesy mężczyzna w tym wieku nie szuka kobiety, która by się z nim zestarzała. Z obserwacji Anny wynikało, że mężczyźni po pięćdziesiątce pragną młodej żony, która zaopiekuje się nimi na starość. Nie zmieniało to faktu, że miał ciepłe spojrzenie, które najczęściej kierował w stronę siedzącej naprzeciwko Callie.

Bets, która nadzorowała pieczenie szynki, chwyciła półmisek i usiłowała namówić go na kawałek mięsa.

– To nie jest wołowina, jeśli tym się pan martwi. Świeże mięsko, ubiliśmy świniaka w zeszłym tygodniu.

Doktor Hashmi spojrział na swój talerz.

– Nie spodziewałem się tak obfitego lunchu.

– Większość znajomych Hindusów to wegetarianie – wtrąciła Erin.

Wyłoniła się z sypialni, gdy witały doktora. Poinformowały go o niespodziewanym przyjeździe, a on przywitał Erin z szerokim uśmiechem, zachwycony, że ma okazję osobiście poznać piąte pokolenie.

– O tak. Amerykańskie jedzenie jest dość skomplikowane – powiedział, unosząc oliwkę do ust. – Ale za to smaczne.

– Cóż, ja też nie jem mięsa – oznajmiła Erin, zwracając się do niego. – Ze względów filozoficznych. Humanitarne traktowanie zwierząt i tak dalej.

Anna zeszywniała. Nieraz już o tym dyskutowały.

– Tę świnię hodował od maleńkości twój kuzyn Charley Spooner – powiedziała. – Odkąd kupił ją na aukcji, chodziła za nim wszędzie jak owieczka. Trudno o bardziej humanitarne podejście.

Bobo warczał pod stołem, a Erin zaskoczyła wszystkich, nakładając sobie plasterki szynki.

– Za długo mnie tu nie było. Zapomniałam, że żyjecie w świecie, gdzie można zjeść świnię, którą ktoś codziennie wyprowadzał na spacer. – Pokroiła mięso na maleńkie kwadraciki i nadziała na widelec kawałek nie większy od groszku. – Zapomniałam również, że Bets potrafi upiec tak delikatną szynkę, że rozplywa się w ustach.



Anna domyśliła się, że nikt nie wie, jak zareagować. Nie mogły poruszyć tematu dziwnego zachowania Erin w obecności gościa. Bets nałożyła prawnuczce kolejny plasterk mięsa.

– Jesteś taka chuda. Może dzięki tej szynce nabierzesz trochę ciała.

Okazało się, że Erin była jedyną osobą, która miała apetyt. Anna patrzyła, jak Bets zabiera na w pół pełne talerze z rozgrzebanym jedzeniem. Callie i doktor Hashmi stali z talerzami w kąciku, jakby odnosili je do zlewu, i coś do siebie szeptali.

– Może zaczniemy? – zaproponowała Anna.

Po lunchu, w salonie, Callie usiadła tak blisko doktora, że dotykali się kolanami. A pobudzona posiłkiem Erin zarzucała go pytaniami.

– Ma pan ledwie dostrzegalny akcent. Skąd pan pochodzi?

– Tennessee. Mój ojciec wyemigrował do Ameryki w latach czterdziestych, żeby pracować przy tajnych eksperymentach nuklearnych.

Powiedział to w taki sposób, jakby się spodziewał, że nie będą wiedziały, o czym mówi, ale Anna wyprowadziła go z błędu.

– W Oak Ridge, prawda? Jeden z chłopaków Lindseyów pracował tam wtedy w ochronie. Oczywiście wszyscy myśleli, że zajmuje się uprawą orzeszków ziemnych. Może pana rodzice go znali?

Doktor Hashmi uniósł ramiona, jakby chciał jej odpowiedzieć, ale Bets, która zawsze nadmiernie przejmowała się tym, co pomyślą sobie o matce inni ludzie, wtrąciła:

– Ludziom w wieku mamy wydaje się, że wszyscy wszystkich znają. – Po czym zmieniła temat, pytając go, czy urodził się w Tennessee.

Doktor Hashmi pokręcił przecząco głową.

– Obawiam się, że mówiąc nie, zdradziłem swój wiek.

– Nikt w tym pokoju nie wstydzi się swojego wieku – odrzekła Callie. – Nie mógłby pan zostać szefem wydziału przed pięćdziesiątką. – Nachyliła się nieco, eksponując swe obfite wdzięki. – Nie mogłam uwierzyć, że asystent od razu mnie z panem połączył.

Anna uważnie obserwowała doktora. Przechylił nieco głowę w stronę Callie, ale nie widziała, na co patrzy. Zauważyła, że Callie ma słabość do doktora Hashmi i zastanawiała się, czy on czuje to samo.

– Od początku mojej kariery naukowej szukałem rodziny takiej jak wasza.

– I oto jesteśmy na kalifornijskim odludziu – powiedziała Erin. Coś w tonie jej głosu zaalarmowało Annę. Odsunęła jednak obawy na bok i skoncentrowała uwagę na doktorze, który wyjął z teczki grube pliki papierów i zaczął je rozdawać.

– Zaczniemy od kwestionariuszy. Prosiłbym, żeby panie wypełniły je w ciągu paru najbliższych tygodni. Dziś zaczniemy od wywiadów, no i oczywiście DNA. Chcę krwi

pań. – Jego próba wprowadzenia elementu rozrywkowego natrafiła na mur milczenia. Callie co prawda zaśmiała się z żartu, ale trochę zbyt późno.

Widząc to, Anna poczuła dla niego współczucie, które nieco osłabiło jej początkową podejrzliwość.

Sprzeciwiała się pomysłowi badań genetycznych nad jej rodziną. „Będziemy jak szczury laboratoryjne” – powiedziała, gdy Callie poinformowała ją o swym pomyśle. Wnuczka wytłumaczyła jej, jaką idealną rodziną są do tego typu badań. Doktor Hashmi interesował się szczególnie superstulatkami, zarówno żyjącymi, jak i zmarłymi, i ich wpływem na długowieczność potomstwa. Wraz ze sponsorami badań wierzył w istnienie genu długowieczności.

Fascynacja Callie długowiecznością ich rodziny męczyła Annę. Wnuczka zawsze próbowała znaleźć wytłumaczenie zjawiska polegającego na tym, że kobiety Kellerów tak pięknie się starzały. Mimo iż nigdy nie powiedziałaaby tego głośno, Anna uważała, że jeśli rzeczywiście w ich genach jest coś wyjątkowego, fakt zostania najstarszą osobą na świecie będzie mniej spektakularnym wyczynem, jakby wygrała zawody na dopingiu. Anna pragnęła, żeby Callie zaprzestała swych poszukiwań, tymczasem ona znowu wymyśliła coś nowego, a wystarczył artykuł o doktorze Hashmim i jego badaniach, na który przypadkowo trafiła w „Newsweeku”.

Skontaktowała się z jego biurem na uniwersytecie w Pittsburghu na początku roku, a na wiosnę dostały do wypełnienia kwestionariusze i badacze umówili się na rozmowy ze wszystkimi pierworodnymi rodziny. Załatwienie pozwolenia na wywiad z przebywającą w więzieniu Deb nie było łatwe. Na szczęście badania miały bogatych sponsorów i szczodra dotacja dla strażnika otworzyła im drzwi Chowchilli, gdzie Deb odsiadywała wyrok. Podczas pierwszej rozmowy Anna była nadąsana i nieprzystępna – odpowiadała pojedynczymi słowami i gderała na zarozumiałstwo doktora, który łądzi się, że odkryje sekret długowieczności, wpytując o choroby dawno zmarłych członków rodziny.

Teraz, gdy doktor przedstawił im bardziej szczegółowy kwestionariusz, przysłuchiwała się z uwagą. Nie chciała, żeby pomyślał, że wiek pozbawił ją bystrości umysłu. Zauważyła, że Erin zignorowała jego wprowadzenie i przegląda kartki; zatrzymała się na części szóstej, zatytułowanej „Dieta”.

– Cieszę się, że tym razem pan zainteresował się naszą dietą – powiedziała Erin, przerywając doktorowi monolog na temat części numer dwa, dotyczącej toksyn środowiskowych.

– Tak, dieta jest niezwykle ważnym czynnikiem, chociaż nie znam się za bardzo... – Doktor Hashmi przechylił głowę i pozwolił Erin mówić.

– To oliwa.

– Oliwa? – Doktor, nieco zbity z tropu bezceremonialnością, z jaką Erin mu przerywa, nie zrozumiał, co dziewczyna usiłuje mu powiedzieć.

Anna wiedziała, podobnie jak Bets, która dawała teraz Erin znaki, żeby zamilkła.

– Oliwki. Zjadł pan kilka na lunch. Nie zauważył pan tych pięknych drzew, podjeżdżając pod dom? Przyjechałam krótko przed panem i przy wiejącym z zachodu wietrze dostrzegłam nie tylko zieloność liści, ale także ich srebrzyste spody. Nazywają je oczami Ateny. Nie wiem, czy wyjawily panu wszystkie sekrety, ale powiem panu o jednym. Korzenie tych drzew sięgają czasów sprzed Chrystusa. Proszę zapytać Annę, to opowie panu, jak jej ojciec przeszmugłował te specjalne szczepy z Brisbane. – Erin rozsiadła się z uśmiechem, zadowolona ze swojej kontrybucji.

– Te gaje – doktor Hashmi zamilkł na moment i spojrzał na Callie, która wzruszyła lekko ramionami – są imponujące. Same panie wytwarzają oliwę?

– Wytwarzamy, sprzedajemy, gotujemy na niej, a jeśli dłużej posłucha pan Erin, przekona pana, że i śpimy w oliwie – odrzekła Bets. Była to kolejna kość niezgody pomiędzy nią a Erin. – Doktor poszukuje naukowych odpowiedzi, nie jakiegoś hokus-pokus.

Erin zmarszczyła brwi. Bets nigdy nie wierzyła w moc oliwek i za każdym razem, gdy Erin lub Callie, która była zagorzałą wyznawczynią owej mocy, o tym wspominały, jej głos przybierał lekceważący ton, jakby tłumaczyła im, w jaki sposób magik wyciąga królika z kapelusza.

Anna przymknęła oczy. Podszedł do niej Bobo i zaczął trącać ją łapą.

– Chyba się trochę zasiedziałem – powiedział doktor Hashmi, podnosząc się z sofy.

Callie siedziała tak blisko niego, że gdy wstał, osunęła się na zwolnione przez niego miejsce.

– Nie – odparła Erin. – Po prostu potrzebujemy przekąski. To kolejna rzecz, którą musi pan wiedzieć o kobietach Kellerów. Wszystkie mamy lekką hiperglikemię. Po czterech godzinach bez jedzenia zaczynamy skakać sobie do oczu.

– Nie wiedziałem, że w ten sposób o sobie panie mówią – zdziwił się doktor. – To zdaje się nazwisko pani męża?

Anna nie odpowiedziała. Usiłowała nawiązać kontakt wzrokowy z Bets. Domyśliła się, co działo się z Erin, i chciała sprawdzić, czy Bets też już wie. Zdradził ją głód. Erin dopiero co jadła. Kiedy jako mała dziewczynka zamieszkała pod ich dachem, nie przestrzegała regularnych pór posiłków. Potrafiła jak wąż zjeść ogromne ilości, żeby później przez dwa, trzy dni nic nie brać do ust.

– Nieważne – rzekł doktor, gdy nikt mu nie odpowiedział. Przeniósł się na miejsce Erin obok Anny i uściśnął jej dłoń. – Jest pani niesamowita. Większość stulatków, z którymi

rozmawiałem, usypia, zanim przerobimy pierwszą stronę.

Ten komplement wyrwał Annę z odrętwienia i przyznała się, że jest zmęczona.

– Nie mam zwyczaju drzemać. Wiem, że wszyscy tak myślą, ale zamykam oczy, żeby oszczędzać energię. Cały czas jestem świadoma, co się dookoła dzieje. Zbyt mało życia mi zostało, żebym mogła tracić czas.

– To tak jak niedźwiedzie. Hibernacja to mit. To nie jest długi sen, ale długi odpoczynek – odrzekł doktor, cały czas trzymając ją za rękę. – Pozwolę pani hibernować przez resztę popołudnia, jeśli wyznaczymy datę następnej rozmowy. Prawdę mówiąc, muszę porozmawiać z każdą z pań, no i oczywiście z Deb.

Erin wróciła do pokoju z żółtym pudełkiem ciastek. Anna utkwiała wzrok w jej talii. Widząc Erin w holu, w promieniach bladego popołudniowego światła, które zmieniało kolor jej włosów z czarnego na fioletowy, Anna pomyślała, że Erin jest bardzo podobna do jej młodszej siostry albo do kobiety, którą Violet mogłaby się stać. Jej praprawnuczka skończyła przeżuwać ciastko z masłem orzechowym i uśmiechnęła się do doktora.

– Możemy razem pojechać do Chowchilli – zaproponowała. – Mama znów będzie się starać o przedterminowe zwolnienie i chcę pojechać, żeby zobaczyć, czy mogę jej jakoś pomóc.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

## Violet

Violet, młodsza siostra Anny, urodziła się w październiku 1900 roku. Po tym, jak ojciec zorganizował przeprowadzkę miasta, inwestorzy dali mu pieniądze na budowę domu. Nie zasechł jeszcze tynk na ścianach, ani nie zdążyli położyć podłóg, kiedy Mims dostała skurczów i Violet Philomena Davison stała się pierwszym dzieckiem narodzonym w Hill House.

Jej pojawienie się zapoczątkowało okres prosperity dla Davisonów; drzewka rodziły, a działki sprzedawały się jak świeże bułeczki. Do czasu trzecich urodzin Violet Maywood Colony zakupiła kolejne trzy rancza i dwa pola pszenicy, powiększając powierzchnię kolonii do czterdziestu tysięcy akrów. Lindseyowie, jedna z pierwszych rodzin, która osiadła w kolonii, kupili ziemię w pobliżu dawnej głównej ulicy Kidronu i wybudowali przetwórnictwo oliwek, która działała na zasadach spółdzielni.

Do trzynastych urodzin jedyną rysą na sielankowym dzieciństwie Anny był wyjazd jej brata. Wealthy nie chciał, żeby ojciec kupił mu ziemię w kolonii, kupił za to bilet do Teksasu i pojechał szukać szczęścia. Ojciec nie odprowadził go na pociąg, a reszcie rodziny pozwolił zaledwie pomachać siedzącemu w pociągu Wealthy'emu z peronu. Anna urwała się ze szkoły i pobiegła na stację. Od razu dostrzegła go w pociągu; oprócz ojca był jedynym mężczyzną w mieście z rudymi włosami. Siedział z głową opartą o okno, więc zaczęła rzucać kamyczkami w szybę, aż odwrócił się i ją zobaczył. Nie pomachał jej, a jedynie skinął głową i po raz pierwszy Anna dostrzegła, że przestał być chłopcem i stał się mężczyzną. Opuszczając stację, podśpiewywała radośnie i postanowiła wykorzystać ucieczkę ze szkoły i pójść nad staw. Naraz usłyszała za sobą gwizdnięcie, odwróciła się i stanęła przed ojcem. Puścił do niej oko. To była jedna z tych chwil, gdy lubiła ojca.

Dwa miesiące później, na początku maja, szkoła na West Street, w najstarszej części Kidronu stanęła w płomieniach. Była to niezwykle gorąca i wietrzna wiosna i przed pożarem wszyscy mieszkańcy Kidronu rozmawiali jedynie o pogodzie i jej wpływie na urodzaj oliwek. Ojciec Anny był szczególnie zaniepokojony, bo w tym sezonie jego drzewka będą miały już sześć lat. Jego reputacja zależała od spełnienia obietnicy, że w 1907 wszystkie drzewka posadzone w pierwszym roku sprzedaży działek zaczną w pełni owocować – będą na tyle dojrzałe i dadzą tyle oliwek co dziesięcioletnie drzewa na innych terenach.

Anna i Violet cieszyły się dużą swobodą. Wiatr sprawiał, że Annę swędziała skóra, więc często wymykała się po lunchu ze szkoły i szła nad staw, który wraz z chłopcami

Lindseyów odkryli w rok po przyjeździe do Kidronu. Odnoga rzeki przepływała przez grunty Lindseyów i rozgałęziała się, otaczając ziemię Anny. Tuż za rozgałęzieniem powstał mały staw, który wiosną wypełniał się wodą z topniejących w górach śniegów.

Wcześniej, gdy rodzice dowiadawali się o wagarach, Annie zdarzało się pójść spać bez kolacji, ale w tym roku nie zwracali szczególnej uwagi na notatki od pani Dupont. Violet z kolei lubiła pochwały, cieszyła się, gdy siostra dostawała kary i nie lubiła być ignorowana, gdy szła na nią naskarżyć.

Uczęszczały do szkoły numer 1, najbardziej prestiżowej instytucji spośród pięciu szkół w Kidronie. Pierwsze działki Maywood leżały najbliżej centrum Kidronu i większość dzieci kolonistów przypisanych zostało do „jedyńki”. Szkoła mieściła się w trzypiętrowym drewnianym budynku, ze starodawną dzwonnica. Na zachodzie, gdzie nikt nie mieszkał dłużej niż od jednego pokolenia, prestiż rodziny poznawało się po tym, jak daleko od centrum miasteczka znajdował się jej dom. Ci, którzy przyjechali najwcześniej, byli podziwiani za odwagę i przyszłościowe myślenie, podczas gdy pozbawieni wyobraźni rodzice dzieci chodzących do szkoły numer 5 zaledwie podążyli za stadem. Najbogatsi wysyłali dzieci do szkół z internatem na wschodzie kraju.

W maju 1907 stało się jasne, że zbiór będzie dużo skromniejszy, niż się spodziewano. Wiatr był zbyt silny, żeby zapylić drzewa. Zamiast delikatnie przenosić drobinki żółtego pyłku z kwiatka na kwiatek, wywiał wszystko na północ, pod górę Lassen. Rodziny, które wzięły pożyczki na podstawie zeszłorocznych zbiorów, przygotowywały się do ogłoszenia bankructwa. Miasteczko ciągle jeszcze było w rozkwicie i pod rządami burmistrza George’a a Kidrona dumnie wchodziło w dwudziesty wiek. Tydzień przed pożarem zaczęto zmieniać latarnie z lamp łukowych na żarówkowe oraz zakupiono trzydzieści galonów nowej czerwonej farby, która dzięki dodatkowi termitu miała według zapewnień dystrybutora przetrwać trzydzieści lat.

W chwili pożaru budynek szkolny był do połowy pomalowany. Spośród czterdzieścioro dwojga dzieci, w płomieniach zginęło dwadzieścioro sześcioro, w tym Violet. Wiele lat później jakiś dziennikarz wypytywał o pożar osiemdziesięcioletnią Annę. Mimo że nie widziała pożaru na własne oczy, opowiedziała mu relacje dawno nieżyjących świadków, o dziwnym, chemicznym, wybuchającym gejzerami płomieni ogniu. Dziennikarz przesłał jej później kopię artykułu – winił w nim za pożar farbę z termitem, którego podczas drugiej wojny światowej używano do zapalania bomb.

Pani Dupont, nauczycielka, którą sprowadzono z college’u nauczycielskiego w Illinois, przeżyła pożar, chociaż miała ciężko poparzoną szyję i ramię. Opuściła Kidron po pogrzebach, ale pozostawała w stałym kontakcie z rodzinami, które straciły dzieci. Każdego roku, w rocznicę pożaru, pisała do nich wypełnione nadzieją listy, w których

wyobrażała sobie, co każde z nieżyjących dzieci mogłoby osiągnąć w danym roku.

W drugą rocznicę napisała do rodziców Louisy Farris, że ich córka wygrała szkolny konkurs ortograficzny i przygotowuje się do występu w konkursie stanowym. W dziesiątą rocznicę napisała rodzicom George'a Lee, jak bardzo jej przykro, że ze względu na słaby wzrok George nie mógł wstąpić do armii, ale jest dumna, że uzbierał tyle pieniędzy ze sprzedaży wojennych obligacji. W czternastą rocznicę podzieliła się z rodzicami Emily Rose Burnam dumą z tego, że ich córka, niezwykle utalentowana pielęgniarka, ocaliła życie czternastu osób podczas epidemii grypy. A w trzydziestą piątą rocznicę siostra Johna Pickerlinga dowiedziała się, że jej brat otarł się o zwycięstwo w wyborach na gubernatora. W przychodzących w każdą rocznicę listach zmarłe w pożarze dzieci nie doświadczały tragicznych skutków wojen i epidemii, cieszyły się dobrobytem i poważaniem. Po śmierci rodziców listy przychodziły do rodzeństwa, a w przypadku jedynaka George'a Lee – do dalekiego kuzyna w Arkansas, który nigdy go nie poznał. Trwało to do śmierci pani Dupont w 1972 roku. Miesiąc później każda rodzina otrzymała napisany przez nią nekrolog ich dziecka. Niektórzy krewni – na przykład rodzice Anny – nie otworzyli tego ostatniego listu – chociaż poprzednie czytali od dziesięcioleci.

Dziesięć lat przed śmiercią pani Dupont Anna złożyła jej wizytę w Illinois. Callie została właśnie przyjęta do szkoły dla stewardes United Airlines w Chicago. Bets i jej mąż Frank, zajęci doglądaniem trzystu akrów gajów oliwnych, poprosili Annę, żeby odwiozła ich córkę do szkoły. Była to nieprzyjemna podróż, nie tylko dlatego, że pociąg utknął na dwa dni w Nebrasce, ale głównie dlatego, że Callie chciała pojechać sama. Przez całą drogę prawie się do siebie nie odzywały, chociaż Anna pamięta, że gdy żegnały się w żeńskiej bursie, Callie przytuliła ją i wybąkała „dziękuję”.

Anna wsiadła potem do taksówki i pojechała na południowe przedmieście Chicago, na kawę do pani Dupont. Mimo upływu lat jej blizna nie zmieniła się i sięgała mackami od szyi, poprzez szczękę, w stronę lewego oka. Gdy siedemdziesięcioletnia wówczas Anna przyzwyczaiła się do tej deformacji, ze zdziwieniem dostrzegła, że czas zniwelował istniejącą między nimi różnicę wieku. Skóra wokół blizny nauczycielki była pomarszczona tak samo jak skóra Anny, a ich oczy cechowała podobna czerwona wilgotność. Jadły przywiezione przez Annę oliwki nadziewane papryczkami i rozmawiały o tym, jak mały stał się świat, gdy człowiek zaczął zdobywać kosmos.

Opowiadały o życiu, o dobrych i złych latach, narzekały na nieubłagany upływ czasu. Krążyły wokół tematu rodziny, niepewne, jak rozmawiać o dzieciach i wnukach, nie wspominając o Violet. W końcu, gdy Anna rozsiadła się wygodnie na eleganckiej sofie, pani Dupont podjęła temat swojej rodziny. Przeżyła trzech mężów i urodziła dziewięcioro dzieci; następnie zaczęła wyliczać wnuki, co jakiś czas pokazując stojące nad kominkiem

zdjęcia.

– W sumie trzydzieścioro siedmioro. To więcej, niż straciłam, ale miałam do spłacenia ogromny dług i nie jestem pewna, czy Bóg wymieni te duszyczki na moje. – Przez chwilę siedziały w ciszy. Dwie siwowłose kobiety wpatrujące się w zdjęcia dzieci. Potem pani Dupont poklepała Annę po ręce. – Twoja siostra była piękna. Jak anioł Botticellego.

– Violet wyglądała jak mama. Lubiły bawić się w lustro. Siadały naprzeciwko siebie i naśladowały swoje ruchy. Obserwowałam je, usiłując doszukać się w którejś z nich jakiejś cząstki siebie, ale nigdy nie dostrzegłam żadnego gestu czy najdrobniejszego nawet piega, który by mnie z nimi łączył. Po jej śmierci zdałam sobie sprawę, że jedyną cechą, która różniła ją od mamy, był akcent.

– Zastanawiałam się, kiedy ty zaczniesz mówić z akcentem z Kidronu. Wealthy porzucił swój na rzecz włoskiego Lindseyów.

– Mój brat był jak kameleon. Naśladował innych do tego stopnia, że wydawało się, że jest spokrewniony z każdym, obok kogo stanął. Mama twierdziła, że gdy chorował przed naszym przyjazdem do Stanów, uczył się naśladować odgłosy ptaków. Tak się wyćwiczył, że mógł przywołać na drzewo pod oknem każdego ptaka w Brisbane.

– Był w mojej klasie, gdy zaczęłam uczyć w Kidronie. On i Michael Keller nękali mnie...

– Wie pani, że wyszłam za Michaela? Zmarł ponad dwadzieścia lat temu.

Rozmawiały przez chwilę o wspólnych znajomych, a Anna przyglądała swe sztywne, siwe włosy, których nie odziedziczyła po żadnym z rodziców.

– Pewnie wyglądasz jak twoi przodkowie – powiedziała nauczycielka.

– Mama opowiadała mi, że jedna z jej babć wyszła za Włocha, stąd...

– Twój ojciec powiedział mi, że jesteś mieszanej rasy, więc nie musisz....

Anna odwróciła wzrok od pani Dupont i spojrzała na zegarek. Nigdy nie słyszała, żeby ojciec wypowiadał te słowa głośno. Wealthy szeptał je w nocy, gdy naskarżyła na niego rodzicom, ale nie dawała się sprowokować.

Pani Dupont zaczęła masować blizny, które nabrały fioletowoczerwonego odcienia.

– W szpitalu, gdy nie mogliśmy cię znaleźć i myśleliśmy, że spłonęłaś razem z Violet... – zaczęła opowiadać o tym dniu, a kiedy zbliżała się do punktu kulminacyjnego, gdy Anna pojawiła się wraz z chłopcami Lindseyów, mokra i brudna po południu spędzonym nad wodą, jej głos przeszedł w szept.

Anna zaskoczyła samą siebie, dopowiadając zakończenie:

– ...mama uderzyła mnie w twarz i oznajmiła wszystkim zebranym, że mogę chodzić na wagary, kiedy tylko zechcę.

Pani Dupont płakała.



– Jednak nigdy nie wróciłaś do szkoły. Nikt nie wrócił.

*Mieszanej rasy.* Dawno nie słyszała tego określenia. A teraz przyczepiło się do niej, przywołując dawno pogrzebane wspomnienia. Przypomniła sobie, jak w wieku ośmiu czy dziewięciu lat pokonała Wealthy’ego w wyścigu podwórkowym. Jej brat splunął na ziemię i powiedział, że jest mieszańcem. Anna bała się zmian. Violet wyrosłaby na kobietę, która na jej miejscu zaraz po spotkaniu z panią Dupont zażądałaby od brata prawdy o swoim pochodzeniu. Anna czekała z tym jeszcze prawie dwadzieścia lat.

Dwa lata przed śmiercią Wealthy przyjechał do Kidronu na święta Bożego Narodzenia. Miał posiwiałe włosy i pożółkłe wąsy. Lata spędzone bez kapelusza na słońcu poorwały jego twarz zmarszczkami. Był w pełni władz umysłowych, chociaż chwilami mylił Annę z Bets albo pytał, kiedy przyjdzie Michael, mąż Anny. Pewnego zimnego, bezwietrznego wieczoru między świętami a Nowym Rokiem spacerowali po gaju i wspominali.

Nigdy nie chciała pytać o swą przeszłość, bo obawiała się, że wszystko, co o sobie myślała, okaże się nieprawdą. Ale tej nocy, gdy wymieniali się opowieściami o Kidronie, o ojcu, matce, a nawet Violet, Anna poczuła, jakby czas załamał się w sobie, i bez względu na słowa brata potwierdziło się to, co zawsze podejrzewała – historia jej życia nie była tożsama z prawdą o jej życiu. Nie miała irlandzkiej cery matki, nigdy nie chorowała, była dziesięć centymetrów wyższa od ojca, silniejsza od brata, miała czarne, kręcone włosy i oliwkową cerę. Podejrzewała, że nie jest dzieckiem żadnego z ich rodziców, ale Wealthy twierdził, że ojciec był jej prawdziwym ojcem, a Mims, mimo że nie dała jej życia, kochała ją jak własne dziecko.

– Żałuję, że nic więcej nie pamiętam – powiedział Wealthy. Siedzieli na ganku, na bujanych fotelach, opatuleni grubymi wełnianymi kocami. – Kiedyś było to dla mnie ważne, bo widziałem, jak bardzo się różnimy. Ale gdy dorośliśmy, przestało mieć znaczenie.

Anna chciała więcej informacji, więc powiedział jej, że zanim przy płynęła z nimi na statku, widywał ją jeżdżącą na zółwiach i kręcącą się wokół ogniska, gdzie kobiety gotowały pranie.

– Kiedyś pamiętałem więcej – wyznał, utyskując na wiek i zawodną pamięć. – Twoja matka musiała być Aborygenką, ale to jedynie przypuszczenie. Nie mogę sobie przypomnieć.

W jego oczach malował się taki ból, że nie wypytywała więcej. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, po czym Wealthy zapytał, gdzie jest Michael.

– Nie żyje. Już dłużej nie żyje, niż byliśmy małżeństwem – wyjaśniła Anna.

Wealthy zaśmiał się i zapytał, w czym tkwi jej sekret.

– Tak dobrze się starzejesz – dziwił się. – My ruszamy się coraz wolniej, coraz gorzej

widzimy, mamy tyle przypadłości, że finansujemy doktorom nowe corvetty. A ty masz zaledwie więcej zmarszczek i nieco wolniej się poruszasz.

– Chciałabym to wiedzieć.

Anna nikomu nie powiedziała o rozmowie z Wealthym. Bała się uwierzyć w jego słowa i tak usilnie spychała je w głąb swej pamięci, że w końcu sama siebie przekonała, że o nich nie pamięta. Popatrzyła na trzymaną w ręku kartkę papieru wypełnioną pytaniami o jej rodzinę, o to, co jadła, ile czasu jako dziecko spędzała na słońcu, i dreszcz przebiegł jej po plecach. Żadne z jej dzieci nie podejrzewało, że ich genealogia zawiera jakieś komplikacje. Biegająca od Erin aż po Mims linia wydawała się absolutnie prosta. Anna potrząsnęła głową. W ich rodzinie nie ma nic szczególnego. Poszukiwania Callie będą bezowocne, bo kobiety Kellerów są takie jak wszystkie inne.

Przez tyle lat nie znalazła żadnych dowodów potwierdzających słowa Wealthy'ego. A pożółkły bilet, który urzędnik imigracyjny przypiął do jej płaszcza, oraz złożone pod przysięgą oświadczenie rodziców, że mimo iż nie mogą przedstawić jej aktu urodzenia, potwierdzają narodziny Anny dnia osiemnastego stycznia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku w Brisbane, musiały jej wystarczyć.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

## Jedna na siedem milionów

Następny dzień zaczął się od wywiadu doktora Hashmiego z Anną. Mieli cały dom dla siebie. Bets wzięła Boba do domu opieki, gdzie co tydzień odwiedzała męża, a Erin pojechała z Callie do sklepu, pomóc jej w remanencie. Po raz ostatni była sam na sam z mężczyzną podczas wizyty inżyniera, który poprawiał kabel telewizyjny po marcowych wichurach. Chłopak zauważył, że przygląda mu się, gdy wchodził na drabinę, i kiedy przyszedł z rachunkiem, z trudem powstrzymywała chichot i nie mogła spojrzeć mu w oczy.

Mężczyźni przestali zwracać na nią uwagę mniej więcej w czasie, gdy ożenił się jej najmłodszy syn, Timothy. Jego wystawne wesele odbyło się w sali balowej Fairmont w San Francisco. Mąż Anny, Michael, zmarł dwa lata wcześniej, a na pytania, kiedy zamierza ponownie wyjść za mąż, odpowiadała, że zanim przeboleje śmierć męża, nie będzie już w kraju odpowiednich kandydatów. Wojna zabrała tak wielu mężczyzn, w tym jej dwóch synów, że osiemnastoletnie dziewczyny rzucały się w ramiona wdowców, a młodość zawsze wygrywa z dojrzałością.

Anna przygotowała półmisek oliwek i krakersów. Martwiła się, że Callie podkochuje się w doktorze. Był typem mężczyzny, który przyciąga młode kobiety, więc jakie szanse mogła mieć jej wnuczka? Zadzwoił dzwonek i Anna przewróciła słoik z oliwkami. Rzuciła ręcznik na bałagan i pospieszyła do drzwi.

Doktor Hashmi wyglądał podobnie jak wczoraj. Podał jej na powitanie rękę i Anna pomyślała, że ma bardzo kobiece, miękkie dłonie.

– Przeszedłem o właściwej porze?

– Tak, oczywiście. Właśnie rozlał mi się słoik w kuchni i zajęło mi trochę czasu, żeby...

Uniósł rękę i powiedział:

– Jest pani nadzwyczaj sprawna. Chciałem się jedynie upewnić, czy nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Gdy Anna opowiadała mu o remanencie w sklepie i cotygodniowych wizytach Bets u Franka, rozpakowywał swoją teczkę. Wyjął strzykawkę i sprzęt do pobierania krwi. Następnie zjadł parę oliwek i zapytał ją o gaj oliwny.

– Kiedyś mieliśmy paręset akrów, ale przez lata dzieliliśmy ziemię pomiędzy rozliczne potomstwo i zostało nam zaledwie pięćdziesiąt – wyjaśniła Anna, pokazując gestem w stronę tylnych okien. Przed przyjściem doktora poodślaniała zasłony i mieli wspaniałą widok na rosnące u podnóża wzniesienia drzewka.

– Są jeszcze takie zielone – zauważył doktor Hashmi.

– To nasza pierwsza ziemia, mój ojciec posadził te drzewa. – Anna podniosła do ust oliwkę i zaczęła ją ssać. Nastąpiła przerwa w rozmowie. Siedzieli przez kilka chwil w milczeniu, wpatrując się w poruszane wiatrem gałęzie i zielono-srebrzyste liście.

Doktor Hashmi ujął gumową rurkę.

– Zapewne przyzwyczaiła się pani już do tego. Ja musiałem się nauczyć pobierać krew, kiedy parę lat temu uniwersytet ograniczył mój budżet. Wcześniej podróżowała ze mną pielęgniarka.

Anna przecząco pokręciła głową i podwinęła rękaw. Miała na sobie fioletową tunikę, którą kupiła na drugi ślub Callie, i całą swoją biżuterię. Jej bransolety pobrzękiwały, gdy podciągała rękaw aż do ramienia.

– Nie, nie byłam u lekarza od prawie dziesięciu lat. Ostatni raz poszłam po aparat słuchowy, ale już go nie noszę. Nie mogę włożyć baterii.

– Ale cały czas może pani zerwać z drzewa oliwki w niespełna dwadzieścia minut. Nadzwyczajne. – Znalazł żyłę i wsunął w nią igłę.

Napełnienie sześciu fiolek zajęło mu prawie pół godziny. Gdy skończyli, przeprosił ją za niedogodność i oznajmił, że ma bardzo gęstą krew. Nalegał, żeby nie wstawała, i poszedł przynieść jej szklanekę lemoniady.

– Co zamierza pan zrobić z tą krwią? – spytała, dopijając napój.

– Chcę zobaczyć, co w niej siedzi – odpowiedział z uśmiechem. – Poznamy wszystkie pani sekrety, a przy odrobinie szczęścia może znajdziemy gen długowieczności.

– Sekrety? Dlaczego pan myśli, że mam jakieś sekrety? – Anna nie pomyślała, że doktor będzie zainteresowany czymś więcej niż fizyczna przyczyna jej długowieczności i dobrego zdrowia.

– Każdy ma jakieś sekrety. DNA skrywa mnóstwo informacji, a my dopiero zaczynamy rozumieć ich znaczenie. – Spakował fiołki i sprzęt i wyjął z kieszeni małe srebrne urządzenie. – To dlatego tak ważne są wywiady. Pomagają nam w roszfrowywaniu tych tajemnic.

Nagle z jakiegoś powodu Anna pomyślała, że powinna chronić swą rodzinę przed doktorem Hashmim. Nie zrobił nic niepokojącego, cały czas był uprzejmy i zabawny, ale patrząc, jak chowa do teczki jej krew, poczuła niepokój.

– Staramy się już nie mieć sekretów – powiedziała.

Włączył urządzenie, wypowiedział dzisiejszą datę, imię i nazwisko Anny.

– Po tym, co się stało z córką Callie?

– Po części.

– Nie chodzi mi o tego rodzaju sekrety, ale o informacje, które mogę wyczytać z pani

krwi. Czy może mi pani opowiedzieć o swoich rodzicach? Co pani wie o ich historii, skąd pochodzili i w jakim wieku zmarli?

Nie powiedziała mu o mglistych wspomnieniach innej matki ani o wyznaniu Wealthy'ego. Był naukowcem i wiedziała, że interesują go fakty. Wiedziała również, że sama nie jest w stanie dopuścić do siebie myśli, że nie jest córką Percy'ego i Mims. Rozmawiali o jej dzieciństwie, mężu i jego rodzinie. Rozważała, dlaczego Wealthy nigdy się nie ożenił. Dla ułatwienia rozrysowali drzewo genealogiczne i Annie aż zakreśliło się w głowie od mnogości rozgałęzień. Zjedli drugi talerz oliwek i krakersów, a gdy doktor zadał wszystkie przygotowane pytania, zaczęli rozmawiać o jego pracy.

– Zdaje sobie pani sprawę, jaką jest rzadkością? – spytał.

Anna wzruszyła ramionami.

– Nie ma nas zbyt wiele, ale zapewniam pana, że nie tylko przeżyję Chińczyka, ale zamierzam także przeżyć tę Francuzkę, która dożyła stu dwudziestu dwóch lat. Czuję, że mam w sobie jeszcze jedną dekadę.

Doktor Hashmi odwrócił kartkę z jej drzewem genealogicznym. Narysował wykres populacji i zakreślił prawy koniec krzywej, gdzie linia prawie dotykała dolnej krawędzi papieru.

– Jest pani tutaj. Jedna osoba na siedem milionów żyje powyżej stu dziesięciu lat. To znaczy, że w tej chwili na ziemi jest prawdopodobnie zaledwie osiemset pięćdziesiąt osób w pani wieku i żadna z nich, a przynajmniej z tych, które spotkałem, nie pamięta nawet swojego imienia, nie mówiąc o posiadaniu zębów, żeby zjeść krakersa. Więc daję pani jeszcze przynajmniej piętnaście lat.

Zapewnienia doktora sprawiły, że zapomniała o swych wcześniejszych obawach. Chwyła jego dłoń i mocno ją ścisnęła.

– Wiedziałam, że pana polubię – powiedziała.

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

## Załączki

Obsesyjne pragnienie, żeby zostać najdłużej żyjącą osobą na Ziemi, pojawiło się u Anny po setnych urodzinach. Przed tym przełomowym wydarzeniem nie interesowała się swoim wiekiem, ani nie poddawała nostalgii, która ogarniała jej rówieśników. Żyła chwilą do momentu, gdy na setne urodziny przybył do Hill House młody przedstawiciel lokalnej gazety zrobić wywiad o jej dziedzictwie. Reporter był niskim, pulchnym, obsypanym piegami nastolatkiem. Mówiąc, bujał się na piętach, a jedyną osobą, której był w stanie spojrzeć w oczy, była dziesięcioletnia wówczas Erin.

– Proszę udawać, że jestem zwykłym gościem na przyjęciu – zasugerował, podążając za nimi jak Bobo, gdy zbliża się pora karmienia. Potrafił długą chwilę nic nie mówić, a potem niespodziewanie zarzucał jakiegoś członka rodziny dziesiątkami pytań. Nie robił notatek, co Anna wielokrotnie podkreślała, gdy artykuł ukazał się w gazecie.

Późnym popołudniem Anna poczęstowała go ciastem.

– Nie wygląda pani tak staro – powiedział. – Myślałem, że będzie pani ślepa, głucha i pielęgniarka będzie wozić panią na wózku.

Wzrok zaczęła tracić dopiero dziesięć lat później. Tamtego dnia zjadła dwa kawałki ciasta i zupełnie zignorowała pytania chłopca o długowieczność. Zamiast tego opowiedziała mu historię o swoim przyjeździe do miasteczka i znalezionych pod przenoszonymi sklepami skarbach – kawałku kości spod mięsnego, trzech perłowych guzikach spod zakładu krawieckiego i łańcuszku od zegarka spod banku – które położyła przed nim na stole. Erin, która pierwszy raz słyszała tę opowieść, ale widziała leżące w szklanej miseczce skarby, była nią bardziej zainteresowana niż reporter. Po przyjęciu młodzieniec uściskał Annę (młodzieź nie bawiła się już w formalności) i powiedział, że czuje się zaszczycony, że zdążyła mu jeszcze opowiedzieć o swoim życiu. Anna przerwała mu gwałtownie.

– Zdążyłam? Masz na myśli, młodzieńcze, że zdążyłam, zanim umrę? – Była dziesięć centymetrów wyższa od reportera i patrzyła na niego z góry.

Zaczął się jąkać i poczerwieniał, wydukał przeprosiny i czym prędzej zniknął za drzwiami. Konfrontacja nie wywarła na nim wielkiego wrażenia i nie wspomniał o niej w artykule, za to opisał Annę dokładnie tak, jak się spodziewała – jako stetryczałą, pomarszczoną kobietę, która stanowiła ostatnie ogniwo łączące miasteczko z przeszłością.

– Czytając to – powiedziała córce Anna – odnosi się wrażenie, że nie dożyję do końca roku.

Z artykułu przebijał ton zbliżającej się katastrofy i choć dziennikarz wspomniał, że Anna cieszy się dobrym zdrowiem, zacytował również wypowiedź pielęgniarki, która twierdziła, że stan osób w tym wieku może raptownie się pogorszyć.

Pielęgniarka pracowała w Golden Sunsets, domu opieki, w którym przebywał Frank, i przy każdej jej wizycie Anna ostentacyjnie ją ignorowała. Reporter przeszedł do większej gazety we Fresno i na każde święta Bożego Narodzenia Anna wysyłała mu kartkę, którą podpisywała słowami: „Jeszcze tutaj”. Po tym zdarzeniu uświadomiła sobie, że wszyscy spodziewają się jej rychłej śmierci. Zaczęła czytać nekrologi i notować przyczyny śmierci. Do sto pierwszych urodzin zapisała prawie sto pięćdziesiąt zgonów z powodu zawału, nowotworu, wylewu, upadku, utonięcia, samobójstwa i ukąszenia węża. Żaden nekrolog nie wspominał o starości. Tego roku skoczyła ze spadochronem i przedłużono jej prawo jazdy na kolejne dziesięć lat, żadne z tych wydarzeń nie doczekało się wzmianki w „Kidron Observer”.

Poprosiła Louise Bells, szkolną koleżankę Bets, która trzy dni w tygodniu pomagała w lokalnej bibliotece, żeby wyszukała jej najdłużej żyjącą osobę na świecie. „Oczywiście poza Matuzalemem?” – zażartowała Louise i znalazła informację o żyjącej sto dwadzieścia lat Francuzce. Jeanne Louise Calment mieszkała sama do sto szesnastego roku życia i twierdziła, że zawdzięcza swą długowieczność czekoladzie, bordo i oliwie z oliwek, którą polewała wszystkie posiłki i co wieczór smarowała sobie twarz. Anna pomyślała, że to dobry chwyt, żeby pozbyć się reporterów i innych natrętów, ale Callie uznała te słowa za najświętszą prawdę, porobiła fotokopie artykułów o pani Calment i porozwieszała w Olive Pit. Napisała do Francuzki z prośbą o zdjęcie z autografem, które następnie oprawiła i powiesiła obok kartonów importowanej oliwy z oliwek. Callie lubiła, gdy klienci próbowali odgadnąć wiek kobiety ze zdjęcia – zawsze była to liczba między osiemdziesiąt pięć a dziewięćdziesiąt osiem.

Callie uznała, że oliwa z oliwek jest antidotum na starzenie się, ale Anna uważała, że ludzie po prostu nie mogą zrozumieć, że ktoś może żyć dłużej niż sto lat, i szukają jakiegoś wytłumaczenia. Trzymała jednak te myśli dla siebie i pozwalała wnuczce wierzyć w cudowne właściwości oliwy, chociaż nie omieszkała wspomnieć, że chociaż nie smaruje nią twarzy, ma o wiele mniej zmarszczek niż pani Calment.

– Powinnaś zacząć – powiedziała jej Callie pewnego wieczoru przy obiedzie. – Za dwadzieścia lat wywiesimy twoje zdjęcie i ogłosimy, że oliwa czyni cuda.

Wszystkie wybuchnęły śmiechem, a Erin, która dorastała wśród pomarszczonych kobiet, zaczęła podbierać z lodówki oliwki i wcierać je sobie w twarz. Zachowanie to wywołało burzliwą dyskusję. Anna i Bets twierdziły, że to frywolność i marnotrawstwo. Callie, która przegrała już starcie o wróżkę Zębuszkę i Świętego Mikołaja, zagroziła, że

się wyprowadzi i zabierze ze sobą dziecko. Sąd uczynił ją legalnym opiekunem Erin i mimo że wszystkie zgodziły się wspólnie wychowywać dziewczynkę, gdyby zdecydowała się odejść, Anna i Bets nie mogłyby jej powstrzymać.

– Dziecko musi w coś wierzyć – argumentowała Callie. – Cóż w tym złego, że wierzy w dobroczynne działanie oliwek? Żadna z was nie może z całą pewnością stwierdzić, że oliwki nie przyczyniły się do waszego dobrego zdrowia. To, że w coś nie wierzycie, nie oznacza, że to nieprawda.

Anna była rozczarowana, gdy Bets stanęła po stronie Callie.

– W porządku, pozwólmy jej w to wierzyć – zakończyła dyskusję.

Anna mogła zrozumieć, że Callie nadaje gajowi i oliwkom jakieś magiczne właściwości, ale Bets powinna być rozsądniejsza. Gdy Anna i Bets były dziećmi, zwalniano je w porze zbiorów ze szkoły i musiały pracować równie ciężko jak dorośli. Tania siła robocza nie pochodziła z Meksyku, ale z domostw Kidronu. Myśląc o gaju, Anna przypominała sobie pęcherze, drzazgi, obolałe ramiona. Oliwki kojarzyły się jej z trudem i znojem. Bets ma podobne wspomnienia, na dodatek wiele lat musiały pracować razem, żeby utrzymać interes, gdy mężczyźni wyruszyli na wojnę. Miała ochotę potrząsnąć Callie i Erin i wyjaśnić im, że oliwki to zaledwie owoc ich ciężkiej pracy, ale one nigdy nie musiały tyrać w gaju, więc łatwo było im uwierzyć w czarodziejskie właściwości owoców.

Gdy urodziła się Callie, na zbiór oliwek zaczęli przyjeżdżać imigranci. Gaj cały czas pozostawał własnością rodziny, ale zarządzał nim sąsiad, z którym dzielili się zyskami. Dla Callie gaj oliwny był placem zabaw – rzędy drzew, pośród których można się schować, na które można się wspinać, gdzie można usiąść w cieniu i podziwiać szeleszczące na wietrze liście. Frank rozpuszczał swoje dzieci, szczególnie Callie, bo była pierwsza, a ją i rodzeństwo dzieliła bardzo duża różnica wieku. Deb, córka Callie i matka Erin, nigdy nie spędzała dużo czasu w gaju. Callie i jej pierwszy mąż kupili Olive Pit i jako dziecko Deb poznawała oliwki z puszki w światłach sklepu.

Gdyby mogła, Deb również wychowałaby Erin w sklepie, oferując jej sterylną wizję oliwek, ale wszystko popsuka. Gdy Erin zamieszkała w Hill House, Callie właśnie straciła męża i pracowała osiemdziesiąt godzin tygodniowo, żeby utrzymać sklep. Zostawiła wnuczkę pod opieką Anny i Bets, które ledwo nadążały za ruchliwą dziewczynką. Po raz pierwszy w życiu poczuły się stare. Żeby utrzymać porządek w domu, jak najdłużej przebywały z nią na dworze. Zanim Erin poszła do szkoły, spędzała całe popołudnia, biegając po gaju, gdzie babcie uczyły ją wspinać się na drzewa i zbierać oliwki.

Bets zaskoczyła Annę umiejętnością opowiadania historii. Chwila wytchnienia od ciągłego biegania za małym dzieckiem była dla Anny błogosławieństwem i z prawdziwą przyjemnością słuchała, jak córka opowiada o bogini Atenie, która w ramach



współzawodnictwa z bratem stworzyła drzewko oliwne, o wiele bardziej cenne niż ofiarowane ludziom przez jej brata źródło słonej wody. Podobnie jak bogini, Erin miała szare oczy. Legenda głosiła, że liście drzewek oliwnych zostały ukształtowane na podobieństwo oczu Ateny, bo mimo iż są zielone na wierzchu, ich spód jest szarawy. Słuchając opowieści córki, Anna nabrała odwagi, żeby opowiedzieć własną historię, skrywając ją za przygodami Dziewczynki i Żółwia.

Gdy Anna przyłapała ośmioletnią Erin na wcieraniu oliwek w twarz, zabrała ją do gaju i zaczęła opowiadać o drzewach. Nie mówiła o mitach, ale o naturze, która skrywała o wiele więcej tajemnic niż tysiące baśni. Był luty i zrobiło się na tyle zimno, żeby na wiosnę wykształciły się zawiązki pączków. Były ciepło opatulone, a zielony szalik Erin ciągle zaczepiał o gałęzie. Anna chciała pokazać praprawnuczce pierwsze drzewka, te które Percy zasadził po przyjeździe do Kidronu.

Starsze drzewa były łatwe do odróżnienia – miały grubsze gałęzie, a liście przypominały kształtem lotki jastrzębia – wydłużone, ze stożkowatymi zakończeniami. Duża ilość drewna w stosunku do listowia powodowała, że drzewa te dawały mniej oliwek, ale doświadczenie Anny mówiło, że oliwki ze starych drzew były większe i ciężkie od oliwy. Jej ojciec zaczynał od stu drzewek, ale na przestrzeni lat część zabrał mróz, choroby, szkodniki. Pozostały zaledwie dwa tuziny i teraz należały do Anny. Pracownicy wiedzieli, że to ona sprawuje nad nimi pieczę i mogą się do nich dotykać jedynie podczas zbiorów. Gdy któreś z młodszych drzewek słabo rosło, Anna szczepiła na nim pędy z drzew ojca.

Za parę miesięcy pokaże Erin, jak przygotować sadzonkę nowego drzewka, ale tego zimowego dnia chciała posadzić swą praprawnuczkę na drzewie i opowiedzieć jej o ich podróży z Australii, a wcześniej z Hiszpanii. Pomogła jej wspiąć się na koronę drzewa i usiadły razem otoczone gałęziami. Było tu cieplej niż na zewnątrz i ich oddechy nie jawiły się już jak biała para.

Erin pokazała Annie spodnią stronę liścia.

– Zobacz, ma taki sam kolor jak moje oczy, ale nikt inny takich nie ma. Musiałam je odziedziczyć po ojcu.

– Masz również jego palce – powiedziała Anna. – Zawsze myślałam, że ma zbyt kobiece dłonie, długie palce nadawały mu wyrafinowany wygląd. To dlatego zapisałyśmy cię na lekcje wiolonczeli. – Nie rozmawiały zbyt często o Carlu, ojcu Erin.

Dziewczynka milczała przez dłuższą chwilę, po czym przeciągnęła swymi długimi palcami po wydatnych kościach policzkowych Anny.

– Jesteśmy do siebie podobne. Może będę taka jak ty i też będę żyła wiecznie.

Anna się zaśmiała.

– A myślisz, że ile mam lat?

Erin wzruszyła ramionami.

– Tyle co drzewa?

– Bystra dziewczynka. Wiesz, dlaczego drzewka oliwne są takie niezwykle? Mają niesamowitą wolę przetrwania – powiedziała Anna. Nie była pewna, czy w wieku dziesięciu lat Erin wiedziała, co oznacza przetrwanie, ale dziewczynka przytaknęła. – Gdybyśmy dzisiaj ścięli to drzewo, na wiosnę z jego pnia wyrastałaby setka nowych pędów.

Erin spojrzała z niedowierzaniem.

– Powiedziałaś, że drzewo jest starsze od ciebie, skąd wiesz, że odrosłoby po ścięciu?

– Te pędy nazywa się czasami ssawkami – odrzekła Anna, wydając dźwięk, jakbyssała rurkę. – Potrafią wyssać potrzebną do wzrostu energię z korzeni ściętego drzewa. Najważniejsze są korzenie.

– Skąd się biorą te ssawki?

Annę zaskoczyło to pytanie. Myślała, że dziewczynka będzie chciała dowiedzieć się o cudzie, który sprawia, że umarłe drzewo budzi się do życia. Wyciągnęła rękę i pomogła Erin zejść z drzewa. Zdjęła rękawiczki i zaczęła rozkopywać ziemię wokół pnia. Ziemia rzadko tu zamarzała, chociaż miała w sobie tyle gliny, że była bardzo zbita. Anna wykopała dziurę na głębokość palców i odsłoniła chropawą, nierówną korę.

– Zawiazki korzeniowe. To magazyny substancji odżywczych i energetycznych, stąd właśnie biorą się ssawki.

Erin przeciągnęła palcami po zawiązkach i uśmiechnęła się.

– Wyglądają jak ukryte pod korą oliwki.

# ROZDZIAŁ ÓSMY

## Szóste pokolenie

Po wyjeździe genetyka Anna poszła się przespać. Obudziły ją odgłosy obiadu i gdy weszła do kuchni, cała rodzina raczyła się szynką i chlebem oliwkowym. Bets nie umyła się po wizycie w domu opieki i śmierdziała jak gnijące owoce. Jedynie Annie przeszkadzał zapach Golden Sunsets i Bets przekonywała ją, że to nie jest zapach śmierci, ale połączenie antyseptycznych środków myjących z potem.

Anna skrzywiła się i odwróciła wzrok od córki.

– Przestań – powiedziała Bets i klepnęła Annę. – Mogę jeszcze cię tam oddać.

– Nie jestem wystarczająco zniedołężniała. Zachowałam rozum i urodę. – Anna uśmiechnęła się, pokazując, że ma również większość swoich zębów.

– Wystarczy, że stracisz jedno. – Bets odwróciła się tyłem do matki.

– Wiesz, co tak śmierdzi? – zapytała Anna, siadając obok córki. – To pot i zgnilizna.

Byłam na tyłu pogrzebach, że doskonale rozpoznaję zapach śmierci, i tym właśnie zalatuje dom Franka.

– A czego się spodziewasz? – spytała Bets. – Z pewnością każdego tygodnia umierają tam ze dwie, trzy osoby.

Erin się zaśmiała.

– Bardzo mi was wszystkich brakowało. Odkąd wyjechałam, nie prowadziłam równie niefilozoficznej rozmowy o śmierci.

Dla Anny śmierć nie była abstrakcją. Jako dziecko żyła w bardziej niebezpiecznym świecie – mężczyźni ginęli w wypadkach na farmie, kobiety umierały przy porodach, dzieci płonęły w szkole. Erin nigdy nie uczestniczyła w pogrzebie. Nie pozwoliły jej pójść na pogrzeb ojca, a potem nie zmarł żaden z jej bliskich.

– Śmierć jest częścią cyklu. Nie jest końcem ani początkiem, po prostu jest – podsumowała Callie, po czym zaczęła wypytywać Bets o Franka. – Jak się miewa tata? Nastąpiła jakaś poprawa? Pogorszenie?

– Ma nowego przyjaciela – odrzekła Bets i opowiedziała o pięćdziesięcioletnim mężczyźnie, który jeździł na specjalistycznym, sportowym wózku. Anna zauważyła, że Erin znów je mięso, a słuchając opowieści prababki, wyciągnęła sobie z głowy pasmo włosów. Anna nawiązała kontakt wzrokowy z Callie i pokazała w stronę Erin.

– Później – bezgłośnie powiedziała Callie i zaczęła zbierać talerze.

– To kto jedzie ze mną odwiedzić mamę? – spytała Erin wysokim, niepewnym głosem. Anna wiedziała, że dziewczyna czekała z tym pytaniem, aż Callie opuści kuchnię. Deb

przebywała w Chowchilli od dwudziestu lat, a Callie nie odwiedziła córki ani razu.

– Obie pojedziemy – odrzekła Bets.

– Ale nie tak od razu – dodała Anna. – Dopiero co przyjechałaś i mamy tyle do nadrobienia. Możemy pojechać w przyszłym tygodniu?

– Jestem zmęczona. – Erin utkwiała oczy w podłódze. – Chyba zaczynam odczuwać zmianę czasu.

Odesłały ją do pokoju, a Callie zaciągnęła żaluzje i grubą brokatową zasłonę.

– Powinna trochę pospać – rzekła Bets.

Anna pomyślała, że muszą porozmawiać o nagłym przyjeździe i dziwnym zachowaniu Erin, ale wszystkie rozeszły się do swoich pokoi, które opuściły dopiero parę godzin później, gdy Anna podgrzewała na kuchence mleko.

Rozumiała, że muszą przetrwać wiadomości o Deb. Nie wiedziały, że ma ponownie wystąpić o przedterminowe zwolnienie, komisja penitencjarna miała obowiązek poinformować o rozprawie jedynie ofiary. Erin była zarówno ofiarą, jak i rodziną skazanej.

– Jej zmęczenie po zmianie czasu powinno dać nam parę godzin – powiedziała Bets. Otworzyła puszkę z rozpuszczalnym kakao i wsypała trochę do filiżanek z ciepłym mlekiem.

Po każdym łyku Callie dosypywała do swojej filiżanki kolejną łyżeczkę sproszkowanej czekolady.

– Nie pomogła mi za bardzo w sklepie. Musiałam wszystko liczyć po niej od nowa, więc w końcu posadziłam ją na kasie.

– Nic nie powiedziała? – spytała Bets i zwróciła się do Anny. – Dowiedziałaś się, kiedy jest przesłuchanie?

– Mamy około dwóch miesięcy – powiedziała Anna, która dzwoniła w tej sprawie po wyjściu genetyka. – Strażnik był zdziwiony, że o tym wiemy. Myślał, że rodziny powiadamiane są na krótko przed rozprawą. Chyba nie chcą wzbudzać niczyich nadziei.

– Ostatnia rozprawa była czystą formalnością – zauważyła Bets.

Anna patrzyła, jak Callie dosypuje do mleka kolejne dwie łyżeczki kakao.

– Musi chodzić o coś więcej niż ta rozprawa – powiedziała Callie. – Czy któraś z was skontaktowała się z operą? Wydaje mi się, że musiała w jakiś sposób naruszyć warunki kontraktu. Umowa opiewała na trzy lata.

Bets potrząsnęła głową.

– Nie potrafię zorientować się w różnicy czasu, a zapewne nie oddzwonią do Stanów, ani nie zrozumieją, co mówię.

– Żadna z was nie wie nic o jej życiu? Co ona tam robi? Z kim się przyjaźni? Wydaje mi

się, że jakaś dziewczyna z Bostonu podpisała kontrakt w tym samym czasie co Erin... – Anna rzucała pytania z rosnącą frustracją. Poczucie winy, które miała, nie znając na nie odpowiedzi, zmieniło się w oskarżanie Bets i Callie. Erin pisała pełne frazesów listy, a ona jej na to pozwalała. Gorąco pragnęła wierzyć, że tym razem im się udało, że odpokutowały za Deb, dobrze wychowując Erin.

Zawołowane oskarżenia i poczucie winy doprowadziły Callie do płaczu. Żal z powodu tego, co się stało z Deb, położył się cieniem na każdym aspekcie jej życia. Desperacko pragnęła wybaczenia tego, że zawiodła własną córkę. Anna nie znosiła łez. Uważała je za marnotrawstwo i na widok zapłakanej wnuczki straciła cierpliwość.

– A wzięłyście pod uwagę najbardziej oczywistą przyczynę? – spytała.

– Nie chcę nawet o tym myśleć – westchnęła Bets. – Jest taka młoda.

– Jej matka miała zaledwie siedemnaście lat – powiedziała Callie. Odsunęła mleko i zaczęła wycierać serwetką oczy. Gruba warstwa kakao osiadła na dnie filiżanki.

– Musimy wiedzieć, co się stało. Obudzę ją i zapytam wprost – zdecydowała Anna.

– A jeśli się mylimy? – spytała Callie.

Anna wstała, ale Bets położyła jej rękę na ramieniu.

– Ja pójdę.

Mimo że Bets sprawiała wrażenie surowej, zawsze była najbliższa Erin. Przekonana, że zawiodła swoją córkę Callie, nosiła w sobie zbyt duże poczucie winy, żeby komuś matkować.

– A jeśli to prawda? – niepokoili się Callie.

– Dokonała trudnego wyboru – westchnęła Anna.

– To nie może być prawda – odparła Bets. – Tak bardzo się starałyśmy, aby miała życie, w którym nie trzeba dokonywać trudnych wyborów. Do diabła z tym!

Anna nic nie odpowiedziała. To była prawda. Wiedziała to od chwili, gdy Erin wysiadła z wypożyczonego samochodu. Nadchodzi szóste pokolenie. Poprzedniej nocy śniła o dziecku i czuła jakieś dziwne przyciąganie, jakby pępowina nie była przyczepiona jedynie do Erin, ale także do niej.

**FRAGMENT PRZEMÓWIENIA „ZMIERZCH STARZENIA”  
WYGŁOSZONEGO PRZEZ DOKTORA AMRITA HASHMIEGO  
NA KONFERENCJI NA TEMAT STARZENIA  
W GRUDNIU 2006 ROKU**

Wiele mitów w historii ludzkości związanych jest z dążeniem do nieśmiertelności. Siłą napędową większości religii – zarówno tych głoszących reinkarnację, jak i zmartwychwstanie – jest obietnica wydłużenia życia naszej świadomości. Koncepcja powtórnego życia w nowym ciele lub przywrócenia istniejącego ciała do czasów jego

światności wydaje się śmieszna do momentu, gdy zrozumiemy, że każdy ze zgromadzonych w tej sali uczonych usiłuje na małą skalę to właśnie osiągnąć – przy pomocy zwierząt laboratoryjnych albo w próbkówkach. Stoimy u progu nowej ery, w której ludzkość przestaje poszukiwać recepty na życie wieczne u bogów i zwraca się ku naukowcom.

Moje badania nie dotyczą nieśmiertelności, ale zachowania młodości. Większość z nas zna tragedię zakochanej w Titonosie bogini Eos. Bogini świtu, nieśmiertelna córka tytana, miała nieszczęście zakochać się w śmiertelniku. Gdy Titonos zaczął się starzeć, Eos wyprosiła dla niego u Zeusa dar wiecznego życia, ale zapomniała poprosić o dar wiecznej młodości. Ten błąd złamał jej serce, a Titonosa skazał na wieczne cierpienie. Zniedołężniał na ciele, chociaż pozostawał w pełni władz umysłowych. Nie mogąc znieść jego bełkotu i znieruchomiałego ciała, Eos pogrzebała Titonosa w pokoju bez okien, gdzie przebywa do dziś, pragnąc wyzwolenia przez śmierć i rozmyślając nad tym, że „nawet bogowie nie mogą odebrać swoich darów”, jak to ujął Tennyson.

Musimy pamiętać o jego losie. Siedząc wśród zgromadzonych tu gości, usłyszałem hipotezę, że pierwsza osoba, która dożyje stu pięćdziesięciu lat, już się narodziła. Mimo iż będzie to niezwykle osiągnięcie, współczuję tej kobiecie (nasze badania wskazują, że najprawdopodobniej będzie to kobieta, pierworodna córka pochodząca z licznej rodziny mieszkającej na Zachodnim Wybrzeżu). Jeśli nie będziemy potrafili zrozumieć procesu starzenia się, przedłużanie ludzkiego życia nie przyniesie niczego dobrego. Wyprodukujemy całą generację staruszków, którzy podobnie jak Titonos zostaną zamknięci w więzieniach swych zniedołężniałych ciał. Musimy połączyć wysiłki i wspólnie pracować nad znalezieniem klucza do zatrzymania procesu starzenia. Właśnie temu poświęciłem swoje życie. Przez ostatnie dziesięć lat na uniwersytecie w Pittsburghu poszukiwałem i spisywałem ludzi, których wspólnie z moimi współpracownikami zaczęliśmy nazywać superstulatkami. Są to osoby, których ciała nie podlegają normalnemu procesowi degradacji.

Ci ludzie, mając siedemdziesiąt lat, wspinają się na Mount Everest, przepływają kanał La Manche dla uczczenia dziewięćdziesiątych urodzin lub przebiegają maraton w wieku stu jeden lat. Wierzę, że wszyscy marzymy o takiej starości. Nie muszę przypominać zgromadzonym tu kolegom o burzliwej debacie nad przyczynami starzenia się. Istnieją dziesiątki różnych teorii mówiących o tym, że starzenie się jest chorobą lub efektem ubocznym ewolucji, że ma podłoże psychologiczne albo jest spowodowane nagromadzeniem się efektów promieniowania itd. Ta lista nie ma końca, a zgromadzeni tu uczeni sprawdzają każdą możliwą teorię, prawda jest jednak taka, że w dalszym ciągu nie wiemy, co powoduje proces starzenia.

Nie znamy również dokładnego mechanizmu działania aspiryny, nie wiemy, dlaczego czasami placebo przynosi lepsze efekty niż lek. Niektórzy twierdzą, że starzenie to jedynie akumulacja błędów, tylko dlaczego ciała niektórych ludzi popełniają ich o wiele mniej? Jedyнным sposobem, żeby znaleźć odpowiedź na te pytania, jest zgromadzenie jak największej ilości informacji o superstulatkach. Zapisujemy, co jedzą, gdzie mieszkają, ile czasu spędzają na słońcu, ile ćwiczą, jak długo żyli ich rodzice, i próbujemy znaleźć łączące ich cechy. Od dawna podejrzewałem, że czynniki dietetyczne i środowiskowe nie mają większego wpływu na proces starzenia, a zebrane przez mój zespół dane tylko to potwierdziły. Wielu superstulatków prowadzi aktywny tryb życia, nie pali i nie pije, ale podobny procent z radością ulega przyzwyczajeniom, którymi straszono ich całe życie. Za każdym razem, gdy rozmawiam z palaczami, przypominają mi, że doktorzy się mylą i palenie nie wszystkich zabija.

Wszystkich superstulatków łączy ogromna rozbieżność pomiędzy ich wiekiem chronologicznym a wiekiem biologicznym, mierzonym w skali Zyberga. W większości przypadków superstulatkowie pod względem psychicznym, fizycznym i społecznym prowadzą życie osób o połowę młodszych. Uprawiają seks, nie cierpią na bezsenność, pamiętają imiona i numery telefonów znajomych. Ponieważ Zyberg nie bierze pod uwagę wyglądu fizycznego, który jest głównie warunkowany przez czynniki genetyczne i środowiskowe, niektórzy superstulatkowie wyglądają na swój wiek, ale ich zdrowie fizyczne i umysłowe jest na poziomie ludzi mających dwa razy mniej lat.

Nasze badania dowodzą, że zdolność zatrzymania albo przynajmniej zwolnienia procesu starzenia kryje się w naszych ciałach, w naszych komórkach. Aby udowodnić tę hipotezę, poszukuję mutacji genetycznej, a żeby ją znaleźć, potrzebuję rodziny superstulatków. Wyzwaniem przy tego typu badaniach jest nie tylko mała liczba superstulatków – to niespełna tysiąc osób, rozsianych po całej Ziemi – ale także fakt, że ludzie równie często umierają ze starości, jak w wyniku wypadków. Wszyscy tu zgromadzeni doskonale rozumieją tego rodzaju problemy – brat bliźniak zginął na wojnie, córka podczas porodu. Możemy próbować rozwikłać zagadkę starzenia, ale świat pozostaje niebezpiecznym miejscem dla człowieka.

Przyznaję, że nieco zniechęcały mnie wspomniane trudności, aż na początku tego roku trafiłem na niezwykłą rodzinę w Kalifornii. Pięć pokoleń kobiet – począwszy od studwunastoletniej nestorki, po przedstawicielkę najmłodszego pokolenia, która ma dwadzieścia parę lat i jest obecnie w ciąży. Nie mam pewności, że wszystkie te kobiety będą superstulatkami, ale po wstępnych wywiadach i ankietach głęboko wierzę, że znalazłem rodzinę, która może nosić w sobie mutację genetyczną stanowiącą klucz do opóźnienia procesu starzenia.

Naukowcy z uniwersytetu w Pittsburghu zaczęli już sekwencjonować kod genetyczny tych kobiet. Mamy nadzieję, że w ciągu najbliższych dziesięciu lat zdołamy zidentyfikować geny odpowiedzialne za spowolnienie procesu starzenia oraz stworzyć odpowiednie leki i terapie pozwalające uaktywnić je u innych ludzi. Podejrzewam również, że u tych kobiet nie działają pewne szkodliwe geny. Ale wybiegam w przyszłość. Pozwólcie, że omówię dotychczasowe badania. Powiem tylko, że jeśli rzeczywiście narodziło się już dziecko, które dożyje stu pięćdziesięciu lat, to zanim osiągnie wiek średni, będą już istnieć terapie, które pozwolą mu również zachować młodość.



**CZEŚĆ DRUGA**  
**Piąte pokolenie**  
**Erin zimą**

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## Fryzura

Do stycznia zamieszanie wywołane przyjazdem i ciążą Erin nieco osłabło. W długie zimowe wieczory Erin rozmyślała o swoim pierwszym strachu przed ciążą.

W przeciwieństwie do niektórych koleżanek przeżyła to dopiero w college'u. Razem z poznanym na zajęciach z teorii muzyki chłopakiem bawili się w randkowanie. Ona ofiarowywała mu drobne dowody uczuć – kartki, naklejki z superbohaterami, ulubiony napój, a on pomagał jej nałożyć płaszcz i płacił za kolacje. Fascynowały ją jego wiecznie wilgotne brązowe oczy sprawiające wrażenie, jakby w każdej chwili mógł się wzruszyć. Przespali się ze sobą, a kiedy to się stało, zaczął ich łączyć jedynie rekreacyjny seks.

Jedno dzwoniło zwykle do drugiego i wymyślało jakiś powód, żeby przyjść.

– Zostawiłam u ciebie rękawiczkę – mówiła.

Albo on twierdził, że zapomniał notatek z zajęć, na które razem chodzili. Po jednym z takich absurdalnych telefonów współlokatorka Erin, chuda dziewczyna z Vermontu, wygłosiła swoją ocenę sytuacji:

– Widzę, że wreszcie zrozumiałaś.

– Co? – zapytała Erin, bawiąc się włosami.

– Że to całe chodzenie ze sobą jest dobre w liceum.

Erin się zaczerwieniła.

– Jesteśmy ze sobą. To znaczy...

– Ale to nic poważnego. Nie jesteście w związku, prawda? Gdyby chciał, mógłby przespać się z kimś innym?

Nie było sensu zaprzeczać. Erin nie widziała przyszłości z tym chłopakiem. Pokiwała głową.

– Jesteś taka naiwna – oznajmiła jej współlokatorka. – Większość z nas wiedziała o tym, zanim zaczęłyśmy college. Ale powiem ci, co powinnaś zrobić, szczególnie jeśli chodzi o niego. Baw się seksem, myśl o swojej przyjemności i powiedz, żeby zadowalał cię językiem. Żaden z chłopaków się do tego nie przyzna, ale każdy to robi.

Gdy Erin ochłonęła po tym koleżeńskim wykładzie, stwierdziła, że to jedyna pożyteczna informacja, jaką zdobyła w tym semestrze. Od tej pory bez zbędnych ceregieli sypiała z chłopakami, oferując im nie więcej niż uśmiech i skrzątnie ukrywając swą naturalną uczuciowość.

To nowe podejście okazało się bardzo przydatne, gdy kilka tygodni później spóźnił jej się okres. Ben poszedł z nią do przychodni studenckiej, trajkocząc przez całą drogę, jak

bardzo podoba mu się gra w golfa frisbee. Gdy Erin wyszła z gabinetu, dzierżąc w dłoni negatywny test ciąży, nie było go w poczekalni. Nie widziała go aż do końca studiów. Pojawił się wtedy u jej drzwi z bukietem goździków i oznajmił, że ją kocha. Przespała się z nim, ale noc okazała się porażką. Zaczął płakać, a kiedy przytuliła go i poklepywała na pocieszenie po plecach, dostała ataku tak niepohamowanego śmiechu, że z trudem łapała oddech. Ben, którego wiecznie wilgotne oczy świeciły tym razem prawdziwymi łzami, rzucił jej nienawistne spojrzenie, chwycił sfatygowany bukiet i wyszedł.

Myślała, że wyleczyła się z nadmiernej wrażliwości, którą wpoili jej babki. Ale pięć miesięcy temu, w Rzymie, gdy test ciąży okazał się pozytywny, jej powaga wróciła.

Powinna mu powiedzieć, że jedzie do Kalifornii, ale nie chciała płakać przy nim w świetle dnia. Poza tym cały czas był zła, bo gdy powiedziała mu, że spóźnia jej się okres, chciał iść na kolację, jakby nigdy nic.

– Ale ja jestem w ciąży – przypomniała dobitnie, podczas gdy sklepikarz zamiatał wokół ich stóp.

Chłopak chwycił ją za łokieć i odsunął od miotły.

– Tak, rozumiem, rozumiem.

– Nawet nie jestem głodna – powiedziała, z nadzieją, że on się opamięta.

– Wszyscy musimy jeść, a w The Swan jest takie dobre jedzenie.

Tego wieczoru zjedli razem kolację i ani razu nie wspomnieli o ciąży. Opowiadał jej o problemach z sekcją instrumentów dętych i chciał poznać jej opinię o amerykańskiej flecistce. Przedyskutowali nadchodzący koncert i zgodziła się pojechać z nim na weekend do Mediolanu.

Następnego ranka, w drodze na lotnisko, zastanawiała się, czy jego brak entuzjazmu wynika z faktu, że miał już pięcioro dzieci. Nie po raz pierwszy kobieta powiedziała mu, że oczekuje jego dziecka.

Kierowca taksówki miał przyklejone do deski rozdzielczej zdjęcie starszej kobiety i dziewczynki.

– Jest śliczna – powiedziała Erin, płacąc za przejazd.

Taksówkarz wziął pieniądze i przytrzymał na chwilę jej rękę, by opowiedzieć o swojej matce i córce. Nazwał je „kobietami swego serca”. Erin ciągnęła walizkę i myślała o słowach kierowcy. Anonimowa, na zatłoczonym lotnisku, położyła rękę na brzuchu i po raz pierwszy w życiu przestała tęsknić za swoją matką i zaczęła się zastanawiać, jaką będzie sama.

W dzień przed rozprawą Erin wzięła nożyczki babci i obcięła sobie grzywkę.

– Chciałam coś zmienić – powiedziała, gdy Callie zobaczyła ją, jak odkłada nożyczki do koszyka z przyrządami do szycia.

Unikała wzroku babki, a jej głos brzmiał, jakby zmieniała się z powrotem w małą dziewczynkę przyłapaną na grzebaniu w rzeczach babci. Callie chwyciła ją pod brode i przekręciła jej twarz w swoją stronę. Erin zamknęła oczy, chroniąc je przed wpadającymi do salonu promieniami zimowego słońca.

– Nigdy nie lubiłam cię z grzywką. Przypomina mi się, jak Bets zabrała cię do Supercuts, na strzyżenie za sześć dolarów i wróciłaś do domu z płaczem, bo nie zdawałaś sobie sprawy, że włosy zrobią się takie krótkie.

Erin uwolniła się i usiadła w fotelu Anny.

– Miałam osiem lat i myślałam, że z grzywką będę wyglądała jak księżniczka.

– Teraz też wyglądasz na osiem lat – powiedziała Callie, biorąc swoją robótkę. –

Następnym razem weź nożyczki z kuchni, stępisz mi ostrza.

Erin zaczęło swędzieć czoło od drobnych włosków.

– Okej.

– Posprzątałaś bałagan w łazience? Włosy wchodzą wszędzie.

– Zaraz to zrobię. Myślałam, że nikogo nie ma w domu.

Przez chwilę Erin przysłuchiwała się delikatnym uderzeniom babcinych drutów. Wiedziała, że Callie chciałaby, żeby natychmiast poszła posprzątać łazienkę, ale nie ruszała się z miejsca. Teraz, kiedy oczekiwała własnego dziecka, nie czuła już potrzeby natychmiastowego wypełniania poleceń. Postanowiła zmusić Callie do rozmowy o jutrzejszym przesłuchaniu.

– Wcześniej wróciłaś. Bets zabrała Annę na odwiedziny do Franka. Wybrały się z podwójną wizytą, bo nie będą mogły pojechać jutro.

– Bets jest bardzo dobrą żoną. – Callie nie podnosiła wzroku znad robótki.

Erin chciała ponownie zapytać, czy Callie pojedzie na przesłuchanie. Zastanawiała się, na ile sposobów już ją o to pytała, myślała o podsłuchanych słowach Bets, która tłumaczyła Callie, że Bóg nie daje szans na powtórki, nawet matkom, myślała o kłopotliwych rozmowach ze znajomymi, którzy wypytywali, jak się miewa Deb. Przez te wszystkie lata Callie ani razu nie odwiedziła córki, nie napisała żadnego listu, mimo że Bets i Anna co miesiąc jeździły do Chowchilli. Dziecko zaczęło wyczyniać akrobacje w brzuchu Erin i dziewczyna przesunęła się na brzeg krzesła, usiłując wyprostować kręgosłup. Nigdy nie rozumiała, dlaczego Callie postanowiła tak drastycznie wykreślić córkę ze swojego życia.

– Dziecko się rusza – powiedziała, sięgając po rękę babci.

Callie policzyła oczka w ostatnim rzędku i odłożyła niedokończony różowy kaftanik. Przez kilka minut siedziały w ciszy, a Erin trzymała rękę na dłoni Callie, przesuważ ją, gdy dziecko zmieniało położenie.

- Jak zaawansowana jest ciąża?
- Doktor powiedział, że to piąty miesiąc.
- Rozmawiałaś z ojcem dziecka?

Erin poczerwieniała.

– Trochę. Jeszcze nie jestem gotowa.

– Nigdy ci tego nie powiedzą, ale wiesz, że to je dręczy, prawda? Anna i Bets nie mogą zrozumieć, jak mogłaś doprowadzić do tej sytuacji.

– Ale ty chyba rozumiesz, jak ludzie wpadają w tego typu problemy? – Wychowując się z babkami, Erin nauczyła się odpowiadać atakiem na atak.

Callie jakby się zawstydziała.

– Wszystkie to rozumiemy. Musimy tylko pogodzić się z tym, że wyjechałaś jako dziecko, a wróciłaś dorosła.

Erin nie była pewna, czy przygnębienie Callie wynika z faktu, że wnuczka dorosła, czy też cała sytuacja przypomina jej, że jej córka również zbyt wcześnie zaszła w ciążę. Być może nigdy nie pozna przyczyny smutku babci.

– W zeszłym tygodniu miałam USG – powiedziała w ramach rozejmu.

– I cały czas nie chcesz się dowiedzieć, czy to dziewczynka?

Erin nie złościły ich namowy, żeby poznać płeć dziecka. Babcie nie mogły się doczekać, żeby nowoczesna medycyna potwierdziła ich przypuszczenia, i nie potrafiły zrozumieć oporu Erin. Była już tak blisko, że myśl o wpatrywaniu się w ekran sonografu wydawała jej się komiczna.

– A po co mam wiedzieć? Ty, Anna i Bets powiedziałyście, żebym oczekiwała dziewczynki. To jest zapisane w naszych genach, poza tym wszystko, co robisz dla dziecka, jest różowe. Nawet Bóg nie ośmieliłby się igrać z całą tą pracą.

Callie sięgnęła do kieszeni po fiolkę z pastylkami i połknęła jedną. Następnie wyciągnęła chorą nogę i rozparła się na krześle.

– Przykro mi, ale nie mogę pojechać – powiedziała. – Jest pełnia sezonu, autobusy z kasyn przyjeżdżają co godzinę i musiałam zatrudnić dodatkowych pracowników do gaju. Potrzebują nadzoru i...

– ...wszystko będzie dobrze – odrzekła Erin. Wcale nie była tego taka pewna, ale z doświadczenia wiedziała, że jak zacznie ją naciskać, Callie zamknie się w sobie.

Miło było siedzieć z nią i rozmawiać jak równa z równą, jak kobieta z kobietą. Słońce powoli chowało się za górami, a one plotkowały i wymieniały się opowieściami o dzieciach i robieniu na drutach. Wkrótce pokój pogrążył się w ciemności i Erin pociągnęła za sznureczek lampy. Jej włosy uwolniły się z węzła, który zamotała w trakcie rozmowy.

– Gdy masz splecione włosy, wyglądasz jeszcze młodziej. – Callie starała się unikać

tematu przesłuchania.

– Muszę siusiu – oznajmiła Erin i wyszła z pokoju.

Stała przed łazienkowym lustrem i zaplotła włosy w jeden warkocz, a potem w dwa, o luźnych splotach. Próbowwała różnych min, spojrzeń i układu ust, szukając na jutrzejszą rozprawę wyrazu twarzy dziewczynki potrzebującej opieki. Grzywka sprawiała, że nie wyglądała na swoje dwadzieścia cztery lata. Cięża też pomagała – jej twarz straciła ostre rysy, stała się bardziej pulchna. Sięgająca do brwi ciemna grzywka sprawiała, że jej jasnobrązowe oczy wyglądały na dużo ciemniejsze i smutniejsze.

Sprzątała ścinki ciemnych włosów i recytowała swoje oświadczenie na jutrzejszą rozprawę. Ważne, żeby to nie brzmiało, jakby nauczyła się jego na pamięć, ale doskonale wiedziała, że pozory spontaniczności wymagają wiele pracy. Nie ufała wskazówkom prawnika Deb, który poraził jej, żeby mówiła, kierując się sercem. Siedząc na jego krześle z imitacji skóry i wpatrując się w pokrytą plamami wątrobowymi twarz, myślała, że pomimo pięćdziesięcioletniej różnicy wieku wie więcej niż on. Jej serce przepełniały w równym stopniu miłość i złość.

# ROZDZIAŁ DRUGI

## Chowchilla

Stare i ciężarne kobiety mają słabe pęcherze. Erin potwierdziła tę obserwację podczas czterogodzinnej jazdy do Chowchilli. Z czasów nastoletnich pamiętała, jaką torturą były ciągle przystanki, ale tym razem była wdzięczna za każdą z pięciu stacji benzynowych, na których się zatrzymały, ponieważ dziecko zdawało się używać jej pęcherza jako worka treningowego. Ani Anna, ani Bets nie odpowiadały na jej nieprzerwany potok słów, więc po trzecim przystanku w Yuba City Erin zamilkła i zajęła się żuciem gumy, a żeby nie myśleć o monotonii podróży, szukała jednej stacji z muzyką pop za drugą przez cały czas podróży drogą numer dziewięćdziesiąt dziewięć.

Erin ciągle nie mogła się przyzwycząić do specjalnego traktowania, jakie spotykało ją ze względu na ciążę. Zbliżając się do bramy więziennej, przygotowała się na nieprzyjemne spojrzenia strażników. Spojrzenia, które zawsze przyprawiały ją o dreszcze, jakby rzucający je mężczyźni próbowali odgadnąć najgorsze rzeczy, do jakich była zdolna. Tego ranka jednak, gdy wręczyła otwierającemu bramę strażnikowi papiery wskazujące, że idzie na rozprawę sądu penitencjarnego, ten spojrzał jej w oczy i skinął głową, jakby chciał powiedzieć: „Masz rację, że to robisz”. To niespodziewane przyjęcie sprawiło, że zimny styczniowy dzień stał się jakby nieco cieplejszy.

Kobietom przydzielono strażnika, którego otyłość wyglądała na taką, jaka przytrafia się czasem byłym sportowcom. Podążyły za krępyim mężczyzną do prawie pustej sali przesłuchań i usiadły na przygotowanych dla cywili krzesłach. Powietrze w małym pokoju było zatęchłe i przypominało Erin cierpki zapach rzymskich alejek. Krzesła pokrywało szorstkie niebieskie płótno, przypominające bardziej konopie niż materiał. Anna kręciła się na niewygodnym siedzeniu, aż w końcu zdjęła z szyi starannie zawiązany żółty szal i powiesiła go na oparciu. Poruszała się ze zwinnością dwa razy młodszej osoby i cały czas mówiła mocnym głosem.

– Spodziewałam się, że to będzie bardziej przypominało Perry Masona, a mniej... – Anna urwała w połowie zdania, szukając właściwego porównania.

– DMV <sup>[1]</sup>– dopowiedziała Erin.

– To wszystko i tak jest z góry ukartowane – orzekła Bets, którą często irytował ich humor. – Prokurator okręgowy, komisja, Deb... zawsze odgrywają te same role, oskarżyciel, sędzia, powódka. To jedna wielka farsa.

Anna poklepała Erin po kolanie.

– Z wyjątkiem naszej uroczej wnuczki. Erin nie jest częścią ich scenariusza.

Nie było żadnego scenariusza. Przez chwilę Erin pomyślała, że chciałyby się znaleźć z powrotem w Rzymie albo choć przez moment rozważyć, że mogłaby nie urodzić tego dziecka. Na myśl o tym, jak chaotyczne były jej decyzje od momentu, gdy nasikała na plastikowy patyczek, zrobiło jej się gorąco. Pragnęła obwinić kogoś za swoje działania. Drżały jej usta i nie chcąc pokazywać swojej niepewności, wlepiała wzrok w dokumenty, które umożliwiły jej udział w dzisiejszej rozprawie. Osoby wspomagające starania więźniów ubiegających się o warunkowe zwolnienie nie mogły zwykle zeznawać, dopuszczane były zaledwie ich listy. Erin pracowała nad swoim listem tygodniami. Chciała się upewnić, że zrobiła absolutnie wszystko, co w jej mocy, żeby pomóc w zwolnieniu matki, ale niezależnie od tego, co napisała, jej prośby, żeby matka mogła towarzyszyć jej przy narodzinach pierwszego dziecka, wypadały blado na papierze. Potem, w grudniu, odkryła lukę prawną, dzięki której będzie mogła zabrać głos podczas dzisiejszej rozprawy.

Otwierające się drzwi przerwały rozmyślenia Erin. Do pokoju weszło dwóch przedstawicieli komisji orzekającej w sprawach o zwolnienie warunkowe i zajęło miejsca za składanym stołem. Za nimi weszła drobna kobieta w nieokreślonym wieku, z przenośną maszyną do pisania. Erin obserwowała członków komisji i myślała o słowach Bets. Miała wrażenie, że bierze udział w mistyfikacji pierwszej klasy – w pseudoprociesie, który miał zdecydować, czy po prawie dwudziestu latach w więzieniu Deb powinna wrócić do społeczeństwa. Doskonale wiedziała, że zbyt długie przebywanie w zamknięciu uniemożliwiało adaptację do życia na zewnątrz. Erin wpatrywała się w mężczyzn, którzy zadecydują o losie Deb. Obaj mieli przed sobą grube pliki papierów i mikrofony. Grubszy, w koszuli z krótkimi rękawami, bez krawata, miał bujne białe wąsy, nieco pożółkłe na końcach, i dużą bliznę na lewym przedramieniu. Jego brwi były równie gęste co wąsy i niemal całkowicie przysłaniały małe brązowe oczy. Nie wertował dokumentów, ale oglądał zgromadzoną publiczność, rodzinę i paru przypisanych do pokoju przesłuchań funkcjonariuszy. Gdy spojrzał na Erin, poczerwieniała i szybko odwróciła wzrok w stronę drugiego mężczyzny, który przeglądał leżące przed nim papiery.

Był chudy jak biegacz długodystansowy i ubrany w żółtą koszulkę polo i spodnie w kolorze khaki. Miał niedbale przycięte włosy i poobgryzane do samej skóry paznokcie. Szybko i chaotycznie przewracał kartki dokumentów. Gdy Anna zobaczyła, że Erin obserwuje mężczyznę, wyszeptała:

– Przystojny i nie ma obrączki.

– Nikogo nie szukam – odrzekła Erin głośniejszym głosem, niż zamierzała, a stojący obok drzwi strażnik opuścił swoje stanowisko i stanął tuż za nimi.

Erin wiedziała, że ciąża nie wpływa pozytywnie na jej urodę. Jej delikatne rysy



zniknęły pod opuchlizną, a skóra pokryła się plamami. Wyglądała jak przejrzały pomidor, któremu lada chwila pęknie skórka. Była świadoma tych zmian i reakcji mężczyzn. Kiedyś przebiegali oczyma po jej piersiach i wcięciu talii, teraz nie mieli na czym zaczepić oka. Wiedziała, że najlepszą strategią będzie poza osieroconej dziewczynki. Posłuchała rady Callie i zaplotła swe długie, czarne włosy w dwa warkocze, nałożyła tylko odrobinę maskary, a przed wejściem do sali przesłuchań delikatnie pociągnęła usta błyszczkiem. Ze spuszczoną głową usiadała w pierwszym rzędzie, tuż przed składanym stołem. Myślała o zachowaniu uczennic – o ich niepewności, zawstydzeniu. I teraz pod okiem członka komisji oparła jedną rękę na brzuchu, drugą podniosła do ust i zaczęła ssać kciuk.

– Przestań – powiedziała Bets, wyjmując jej rękę z buzi.

– Nie denerwuj się – dodała Anna.

Erin miała nadzieję, że mężczyźni na nią patrzą – chciała, żeby dostrzegli małą dziewczynkę, pocieszaną przez kobiety zbyt stare, żeby mogły się nią zająć.

Bets westchnęła i zaczęła się wachlować haftowaną chusteczką.

– Strasznie tu gorąco – powiedziała do strażniczki, która miała widoczne plamy potu pod pachami mundurowej koszuli z krótkimi rękawami. Potem zwróciła się do Anny. – Mamo, ten upał ci nie służy. Wyglądasz trochę niewyraźnie.

Anna jedynie potrząsnęła głową i naciągnęła sweter.

– Czuję się świetnie.

– Erin?

Erin wzruszyła ramionami, ale widząc troskę w oczach wąsatego członka komisji, powiedziała:

– Strasznie duszno. Może jakby był jakiś wiatrak albo...

– Wiatrak! – Bets klasnęła w ręce i spojrzeli na nią obaj mężczyźni zza stołu. Strażnik pokiwał głową w jej kierunku, ale nie popatrzył w jej stronę.

Zanim Bets zdążyła zająć się tą sprawą, do pokoju weszli Deb i jej adwokat.

Zamiast normalnego niebieskiego uniformu Deb miała na sobie żółtą bawełnianą bluzę w delikatne różowe różyczki, a pod nią różową koszulę z poplamionymi mankietami. Erin po raz pierwszy widziała matkę poza godzinami wizyt i do tej pory nigdy nie pomyślała o tym, że prosty wygląd Deb nie jest jej wyborem, ale kwestią regulaminu. Obserwowała ją, gdy przechodziła przez pokój i siadała przy stole, naprzeciwko komisji. Ze starannie zakreconymi czarno-siwymi włosami, zbyt pomarańczowym różem, nałożonym za nisko na lewym policzku, a za wysoko na prawym, z oczami ginącymi w morzu niebieskiego cienia i gęstej maskary Deb wyglądała jak rezydentka zakładu dla umysłowo chorych.

– Czy nikt nie dał jej lusterka? – zapytała Bets. – Może mogłaby zetrzeć trochę tego, zanim zaczną. – Nachyliła się i usiłowała zwrócić uwagę Deb, chrząkając i machając

chusteczką.

– Proszę nie komunikować się ze skazaną – przykazał strażnik, który przyprowadził Deb do pokoju.

Deb odwróciła się i pokiwała w ich stronę głową. Potem spojrzała na Erin, która odwróciła wzrok i położyła ręce na brzuchu. Napisała matce o ciąży, ale nie miały okazji o tym porozmawiać.

– Zapomniałam, że ma oczy matki. Są dziś takie niebieskie – powiedziała Anna.

– To oczy Franka. Deb ma je po nim. – Bets często poprawiała Annę i jej zwyczajowe zachowanie przywróciło nieco normalności do dusznego pokoju bez okien. – Dlaczego nie pozwolili nikomu jej pomóc? Mogłyśmy przynieść jej coś bardziej odpowiedniego do ubrania. – To była uwaga pod adresem adwokata Deb, Richarda, że ich na to nie przygotował. Z początku był przeciwny ich obecności podczas rozprawy, ale Erin przekonała go, że otoczenie rodziny ją „uczłowieczy”.

Anna poklepała ją lekko po plecach.

– To nieważne. Uspokój się. Musimy patrzeć w oczy członków komisji. Niech zobaczą, kto za nią stoi. Niech zobaczą w niej człowieka, a nie morderczynię.

Erin cieszyła się, że Anna tak wyraźnie stoi po stronie jej matki. Przez wszystkie lata, które spędziła z babkami, odnosiła wrażenie, że czują się najbezpieczniej, gdy Deb przebywa za kratkami. Callie nie odwiedziła córki ani razu, a Erin pozwoliła na pierwszą wizytę, dopiero gdy dziewczyna była w liceum. Jedynie Bets, którą Erin zawsze uważała za najbardziej hardą z rodziny, przychodziła do Deb regularnie. To Bets walczyła, żeby Anna i Callie pozwoliły Erin odwiedzić matkę. Uległy, dopiero gdy Erin skończyła czternaście lat i dostała tymczasowe prawo jazdy, bo martwiły się, że Bets co miesiąc jeździ sama cztery godziny do Chowchilli.

Erin patrzyła, jak Bets podaje prawnikowi chusteczkę i mówi, żeby Deb wytarła trochę twarz. Zastanawiała się, dlaczego Bets poczuwa się do takiej odpowiedzialności za wnuczkę, szczególnie że prawie nie rozmawia z córką. Staraly się to przed nią ukryć, ale Erin doskonale wiedziała, że każda z nich trzyma się swojego skrzydła Hill House. Nigdy nie pytała o przyczynę panującej między nimi ciszy, ale czasem słyszała, jak Anna tłumaczy im, że zbyt dużo od siebie nawzajem oczekują.

Kiedy wreszcie pozwolono jej przyjechać do matki, była zaskoczona bliską więzią między Deb a Bets. Jej stosunki z matką były dość powściągliwe, rozmowa nie przychodziła im łatwo, natomiast Bets i Deb były jak przykładowa matka z córką i Erin często im tego zazdrościła. Pragnęła dorosnąć i móc rozmawiać z matką jak równa z równą.

---

<sup>[1]</sup> DMV – Department of Motor Vehicles, biuro rejestrujące samochody i wydające prawa jazdy (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

# ROZDZIAŁ TRZECI

## Więzienna pieśń

Erin miała czternaście lat, gdy po raz pierwszy odwiedziła matkę w więzieniu. Było niezwykle gorące lato. Kobiety działały sobie na nerwy, szczególnie Bets i Callie, i Erin była zdziwiona, że Callie przygotowała jej na drogę kanapki. Babcia uściskała ją mocno i mimo że nic nie powiedziała, Erin zrozumiała ten uścisk jako prośbę, żeby nie jechała, że widok matki w więzieniu zmieni wszystko i nie zmieni niczego. Był to rok, kiedy wybuchła bomba na olimpiadzie w Atlancie, i Erin oglądała rozwijający się chaos i słuchała wypowiedzi świadków twierdzących, że niewiele brakowało do o wiele większej tragedii. Podobne odczucia towarzyszyły jej pierwszej wizycie u matki.

Chowchilla położona była w wymarłym centrum Kalifornii, otoczona plantacjami orzechów pistacjowych i migdałów. Drzewka były dość małe, mniej więcej wysokości człowieka średniego wzrostu, ich pokryte woskowatymi, zielonymi liśćmi gałęzie układały się w kształt parasolki. Układ plantacji przypominał Erin gaj oliwny Anny. Gdy zjechały z autostrady na kręte dróżki, przebiegała oczyma po równoległych liniach drzewek. Samochód zatrzymał się i znalazły się w kolejce pojazdów stojących wzdłuż specjalnego pasa dla maszyn rolniczych. Erin wyteżyła wzrok i dostrzegła pobłyskujące w oddali druty i parę prostokątnych budynków w kolorze piasku, które wydawały się falować w upale. Bets wyłączyła silnik.

– Jesteśmy za wcześnie. Wizyty zaczynają się o ósmej. – Sięgnęła do schowka i wyjęła przepustki.

- Dużo samochodów – zauważyła Erin.
- Dużo skazanych – powiedziała Bets.
- Powiedziałaś jej, że przyjadę?
- Tak, napisałam do niej w zeszłym tygodniu.
- Jak mam się do niej zwracać?
- Nie mogę ci odpowiedzieć na to pytanie.

Przez większość życia Erin mówiła o matce „Deb”. Tak nazywały ją babki i w ten sposób Erin mogła nabrać dystansu, który pomógł jej zaakceptować zaistniałą sytuację. Nie była jednak pewna, czy będzie w stanie nazywać ją po imieniu, gdy staną twarzą w twarz. Bets otworzyła powieść „Readers Digest”, a Erin wyjęła z notatnika jedyne zdjęcie, na którym była razem z rodzicami. Pomyślała, że jej matka wygląda jak nieco grubsza Elizabeth Taylor. Ojciec był tego samego wzrostu co matka, ale był chudy, miał długą szyję, wydatne jabłko Adama i nos równie spiczasty jak łokcie. Na fotografii patrzył

na lewo, na coś poza kadrem. Erin trzymała pulchną rączkę na jego policzku, jakby próbowała przekręcić mu głowę. Nie pamiętała momentu, kiedy zrobili to zdjęcie, ale babcia powiedziała jej, że było to latem, zanim „wszystko się stało”.

Bets i Erin zostały wpuszczone do poczekalni dopiero o wpół do dziesiątej. Musiały zostawić wszystkie swoje rzeczy, a Bets przełożyła kluczyki do samochodu i trochę drobnych w jednodolarowych banknotach do przezroczystej torebki. Prababka przeprowadziła je przez kontrolę ze sprawnością kogoś, kto toleruje zasady, ale nie zamierza ich respektować.

– Za każdym razem jest gorzej – powiedziała do siebie, gdy strażniczka obmacywała jej nogi i szybko przeszukiwała stanik.

Czekały z pozostałymi rodzinami w prostokątnym pokoju z umieszczonymi przy suficie małymi, podłużnymi oknami. Tuziny dzieci biegały i skakały, a niskie pomieszczenie o gołych, betonowych ścianach potęgowało hałas. Bets sztywniała za każdym razem, gdy zbliżało się do niej któreś z dzieci, jakby chciała dać do zrozumienia, że Erin nie ma nic wspólnego z tymi bachorami, że razem z Callie i Anną uważały, że gdyby przyprowadziły ją wcześniej, uznano by ją za chuligankę. Tak właśnie tłumaczyła jej Callie, gdy Erin zapytała, dlaczego inne dzieci mogą odwiedzać swoje matki. Czekając z Bets w dusznym pokoju, czuła teraz strach i pomyślała, że te wyjęte spod prawa dzieci wiedzą więcej od niej, a ta wiedza daje im siłę ponad ich wiek.

Gdy strażnik w końcu je wywołał, Bets wstała i popchnęła Erin w stronę drzwi prowadzących na dziedziniec. Strażniczka, która wyglądała na równolatkę Erin, przytrzymała drzwi pałką i przypomniała im, że mogą przytulić skazaną jedynie na początku i na końcu wizyty.

Gdy weszły na dziedziniec, Erin oślepiło poranne słońce odbijające się od metalowej siatki i otaczających ją niczym wstążki na prezencie kłębow kolczastego drutu. Zaczęła intensywnie mrugać oczami, żeby pozbyć się łez, i nagle znalazła się naprzeciwko Deb. Matka wyglądała zupełnie inaczej niż na zdjęciu. Była chuda, miała woskową, ziemistą skórę osoby, która więcej przebywa w świetle jarzeniowym niż na słońcu. Ubrana była w obszerny dzinsowy kombinezon, a jej włosy zaplecione w setki małych warkoczyków. Wciąż miały kolor dojrzałej oliwki, ale brakowało im blasku ze zdjęcia.

– Mama przesyła pozdrowienia – powiedziała Bets, nachylając się, żeby ją uściskać, a Erin zastanawiała się, dlaczego Bets kłamie.

– Jak się miewa? – zapytała Deb.

– W porządku, pracuje.

Callie nie chciała przyjechać do Chowchilli. Namawiały ją do tego co miesiąc przez ostatnią dekadę, ale zawsze odmawiała, tłumacząc się nadmiarem pracy lub jakimiś

ważnymi spotkaniami.

– Ja wreszcie przyjechałam – oznajmiła Erin, wyciągając do Deb rękę.

Matka ujęła jej dłoń w obie ręce i delikatnie ścisnęła.

– Powinnam była bardziej nalegać, żeby pozwoliły ci przyjechać wcześniej, gdy byłaś mniejsza.

Wokół nich starsze dzieci wspinały się na matki, a młodsze leżały w ich ramionach.

Erin usiadła obok Deb, ale na tyle daleko, żeby ich nogi się nie dotykały.

Chciała zachować dystans i chłód, ale gdy Deb zaczęła mówić, rozpoznała głos z dzieciństwa. Matka zadawała mnóstwo pytań o jej życie i mimo początkowych oporów Erin zaczęła odpowiadać i zaangażowała się w rozmowę. Nieczęsto bywała w centrum uwagi. *Ulubione? Turkusowy, Perły, Ania z Zielonego Wzgórza, Backstreet Boys, Matematyka, Linguini, Czekolada, Dźwięki muzyki. Chłopcy? Tommy Kilpatrick. Deskorolki.*

Gdy skończyły się pytania, Bets zaczęła opowiadać historie z życia Erin. Powiedziała, że nauczyciel algebry uważał, że mogłaby zostać inżynierem, że jako jedyna pierwszoklasistka dostała rolę w szkolnym musicalu. Rozmawiały o jej śpiewaniu, o tym, że nauczyciel muzyki był pewny, że Erin dostanie stypendium do Berkeley, Juilliard lub gdziekolwiek zechce. Gdy wyczerpały się tematy, rozmowa zesłała na zwykłe w ich rodzinie tory – oliwki i pogodę. Zawsze to samo, byleby tylko nie siedzieć w milczeniu. Erin nie mogła tego znieść, nie chciała stracić tych cennych chwil na omawianiu liczby pączków na gałęzi.

– Dlaczego zastrzeliłaś mojego ojca?

Deb rzuciła jej ostre spojrzenie, po czym odwróciła się plecami i zaczęła się wpatrywać w swoje paznokcie.

– Mamo! – Erin wykrzyknęła, aż spojrzało na nią kilka sąsiednich rodzin.

Siedząca po przeciwnej stronie stołu Bets pokręciła głową i próbowała zagłuszyć ciszę następną opowieścią z oliwnego gaju. Erin rozejrzała się po betonowym dziedzińcu, gdzie skazane siedziały ze swymi rodzinami. Zauważyła, że większość więźniarek jest bardzo młoda. Jej wzrok padł na czarnoskórą kobietę w średnim wieku, która karciała syna za wspinanie się na stół. Miała na sobie pognieciony kombinezon i rozprostowane, ale nieuczesane włosy. Była typem kobiety, która na wolności zapewne nosiłaby perukę; miałyby inną na każdy dzień i trzy specjalnie na niedziele. Erin spodziewała się, że matka złapie chłopca i na niego nakrzyczy, a ona tymczasem bez słowa położyła mu rękę na ramieniu, nachyliła się i wyszeptała coś do ucha. Na Erin krzyczano w dzieciństwie. Szczególnie Callie wrzeszczała i dawała jej klapsy. Jej babki pochodziły z innej epoki.

Bets spojrzała na zegarek i zaczęła wyjmować jedzenie, które kupiły w więziennym

sklepie. Nic specjalnego – chipsy, napoje gazowane, rozmiękłe kanapki. Erin zdała sobie sprawę, że pominą milczeniem jej pytanie, jej potrzebę zrozumienia. Parę lat później, gdy przeczytała relacje w gazetach, notatki z procesu i przedyskutowała to ze swoim terapeutą, zrozumiała, że nawet jeśli matka wiedziała, dlaczego zabiła Carla, nie była w stanie tego zwerbalizować i przekazać córce. Ale tego dnia, w więzieniu, Erin czuła się ofiarą konspiracji matki i babek, które nie chciały jej wpuścić do świata dorosłych.

Erin jadła kanapkę z tuńczykiem, a rozmiękły chleb rozpadał jej się w dłoniach. Podeszła do nich więzienna fotograf, więc usiadły po jednej stronie stołu i objęły się ramionami, a kobieta kazała im powiedzieć „zwolnienie”. Przez kolejne lata Erin będzie miała całą kolekcję tych zdjęć poprzipinaną wokół lustra. Ledwo się uśmiechały. Bets wróciła do tematu śpiewania.

– Słyszałaś, jak Erin śpiewa?

Deb pokręciła głową.

– Tylko jak była mała, alfabet i tę piosenkę o kołach autobusu.

– Zajęła trzecie miejsce wśród mezzosopranów w tegorocznym konkursie stanowym.

– Tak, wiem – odrzekła Deb.

Erin wysłała matce swoją nagrodę. Nie była pewna, czy więźniowie mogą mieć tego typu rzeczy, ale gdy śpiewała *Com'è bello*, myślała o swoich rodzicach. Tłumaczyła sobie ich historię, jakby to było libretto opery. W przepelnionym zdradami, morderstwami i nieślubnymi dziećmi renesansowym świecie Lukrecji Borgii opowieść o żonie mordującej męża była nieznaczącą drobnostką. Zastanawiała się, czy Deb wie coś na temat opery.

– Znasz tę arię? – zapytała matkę.

Deb pokręciła głową i zaczęła się tłumaczyć.

Bets weszła jej w słowo.

– Dopóki nie zaczęłaś śpiewać, nigdy nie słuchałyśmy w domu opery. Nawet mama nigdy nie lubiła muzyki klasycznej, śpiewała jakieś ludowe piosenki, a potem nastąpiła era jazzu.

– Zaśpiewasz dla mnie? – cicho poprosiła Deb.

Erin mogła udawać, że nie usłyszała, ale nie chciała stracić takiej okazji. Musiała pokazać matce, jak bardzo się różnią. Jak bardzo ona, Erin, różni się od wszystkich kobiet Kellerów. Wstała.

Przypomniała sobie, co nauczyciel śpiewu mówił jej o Lukrecji. Próbowała wczuć się w emocje kobiety tęskniącej za dzieckiem, otworzyła usta i zaintonowała mocnym, głębokim głosem, *Com'è bello quale incanto*.

Gdy skończyła, rozbrzmiały sporadyczne oklaski i śmiech, jakby publiczność nie wiedziała, jak zareagować na chudziutkie dziecko o czarnych, sztywnych włosach,

śpiewające głosem dojrzałej grubej kobiety.

Deb otarła łzy i zapytała.

– Co to znaczy?

Zanim Erin zdążyła odpowiedzieć, Bets przetłumaczyła początek utworu.

– Święta piękność. Dziecko natury.

– To piękne. Żałuję, że nie mogłam cię zobaczyć na scenie. – Deb sięgnęła po dłoń córki, ale zmieniła zdanie i założyła jej za ucho kosmyk włosów. – Piękne.

Rozległ się dzwonek i wizytujący zaczęli zbierać się i żegnać. Strażnicy powinni pozwalać jedynie na krótki uścisk i pocałunek, ale przymykali oko na trzymające się nóg matek dzieci i pozwalali skazanym zanieść maluchy aż do drzwi. Pożegnanie z Deb było krótkie i regulaminowe. Deb próbowała dłużej przytrzymać córkę, ale Erin wyrwała się jej po paru sekundach. Jedynie Bets odwróciła się, żeby jej pomachać, i wyszły.

W samochodzie po godzinie jazdy Erin spytała, dlaczego Bets zmieniła temat, gdy ona wreszcie zebrała się na odwagę, żeby zapytać Deb o morderstwo.

– Dlaczego stajesz po jej stronie, Bets? Mam prawo dowiedzieć się, dlaczego to zrobiła.

– Nie możesz tak niespodziewanie zadawać tego typu pytań.

– To nie było niespodziewane. Całe życie chciałam ją o to zapytać.

– Ale przecież wiesz, co się stało. Nie ma żadnych wątpliwości, żadnego innego podejrzanego. Twoja matka zastrzeliła twojego ojca podczas kłótni. Teraz powinnycie na nowo się poznać.

– Nigdy jej nie znałam. Nawet nie wiem, co Deb tam robi całymi dniami.

– Chcesz powiedzieć „mama”? – Bets nigdy nie mogła się pogodzić, że Erin mówi do matki po imieniu. – Normalna rutyna. Wstaje. Czeka. Ubiera się. Czeka. Je śniadanie. Czeka.

– Ale musi coś robić – nalegała Erin.

– Jest telewizor i inne kobiety.

– Więc ma przyjaciółki?

– Nie. Niezupełnie. Raczej...

– Chcesz powiedzieć pseudoprzyjaciółki.

– Tak, chyba można tak to określić – zaśmiała się Bets.

Erin milczała przez chwilę. Nacisnęła mocniej na gaz i była uradowana, że Bets nie zauważa, jak szybko mijają inne samochody. Cały dzień była wściekła na matkę, a siedząc za kierownicą – mimo że prowadziła dopiero drugi lub trzeci raz w życiu – poczuła, że opuszcza ją złość i powraca smutek, który zwykle jej towarzyszy.

– O to powinnam ją zapytać. Czy ma przyjaciół i co robi całymi dniami.

Bets wyglądała na zmęczoną.



– I tak by ci nie powiedziała. Dziesięć lat czekała, żeby się z tobą zobaczyć. Chciała usłyszeć twój głos i dowiedzieć się o twoich sprawach.

– Więc ty mi powiedz, jak jej tam jest.

– Nie mogę. Dlatego cię tam dziś zabrałam. Sama musisz to zobaczyć, usłyszeć od niej. – Oparła głowę o szybę. – Zwolnij.

Erin uniosła nieco nogę z gazu, ale pozostała na szybkim pasie.

– Dlaczego babcia Callie jej nie odwiedza?

– Bóg raczy wiedzieć – odrzekła Bets, zamykając oczy. – Moja córka ma serce z kamienia.

Erin nigdy nie uważała, by Callie była zimna. To Bets zawsze dystansowała się od reszty kobiet i dopiero dzisiejsza wycieczka spowodowała, że Erin zaczęła nieco inaczej ją postrzegać. Był w niej jakiś smutek – z powodu napiętych stosunków z córką, demencji męża, która go jej odebrała. Erin pragnęła zburzyć mur pomiędzy Bets i jej bliskimi. Odwróciła się, żeby zapytać Bets o dzieciństwo Callie, ale usłyszała jedynie chrapanie. Przycisnęła gaz, włączyła radio i zaczęła się zastanawiać, jak wyglądałoby życie babek, gdyby z nimi nie mieszkała.

# ROZDZIAŁ CZWARTY

## Druga strona

Rozprawa się opóźniała, a panujący w sali upał sprawiał, że każda sekunda dłużyła się jak minuta.

– Na co czekamy? – zapytała Anna.

– Już dziesięć po – oznajmiła Bets na tyle głośno, że usłyszeli ją wszyscy zebrani.

Adwokat Deb wyszeptał jej coś do ucha i zwrócił się do babek.

– Matka Carla miała jakiś atak w poczekalni.

– Atak? – Erin spojrzała na Deb, która siedziała z opuszczoną głową, opierając się ramionami o stół. Zawsze gdy pytała matkę o Carla i jego rodzinę, Deb zamykała się w sobie – odwracała się od Erin lub nawet kończyła wizytę. Równie trudno było porozmawiać na ten temat z babkami. Erin położyła rękę na brzuchu i zaczęła się zastanawiać, czy rodzina jej ojca wie o ciąży. W czwartym miesiącu brzuch zaczynał być widoczny, a dziś szczególnie starała się go podkreślić, wkładając obcisłą koszulkę.

– Zapewne atak paniki. Jest z nimi prokurator z prokuratury Okręgowej – powiedział Richard i wrócił do przeglądania swoich notatek i ogromnej teczki dokumentów, jakie Deb nazbierała podczas dwudziestoletniego pobytu w więzieniu.

Zgodnie z kalifornijskim prawem o ochronie ofiar przestępstw matka i siostra Carla miały możliwość zabrania głosu podczas pierwszej rozprawy o zwolnienie warunkowe. Erin czytała stenopis zeznań w ramach przygotowań do dzisiejszego przesłuchania i zdała sobie sprawę, że jako córka zamordowanego również kwalifikuje się jako ofiara i może złożyć oświadczenie. System prawny nastawiony był na zeznania w stylu matki Carla, pełne pasji, łzawe błagania o to, żeby morderca ukochanego członka rodziny w pełni poniósł zasłużoną karę. Życie za życie.

W 1986, gdy została skazana na dożywocie z możliwością ubiegania się o zwolnienie po piętnastu latach za zabójstwo drugiego stopnia, nikt nie spodziewał się, że odsiedzi więcej niż siedem lat. Erin pamiętała zapewnienia Anny, że matka wróci do domu, gdy ona będzie nastolatką. Jednak w tym czasie zmieniło się w Kalifornii społeczne nastawienie wobec skazanych przestępców. Na pierwszej rozprawie odmówiono Deb zwolnienia warunkowego i ustalono, że może ubiegać się o kolejne za trzynaście lat. Erin była załamana. Miała jedenaście lat i jej dziecięca wyobraźnia kipiała od obrazów matki wracającej do domu. Ale dwa miesiące temu, gdy czytała stenopis tamtego przesłuchania, ze zdziwieniem stwierdziła, że sympatyzuje z matką Carla. Od wielu dni nie mogła spać i nawet rozważała zarzucenie pomysłu wyciągnięcia matki z więzienia, gdy przyszedł jej

do głowy pomyśl na wykorzystanie w procesie swojej podwójnej roli.

Jako ofiara zbrodni mogła przemówić w imieniu zmarłego ojca, ale żadne przepisy nie zabraniały jej zamiast tego przemówić w obronie matki. Miała prawo zabrać głos i nikt nie mógł ocenzurować jej słów.

Gdy rodzina Carla wchodziła do sali, powstało małe zamieszanie. Pani Rivera z biura prokuratora podtrzymywała matkę Carla ramieniem. Starsza kobieta ścisnęła w dłoni białą chusteczkę z wyhaftowanymi fiołkami, którą co chwilę przykładła do oczu lub nosa. Co kilka kroków wzdychała ciężko i mocniej opierała się o panią prokurator. Erin zrobiło się dziwnie na myśl, że gdyby Carl żył, nazywałaby ten znerwicowany wrak kobiety babcią.

– Ta osoba nigdy nie potrafiła nad sobą zapanować – stwierdziła Anna.

– Nie zemdląła przypadkiem podczas procesu? – zapytała Bets matkę, pochylając się nad Erin.

– Przynajmniej jej córka nie płacze.

Lorraine, siostra Carla, chwyciła matkę za łokieć i poszła razem z nią, by usiąść po przeciwnej stronie pokoju. Była w wieku Deb, ale z uczesaniem w kok, rozjaśnionymi włosami i w świetnie skrojonym ciemnym garniturze wyglądała o dziesięć lat młodziej. Była w niej jednak również pewna surowość i gdy jej matka zaczęła narzekać na drapiące krzesło, westchnęła z rozdrażnieniem.

Prokurator Rivera reprezentująca stan Kalifornia zajęła miejsce przy swojej stronie stołu, naprzeciwko rodziny Carla, i uśmiechnęła się ciepło do członków komisji, a potem do Erin i jej rodziny. Była młoda, pewnie niewiele starsza od Erin. Miała jedwabistą skórę koloru kawy. Jej pulchność sprawiała, że emanowała ciepłem. Mówiła z ledwo dostrzegalnym obcym akcentem.

– Jesteśmy gotowi – powiedziała do komisji.

Mężczyźni rozluźnili się w jej obecności i Erin poczuła, że nagromadzone podczas czekania napięcie ulotniło się. Erin wzięła dłoń Anny i głaskała jej chłodną, papierową skórę. Dotyk skóry praprababci zawsze przynosił jej ukojenie. Od śmierci Carla jego rodzina nie chciała mieć z Erin nic wspólnego. Jedynym wytłumaczeniem ich zachowania była kartka, którą dostała na trzynaste urodziny od chorego na raka prostaty dziadka, pragnącego uciszyć przed śmiercią wyrzuty sumienia. Jeden z napisanych przez niego wersów wbił się w pamięć Erin, jak zbyt często grana piosenka pop. *Nie potrafiliśmy podjąć ryzyka nawiązania z Tobą kontaktu. Jesteś córką swojej matki.*

– Czekałam dwadzieścia lat, żeby powiedzieć tej kobiecie, co o niej myślę – rzekła Bets, gdy jeden z członków komisji zaczął odczytywać wymagane procedurą sprawozdanie. – Zostawiła czteroletnie dziecko. Według jej słów podczas procesu...

– Cicho. To nie jest odpowiednie miejsce. Poza tym chciałyśmy mieć Erin tylko dla siebie – upomniała ją Anna. – Byłoby okropne, gdybyśmy musiały się nią dzielić.

Deb spojrzała na nie z niepokojem i Erin usiłowała przyciągnąć jej wzrok i uśmiechnąć się, ale dziecko kopnęło ją mocno i skrzywiła się z bólu.

– Wszystko w porządku? – bezgłośnie zapytała Deb. Mogła rozmawiać jedynie z prawnikiem i komisarzami.

– Tak – powiedziała Erin. Przeciągnęła się, kładąc ręce u nasady pleców i wypychając brzuch do przodu.

W tym momencie siostra Carla nachyliła się w stronę matki i powiedziała głośno:

– Powinni zabronić tym kobietom się rozmnażać. Z ich krwi nigdy nie powstało nic dobrego.

Matka Carla spojrzała na Erin, a na jej sztucznie naciągniętej twarzy pojawiła się bruzda.

– Wygląda na zaplanowany zbieg okoliczności. Pewnie liczą na współczucie ze strony komisji. O ja biedna. Jestem w ciąży, a moja mamusia siedzi w więzieniu.

Erin i Bets zaczęły się podnosić, ale siedząca między nimi Anna położyła im ręce na kolanach i wyszeptała „Nie teraz”. Adwokat Deb spojrział na zebraną publiczność i pokręcił głową. Członek komisji ze zmasakrowanymi paznokciami podniósł głowę i zaczął ostro mówić do niewłączonego jeszcze mikrofonu.

– Niedopuszczalne są żadne rozmowy wśród zebranych aż do oświadczeń pod koniec posiedzenia. Osoby, które się nie podporządkują, zostaną usunięte z sali. – Po czym popatrzył na stenografkę i kiwnął głową.

Prokurator Rivera przebrnęła przez kilka formalności, odchrząknęła, wypila całą szklankę wody i zaczęła wygłaszać wcześniej przygotowane oświadczenie.

– Pragnę przypomnieć członkom komisji o niezwykle brutalnej naturze zbrodni, której dopuściła się pani Deborah Keller Ripplinger, i żeby to zobrazować, pozwolę sobie zacytować opis miejsca zbrodni, które przybyły policjant nazwał „krwawą łaźnią”.

Podczas pierwszego procesu policjant zeznał, że znalazł ciało Carla Ripplingera na podłodze w dwupokojowym mieszkaniu, które denat dzielił z żoną. Został postrzelony kilka razy, głównie w okolice klatki piersiowej i genitaliów. Erin opuściła głowę i położyła ręce na brzuchu. Wszystko potoczyło się tak szybko, że nawet nie zdążyła przygotować się na to, że prokurator nie pozwoli nikomu zapomnieć o tym, co zrobiła jej matka. Erin nie chciała, żeby nienarodzone dziecko słyszało te słowa. Sama nie chciała tego słuchać. Zaczęła w głowie śpiewać kołysankę z *Dumbo* z nadzieją, że dziecko wsłuchuje się w jej słowa i myśli, a nie w brutalny opis dziedzictwa swoich dziadków.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

## Historia Deb

Odkąd Erin mogła sięgnąć pamięcią, kolekcjonowała strzępki historii swoich rodziców. Podśluchiwała rozmowy babć, studiowała rodzinne fotografie, przeszukiwała na strychu pudła podpisane z boku niedbałym pismem: Zatrzymać dla Deb. Godzinami rozmyślała nad tym charakterem pisma i ukrytymi w pudłach szczątkami dzieciństwa matki. Z ich zawartości dowiedziała się, że Deb przeżyła fazę zamiłowania do porcelanowych kotów, a także, sądząc po zawartości dwóch różnych papierowych torebek, fazę zbierania tęczyowych gumek do ścierania i króliczych nóżek. Prawdziwy skarb znalazła jednak, gdy w wieku szesnastu lat natrafiła na książkę *Zew krwi*. Kartki wycięto, a w okładkach książki ukryty był pamiętnik matki.

Niebieski tom z imitacji skóry miał grube pozłacane strony koloru kości słoniowej. Matka nie zwracała uwagi na marginesy i każdy centymetr kartek zapełniało kulfoniaste fioletowe pismo. Zapętlone pochyłe litery miały taką samą wysokość, co szerokość i trudno było rozróżnić, gdzie się jedno słowo kończy, a nowe zaczyna. Erin czuła się trochę niezręcznie, czytając pamiętnik. Uważała, że tego typu zwierzenia powinny zostać odczytane dopiero po śmierci autora, a Chowchilla raczej nie była tym samym co cmentarz.

Pamiętnik pomagał jej odkrywać prawdę. Dorastając, doszła do wniosku, że jej babki skrywają jakieś ważne informacje o Deb. Unikały odpowiedzi na niektóre pytania i niepokoiły się, że Erin tak dużo czasu spędza z matką w Chowchilli. W roku, w którym znalazła pamiętnik, Erin uzyskała prawo jazdy i niemal co niedzielę jeździła do matki. Prawie zawsze opuszczała Kidron z postanowieniem, że zapyta o pamiętnik i o ojca, ale na widok ostrego jak żyłotka drutu nad bramą więzienia traciła odwagę.

Mimo że gorąco wierzyła, iż widzenia z matką, rozmowy, jej dotyk wytworzą między nimi jakąś więź, tak się nie stało. To pamiętnik pozwalał jej odkrywać prawdę, ale nic, co przeczytała, nie przypominało jej kobiety, którą poznała podczas wizyt w więzieniu. Matka wydawała się zaledwie echem osoby z niebieskiego zeszytu. Jej zachowanie, listy z więzienia, nawet charakter pisma – wszystko się zmieniło. Pisała teraz drobnym, ściśniętym pismem, jakby obawiała się, że jej sekrety trafią w niewłaściwe ręce, podczas gdy pamiętnik obfitował w sekrety wypisane zamaszystymi kulfonami.

Erin przeczytała pamiętnik cztery razy, zanim rozpoczęła poszukiwania innych informacji o matce. Pierwszy wpis pochodził z pierwszego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku: *Jak leci? Nie mogę uwierzyć, że w przyszłym tygodniu*

*zaczyna się szkoła! Już widzę, jak Heidi i śliczniutka Natalie będą się ze mnie naśmiewać i nastawiać resztę przeciwko mnie. Ale wszystko sobie obmyśliłam, będę supermiła dla Natalie, a potem powiem jej, że Heidi lubi ją tylko dla jej koni. Natalie nawet wygląda jak koń, z tym swoim długim nosem i ogromniastymi nozdrzami!!! Może narysuję jej portret i puszczę po szkole. Lepiej, żeby mama trzymała się z dala od mojego pamiętnika. Tata obiecał, że nie pozwoli jej go przeczytać. I tak wiem, co by powiedziała. Tylko dlatego, że kuleje i ludzie się z niej naśmiewają, powie, że jestem wredna. Ale to one zaczęły. Heidi była moją najlepszą przyjaciółką, a nie przyjaciółką Natalie.*

Kolejne wpisy wypełniały knowania i plany zemsty na niewiernej przyjaciółce. *Sprawię, że znów mnie polubią, a potem zrobię coś, żeby znienawidziły się nawzajem.* Przy pierwszej lekturze Erin zaskoczyła złość matki. Nigdy nie widziała Deb rozgniewanej i nigdy nie zaznała przyjaźni wywołującej tak silne emocje. Gdy naturalny cykl życia licealnego zabierał jej jedną przyjaciółkę, wiedziała, że wkrótce znajdzie następną. Zapiski Deb świadczyły o impulsywności, braku tolerancji, strachu przed zdradą, a przede wszystkim przed samotnością. Erin pragnęła znaleźć cechy, za które mogłaby polubić swoją nastoletnią matkę, ale z pamiętnika wyłaniała się postać tyrana z lekką nadwagą.

Później Deb pisała sporadycznie i głównie o problemach z koleżankami. Ale gdy poznała Carla, wpisy stały się codziennym rytuałem. Czytając te strony, Erin dowiedziała się, że jej rodzice zakochali się w sobie na dorocznym rodeo w Redding. Deb powinna właśnie siedzieć na lekcji algebry, ale w wieku szesnastu lat często znajdowała się tam, gdzie nie powinna. Kidron był zbyt mały dla poszukujących kłopotów nastolatków, więc pewnego ciepłego majowego dnia Deb wraz z koleżankami pojechały na północ do Redding i zasiadły na przykurzonych ławach otaczających ranczo i plac rodeo, w zasięgu wzroku mężczyzn. *Kowboje.* W ten sposób nazwała ich matka Erin w pamiętniku. Gdy wiatr wiał w stronę dziewczyn, przykładały do nosów pachnące chusteczki, którymi następnie machały do czekających na swoją kolej kowboi. Późnym popołudniem zaczął się steer wrestling<sup>[2]</sup>, a Carl był pierwszym zawodnikiem. Nigdy wcześniej nie widziała tej konkurencji i widok mężczyzny przeskakującego z galopującego konia i łapiącego za rogi ponad trzystukilogramowego byczka o imieniu Monkey Lip wywarł na niej ogromne wrażenie. W niespełna cztery sekundy Carl powalił czarną bestię na bok – wystarczająco szybko, żeby wygrać małą nagrodę pieniężną i zainteresowanie Deb. Napisała, że była to *miłość od pierwszego wejrzenia*, sformułowanie, które dość często gościło na kartach jej pamiętnika. Byli w jej życiu inni chłopcy, ale jak dotąd żadnego mężczyzny.

Carl miał oczy koloru przezroczystozielonej butelki po napoju, był niski i budową przypominał uliczny hydrant. Miał dwadzieścia siedem lat, ale pucułowate policzki i delikatnie zarysowane usta sprawiały, że wyglądał o dziesięć lat młodziej. Deb patrzyła

uważnie, jak otrzepuje siedzenie swoich wranglerów, zdejmuje kapelusz i kłania się publiczności. Dostrzegła, że jego rudawoblond włosy były wilgotne od potu, i zanim zorientowała się, co robi, zaczęła krzyczeć „Mój, mój, mój!”. Koleżanki śmiały się i dogadywały jej, ale nic jej to nie obchodziło. Patrząc na niego, przypomniała sobie, jak całowała się tego lata w oliwnym gaju z Bobbym, synem sąsiadów, i jak odsuwała jego rękę za każdym razem, gdy usiłował ją wsunąć pod jej spódnicę. Była pewna, że gdyby kiedyś miała szansę znaleźć się tam z tym kowbojem, pozwoliłaby jego ręce dojść do samego końca.

Erin straciła dziewictwo latem, przed pójściem do college'u. Wcześniej jedynie wyobrażała sobie uczucia, o których pisała matka. Jej pocałunki z chłopakami były nieliczne i niewinne. Babki bardzo pilnowały Erin. Co więcej, całe dni wypełniały jej różnorodnymi zajęciami, tak że nie miała czasu na głupoty. Lekcje tańca, nauka gry na wiolonczeli, lokalna grupa teatralna, trzygodzinne podróże do San Francisco w każdą sobotę, gdzie pracowała z byłym dyrektorem Royal Opera, i popołudnia w sklepie Callie. Erin nie postrzegała swego nadmiaru zajęć jako zamierzonej strategii do czasu, gdy wróciła z college'u i pierwszy raz w życiu musiała stawić czoło niezaplanowanym dniom.

Początkowe wzmianki o Carlu tchnęły w Erin nadzieję, że jej matka przestaje być rozhisteryzowaną nastolatką, ale dwa miesiące po ich pierwszym spotkaniu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku Deb napisała: *Wpadłam, chajtam się*, tym samym drobnym, ściśniętym pismem, którym będzie później pisać listy z więzienia.

Dalszy ciąg historii Erin poznała latem, tuż przed wyjazdem do college'u, po paru godzinach spędzonych w miejscowej bibliotece nad przeglądarką do mikrofilmów. Znalazła setki wzmianek o morderstwie, różniące się drobnymi szczegółami wersje tej samej historii – wzgardzona kobieta w szale zazdrości strzela do męża. Niektórzy reporterzy koncentrowali się na broni, inni na historii rodziny, a jeszcze inni donosili w końcowych akapitach, które mogłyby zostać wycięte, gdyby redaktorzy naczelni potrzebowali miejsca na reklamy mebli lub samochodów, że wszystko to – strzelanina, kłótnia, picie alkoholu – miało miejsce, gdy ich czteroletnia córka spała w przerobionej na sypialnię komórce.

Wkrótce prokurator Rivera dojdzie do tego szczegółu i gdy zacznie mówić o ułożeniu poduszek i lalki z Tęczowej Krainy, Erin będzie miała trudności ze złapaniem oddechu. Spędziła wiele lat, starając się o tym zapomnieć, bo na samą tylko myśl ogarniało ją przerażenie niczym silny suchy wiatr szalejący po łąkach Kidronu. Miała ochotę wybiec z dusznego pokoju, wsiąść do samochodu i zostawić te wszystkie kobiety i kłopoty za sobą. Mocno ścisnęła palcami szorstkie niebieskie krzesło. Dziecko kręciło się i obracało, a potem dostało czkawki, jakby chciało powiedzieć, że odczuwa to samo co ona. Jej strach nie miał nic wspólnego ze strzelaniną, ale z faktem, że tak mało wiedziała o matce i że nie

rozumiała swojego miejsca w historii rodziców. Pamiętała, że już kiedyś ogarnęło ją podobne odczucie – gdy siedziała w bibliotece, pochylona nad mikrofilmami, wdzięczna, że może się ukryć za brązowymi przepierzeniami, i czytała o morderstwie w „Kronice”. Interesowały ją wszelkie szczegóły, desperacko poszukiwała odpowiedzi, których nikt nie chciał jej udzielić, i nagle znalazła wzmiankę o sobie. *Czteroletnie dziecko spało w pokoju obok*. Była tam, w miejscu, którego nie pamięta, z ludźmi, których nie poznaje – i wtedy po raz pierwszy pojawił się ten strach.

---

[2] Steer wrestling – jedna z konkurencji rodeo, podczas której zawodnik zeskakuje z jadącego konia na byczka i mocuje się z nim, próbując powalić go na ziemię poprzez wykręcenie rogów.



# ROZDZIAŁ SZÓSTY

## W co wierzyła Erin

W małym dusznym pokoju prokurator Rivera opowiadała komisarzom o tym, jak znaleziono Deb z bronią w sypialni. Erin zamknęła oczy i zaczęła powtarzać sobie i dziecku swoją wersję wydarzeń tamtego wieczoru. To pomagało jej opanować wzbierające przerażenie. W głębi duszy rozumiała, że jej wyobrażenia nie mogą być prawdą, ale i tak bardzo chciała w nie wierzyć. Przestała słuchać jednostronnego, pełnego detali sprawozdania prawniczki i zastąpiła je swoją wizją, bo w końcu była wtedy w domu, razem z rodzicami.

Nie było to wymarzone małżeństwo Deb. Ona była zbyt młoda, a Carl za często wyjeżdżał. Nie chciał się zadomowić i podjąć pracy w przetwórnicy, którą proponował mu mąż Bets. Wolał jeździć na rodeo, co oznaczało, że przez dziewięć miesięcy w roku wyjeżdżał na długie okresy – czasami Deb musiała czekać dziesięć dni, zanim wykrzyczał przez telefon godzinę przyjazdu swojego autobusu.

Deb ciągle czekała na telefon, a jeśli nieobecność Carla trwała dłużej niż tydzień, zaczynała żyć w strachu, że on nie wróci. Zdejmowała z beżowej lodówki plan zawodów rodeo i szukała wytłumaczenia przedłużającej się nieobecności. Wyciągała atlas i za pomocą sznurówki próbowała określić odległości pomiędzy dwoma miasteczkami w Montanie. Nie jadła nic poza melonami i selerem, z nadzieją, że jak schudnie, to Carl jej nie zostawi. A jeśli jego nieobecność trwała dłużej niż dziesięć dni, zostawiała śpiącą Erin pod czujnym okiem matki i zajmowała miejsce w gospodzie Green Doors. Erin dowiedziała się tego, rozmawiając ze stałymi klientami baru, takimi jak Bobby. Deb lubiła flirtować z Bobbym. Mimo że miał dwoje dzieci z Natalie i z trudem utrzymywał rodzinę, udawała, że będzie jej pocieszycielem, gdy Carl postanowi nie wracać do domu.

Kiedy Carl był w domu, mieszkali w pensjonacie pani Castello, gdzie pracował jako złota rączka w zamian za pokój. Pensjonat był miejscem, w którym zatrzymał się czas. Zamieszkiwali go starzy kawalerowie (pozbawieni sprytu i majątku najmłodszy synowie, zbyt leniwi, żeby szukać szczęścia w innych częściach kraju), którym pani Castello gotowała i sprzątała. Carlowi odpowiadał ten układ, bo mógł się uwolnić spod czujnego oka Callie.

Był koniec sezonu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku i Carl wrócił do domu po dwunastu dniach nieobecności. Wydał więcej pieniędzy na podróż, niż zarobił na nagrodach, miał pęknięte dwa zebra i kostkę po upadku w Pocatello. Dzień przed jego przyjazdem Deb siedziała w gospodzie Green Door i zwierzała się jednemu ze stałych

klientów, Bobby'emu, że jej małżeństwo jest skończone i Carl z pewnością nie ma zamiaru do niej wrócić. Carl zadzwonił o trzeciej na ranem na koszt odbiorcy i przekrzykując operatora, oznajmił, że jego autobus z Pocatello przyjeżdża o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt pięć. Deb była pijana, gdy odebrała telefon w domu matki. Wybuchła płaczem i jeszcze długo po tym, jak Carl odłożył słuchawkę, opowiadała operatorowi, jak bardzo kocha męża i cieszy się, że wraca do domu.

Następnego ranka Callie znalazła ją śpiącą ze słuchawką przy uchu. Szturchnęła ją stopą, aż ta się obudziła i przeniosła do łóżka, po czym ubrała Erin i zabrała ją do sklepu, wiedząc, że nie zobaczy wnuczki przez najbliższe parę dni. Podczas procesu Callie zeznała, że jej córka bardzo się cieszyła z przyjazdu męża. Erin wyobrażała sobie, jak Deb szykowała się na powitanie Carla. Spakowała ubrania do kompletu walizek, który dostała w prezencie ślubnym od wujka Lestera, wzięła długą gorącą kąpiel i pomalowała na różowo paznokcie u nóg.

Późnym popołudniem odebrała Erin z Pit Stop i pojechały do pensjonatu pani Castello, gdzie zamieszkali z Carlem po ślubie. Pani Castello, która odziedziczyła pensjonat po matce, prowadziła interes jak w latach trzydziestych, i za dodatkową opłatą przygotowywała we wspólnej sali posiłki. Deb nigdy nie nauczyła się gotować, więc zjadły obiad w pensjonacie. Pani Castello siedziała u szczytu stołu i zanim zaczęła podawać ciepłe talerze, odmówiła modlitwę. Tego wieczoru Erin po raz pierwszy spróbowała zapiekanki pasterskiej i nawet poprosiła o dokładkę.

Pani Castello traktowała Carla jak syna. Zeznała, że nie sądzi, aby Deb planowała zabójstwo – jak ktokolwiek mógłby zaplanować zabicie tak radosnego, porywającego mężczyzny jak Carl? Uważała, że Deb go nie doceniała, ale wierzyła, że strzelanina była nieszczęśliwym wypadkiem. Jak kopnięcie psa. Wiesz, że zwierzę nie rozumie, o co ci chodzi, ale musisz je w jakiś sposób oduczyć sikania na kwiatki.

Gdy dochodziła dziesiąta wieczorem, pani Castello zaoferowała, że przypilnuje czteroletniej Erin, śpiącej w małym schowku, który Deb przerobiła na pokój. Pomieszkiwały tu od czterech lat i czytając stenogram zeznań, Erin była zdziwiona, jak dużo pani Castello wiedziała o jej rodzicach. „Nie, nigdy nie widziała siniaków na ciele Deb. Nie, Deb nie wyglądała, jakby bała się męża. Dziecko? Uwielbiali to dziecko”. Erin żałowała, że dom został przebudowany i zamieniony w aptekę, a staruszka siedzi razem z Frankiem w Golden Sunsets i bredzi od rzeczy, bo z pewnością mogłaby jej wiele powiedzieć o rodzicach.

W raporcie policyjnym Deb twierdziła, że albo źle zapisała czas przyjazdu, albo spóźnił się autobus. Erin wyobrażała sobie Deb czekającą na aluminiowej ławce obok napisu Greyhound przy Antelope Drive. Upalny dzień dawno się skończył i dygotała w cienkiej

bawełnianej sukience. Adrenalina, która popychała ją przez cały dzień, ulotniła się, pozostawiając zmęczenie i ból mięśni. Siedziała, marząc o życiu z dala od Kidronu, z dala od Carla. Obudził ją pisk hamulców wielkiego, srebrnego autobusu i poderwała się z ławki. Nie chciała, żeby zobaczył ją zaspaną i rozkojarzoną. Carl był jedynym pasażerem wysiadającym w Kidronie.

Kulał. Jeden z byczków, z którym siłował się w małym miasteczku we wschodnim Idaho, stanął mu na stopie i Carl, choć nie poszedł do lekarza, był przekonany, że ma złamane co najmniej trzy palce.

Widząc jego wykrzywioną z bólu twarz, Deb przyłgnęła do niego i zaczęła szeptać mu do ucha. Odepchnął ją i odebrał torbę, którą kierowca wydobył spośród góry bagażu, a teraz czekał na napiwek. Carl zbył go i zaczął iść w stronę zaparkowanego po przeciwnej stronie ulicy samochodu. Deb musiała dać kierowcy dolara.

Nie było to jej wymarzone powitanie.

W wywiadzie dla „Chronicle” siostra Carla nazwała go nieokiełznanym. „Szczерze mówiąc, byłam zdziwiona, że zdecydował się z nią ożenić. Mama go do tego nie zmuszała. Znała go najlepiej i wiedziała, że nie chciał mieć rodziny. Zawsze uciekał od nas na to swoje rodeo”.

Tej nocy, gdy zginął, Carl szykował się do wyjazdu na kolejną rundę rodeo do spalonego słońcem Idaho. Nawet opowiadał Deb, jakie to okropne miejsce, że wyglądając z okien autobusu, widział tylko kilometry brązu, brązową trawę, wzgórze, domy, wszystko w kolorze ziemi. Szeptali, żeby nie obudzić śpiącej Erin.

Deb dostrzegła, że Carl pakuje więcej rzeczy niż zwykle, że oprócz zapasowej pary dżinsów i bielizny włożył do torby swą szczęśliwą klamrę do paska i pamiątkową manierkę po ojcu. Odgadła jego sekret, zanim ośmielił się go wyjawić, a to skłoniło ją do zastanowienia się nad jej własnymi tajemnicami. Kilka tygodni temu Deb zabrała z Hill House broń dziadka. Próbuując odtworzyć tę część historii, Erin wymyślała wszystkie możliwe przyczyny, dla których matka mogłaby wziąć broń. Może chciała uniemożliwić dostęp do niej ogarniętemu coraz większą demencją dziadkowi albo potrzebowała jej do samoobrony, gdy nocowała w pensjonacie. Erin zastanawiała się, czy matka cierpiała na depresję i rozważała samobójstwo. Nigdy nie dopuszczała do siebie myśli, że wzięła broń z premedytacją, z zamiarem zabicia męża.

Erin wyobrażała sobie panujący w wynajętym pokoju zaduch. Nie pachniało tam cytryną i mydłem z olejku Murphy’ego, jak w domu Anny. Pachniało innymi ludźmi, nieszczęściem, smażoną wątróbką z cebulą i przemysłowym tanim mydłem, które zamawiano bezpośrednio u producenta.

Gdy wreszcie Carl przyznał, że zamierza odejść, Deb poczuła się jak byczek na rodeo.

Hasający po wybiegu byczek, którego ktoś nagle łapie za rogi i powala na ziemię. Ile czasu mówił to słowo? Sekundę? Deb pomyślała o Monkey Lip. O trzech i pół sekundach, kiedy Carl zeskoczył z konia i złapał byczka za rogi. A potem, gdy zwierzę pomyślało, że ma szansę ucieczki, i zaczęło kręcić głową, ręka Carla mocno zacisnęła się na jego nozdrzach. Może nawet Carl włożył mu palce do nosa, żeby sprawić mu ból, gdy tarzali się po ziemi.

Deb dorastała wśród babek, a potem od razu została matką i miała zbyt mało doświadczenia, żeby wiedzieć, że byczek mógł wstać, strącić z siebie dziewięćdziesięciokilogramowego mężczyznę i pobiec dalej, jakby zaledwie się potknął.

No i pozostawał jeszcze problem broni. Wzięła ją o wiele wcześniej, niż dowiedziała się, że on odchodzi. Zanim powiedział, że sypia z kobietami takimi jak ona, które widziały, jak powala na ziemię byczka, i które pragną, żeby z nimi zrobił to samo.

– Wzięła ją dla bezpieczeństwa – powiedziała Bets reporterom.

Sama dała jej broń do ręki, gdy Deb jechała do pensjonatu. Carl stał się nieobliczalny, pił i miewał ataki furii. Wspomniała również o podejrzanych mieszkańcach pensjonatu pani Castello. Dotarły do niej plotki o narkotykach i prostytutkach i chciała, żeby jej wnuczka i prawnuczka czuły się bezpieczne.

Lorraine, siostra Carla, widziała tę sprawę zupełnie inaczej. Gdy prawniczka przypominała opiekunowi sądowemu zeznania z procesu, Erin usłyszała cierpki szept Lorraine:

– Wymyśliły sobie tę historyjkę. Aż dziwne, że ława przysięgłych dała się na to nabrać. Sędzia najwyraźniej miał więcej rozumu, inaczej nie skazałby jej na dożywocie. Dostałaby pewnie z siedem lat, jak za wypadek. To nie był żaden wypadek.

Dla Erin był to nieszczęśliwy wypadek, co gorsza ona sama była wypadkiem, który zainicjował całą resztę pomyłek, błędów i nieporozumień. To jej obecność w brzuchu matki zapoczątkowała zmianę z dziewczynskiej bazgraniny w ściśnięte, drobne pismo.

Sześć strzałów.

– Potrzebuję cię – powiedziała Deb. Być może złapała go za kołnierz albo zaczęła wyjmować jego rzeczy z torby, którą pakował.

Za każdym razem, gdy Erin o tym myślała, pojawiały się inne szczegóły. Pewne informacje z procesu nigdy nie gościły w jej wyobrazeniach. Ojciec nigdy nie uderzył matki ani nikt nie bił jej. Nie było winnych, jedynie złość i wypadek. Potrząsnęła głową i zatkała sobie uszy, usiłując zagłuszyć słowa Rivery o morzu krwi i sześciu łuskach znalezionych przy ciele. Zamknęła oczy i ponownie spróbowała zobaczyć ten dzień swoimi oczami, mimo że spała wtedy przez cały czas, ściskając w ręku lalkę z Tęczowej Krainy.

Skończyło się piwo. Carl poszedł do sklepu na koniec ulicy, a w tym czasie Deb

rozpakowała jego torbę i znalazła damskie majtki albo ślady szminki na guzikach jego wranglerów. Carl wrócił, pogwizdując i brzęcząc kluczami. Erin pamięta, że ojciec zawsze gwizdał. Zwykle *Buffalo Girl* lub motyw z jakiegoś starego westernu. Nie wiedziała, że melodia, która kojarzy jej się z ojcem, pochodzi z filmu, dopóki nie zobaczyła *Jeździec znikąd*. Poszła na ten film z pierwszym chłopcem, którego pocałowała, a kiedy usłyszała muzykę, wybuchnęła niepohamowanym płaczem. Nie mogła nic powiedzieć, tylko siedziała, wycierając twarz brzegiem bluzki. I nie odpowiedziała już na żaden z jego telefonów.

– Dlaczego musisz z nimi sypiać? Dlaczego nie możesz zadowolić się ich podziwem i wrócić do nas do domu? – Deb zapewne wykrzyczała te słowa.

Erin знаła matkę i kobiety z rodziny wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że nie potrafią prowadzić logicznej dyskusji, ale rzucają oskarżenia i dają ponieść się złości.

– Daj spokój. Mamy wystarczająco dużo problemów, bez wnikania w to, co robię poza domem. – Erin wyobrażała sobie Carla jak bohatera westernu. Podobnie jak oni nie nadużywał słów.

– Nie mam zamiaru z tobą spać. Nie będziesz wkładać we mnie czegoś, co szlajało się po wszystkich barach Idaho.

– Wiesz, w Idaho nie ma zbyt wielu barów. Żeby napić się dobrej whiskey, trzeba czasem wprosić się do stodoły nowo poznanego znajomego. Nie moja wina, że czasem w tych stodołach są kobiety.

– Najwyższy czas, żebyś porzucił rodeo i został z nami.

– Jeśli każesz mi zostać, zostawię cię na dobre. Nic mnie już tu nie trzyma. – Erin chciała wierzyć, że ojciec wspomniał o niej podczas kłótni, ale w żaden sposób nie potrafiła wpleść wzmianki o sobie w wymyśloną narrację. Nie mogła sobie wyobrazić, że ojciec mówił o swojej córeczce, o ich córeczce, a jej matka odpowiedziała na to strzałami.

Czasem udawała, że ojciec zasłużył na śmierć.

– Skąd mam wiedzieć, czy ten mały bękart jest mój?

Czasami mówił jak Shane do Joeya<sup>[3]</sup>:

– Zadbaj, by wyrosła na silną, uczciwą kobietę, nawet gdy mnie już nie będzie.

W odpowiednim czasie wszystko jej wytłumaczysz.

Awantura się rozwijała. Spadały ze ścian obrazy pani Castello, a na zdjęciach, które policja zrobiła Deb, zabierając ją do więzienia, widniała kobieta z opuchniętym policzkiem i rozciętą wargą.

Pierwsza kula trafiła Carla w tył lewego ramienia, przeszła ciało i utkwiała w solidnych drewnianych drzwiach. Carl odwrócił się i usiłował wyrwać żonie broń.

Drugi strzał przeszedł przez prawą dłoń i trafił go w udo. Carl osunął się na podłogę

i zaczął krzyczeć jak zarzynane prosię. Błagał o litość, ale strzeliła ponownie. Trzecia, czwarta i piąta kula trafiły w genitalia. Był już wtedy nieprzytomny. Drugi strzał trafił w tętnicę udową. Policja była już w drodze. Zadzwoił sąsiad z dołu, słysząc pierwszy wystrzał.

Szósta kula przeszła serce. Deb oddała ten ostatni strzał, leżąc na jego ciele. Koszula Carla i jej bluzka były osmalone od prochu, jakby po raz ostatni położyła głowę na piersi męża i nacisnęła spust.

Policja nie zastała jej leżącej na Carlu. Gdy Deb usłyszała syreny, wstała i wsadziła broń do kieszeni spódnicy. Potem poszła do schowka, gdzie spała Erin, położyła się i oplotła ramionami córkę. Czasami Erin wydaje się, że obudziła się po pierwszym wystrzale i czuła, jak matka przyszła utulić ją do snu, ale nie zawsze tak to pamięta. Jedno jest pewne, tak właśnie spały w domu babci Callie: matka ciasno obejmująca córkę. A teraz zawsze, gdy matka była w pobliżu, Erin czuła zapach prochu.

---

[3] Bohaterowie westernu *Jeździec znikąd*.

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

## Występ Erin

– Tak mi przykro. Tak bardzo mi przykro – wymruczała Deb, patrząc na matkę i siostrę Carla, gdy pani Rivera kończyła relacjonować przebieg zabójstwa. Z początku było to zaledwie ciche mamrotanie, jakby słowa więzły jej w gardle, ale w miarę jak przybywało wystrzałów, przeprosiny i szloch Deb nasilały się. Richard położył jej rękę na ramieniu i podsunął chusteczkę Bets. Nie wyglądało to najlepiej. Erin czuła, że członkowie komisji zaczynają się zwracać przeciwko jej matce, i chciała, żeby Deb uspokoiła się, zanim Rivera przejdzie do raportu psychiatrycznego. Łzy ewidentnie irytowały młodszego członka komisji. Pokręcił z politowaniem głową, odłożył ołówek i wyraźnie przestał się przysłuchiwać raportowi pani Rivery. Starszy mężczyzna, z bliznami na ramieniu, pochylił się i powiedział mu coś po cichu, po czym obaj spojrzeli na matkę Carla. Siedziała z wykrzywioną twarzą, odwrócona od rodziny Deb. Erin miała nadzieję, że staruszka nie przypomina żadnemu z członków komisji jego własnej matki; miała nadzieję, że dały im życie dobrotliwe kobiety, które nie wyglądały, jakby ssały cytryny dla zabicia czasu. Matka Carla poczuła ich spojrzenia i zamiast przyjąć wyraz twarzy biednej staruszki, nachyliła się w stronę Deb i powiedziała:

– Moja droga, nikogo nie obchodzą twoje przeprosiny. Nikogo nie obchodzą.

Strażniczka Holt opuściła swoje stanowisko przy drzwiach i stanęła w przejściu, pomiędzy dwoma rodzinami. Deb uspokoiła się i wytarła twarz chusteczką, ścierając przy okazji większość makijażu. Erin wyczuła zmianę w panującej w pokoju atmosferze i przekonana, że członkowie komisji pozostają po jej stronie, porzuciła horror wspomnień, rozluźniła się nieco i zaczęła przygotowywać do swojego oświadczenia. Prokurator Rivera poprosiła, żeby komisja przeszła do raportu psychiatrycznego, a Erin skupiła całą energię na swojej wypowiedzi. Ufała, że Richard przedstawił Deb jako wzorowego więźnia i w odpowiednim czasie sprzeciwi się raportowi twierdzącemu, że Deb cierpi na zaburzenia osobowości typu borderline. Dysponował dwiema opiniami prywatnych psychiatrów, którzy twierdzili, że mimo nadmiernej impulsywności Deb nie jest wariatką. Choroba psychiczna dobrze wyglądała w serialach telewizyjnych, ale przed komisją decydującą o warunkowym zwolnieniu była strzałem we własną bramkę.

Szybko przebrnęli przez sprzeciwy i wyjaśnienia.

– Jesteś gotowa? – Bets skubała blad różowy lakier na paznokciach i Erin widziała, że była bardzo zdenerwowana.

Prababcia pytała ją niezliczoną ilość razy, czy jej oświadczenie jest zgodne z prawem,

i zgodziła się przyjść na rozprawę dopiero wtedy, gdy Richard wysłał jej kopię przepisów potwierdzających, że bliscy skazanego mają prawo zabrać głos, bez względu na treść wypowiedzi.

– Chciałabym jedynie, żeby pozwolili mi mieć ostatnie słowo. Nie powinni dawać tego przywileju matce Carla.

– One na pewno mówią to samo o twoim oświadczeniu – powiedziała Anna na tyle głośno, że strażnik zaczął ją uciszać. Parę chwil później starszy członek komisji poprosił o oświadczenia bliskich.

Erin z trudem podniosła się z krzesła. Wygięła plecy, wypinając brzuch, jak tylko mogła, i położyła ręce na oparciu krzesła. Wiedziała, że wygląda, jakby jej ciąża była o wiele bardziej zaawansowana niż w rzeczywistości.

– Może pani siedzieć, jeśli tak będzie pani wygodniej – powiedział młodszy członek komisji i Erin poczuła do niego sympatię.

Pokręciła przecząco głową.

– To, co mam do powiedzenia, musi być wypowiedziane na stojąco. Apelowanie do dwóch nieznanym mężczyznom, żeby pozwolili mojej mamie wrócić do domu, nie jest zwyczajną prośbą i muszę ją wypowiedzieć, patrząc panom w oczy. – Mówiła wyraźnie, zmiękczając nieco samogłoski, tak że jej słowa płynęły przez pokój wprost do uszu członków komisji. Uczyła się mówić i śpiewać tak, żeby wpływać na odczucia słuchaczy. Nauczyciel emisji głosu wspominał, że przed epoką telewizji i kina ludzi można było wzruszyć głosem. Jedynie charyzmatyczni duchowni, dyktatorzy i aktorzy szekspirowscy potrafili wpływać na świadomość tłumów. W obecnych czasach nikt już nie rozumiał żywego teatru i gdy obdarzeni darem transformacji performerzy występowali w operach Pucciniego czy sztukach Becketta, publiczność nie była w stanie przełożyć ich kunsztu na słowa.

Lata ćwiczeń nauczyły Erin odpowiednio modulować głos, wpływać na publiczność tonem i tempem głosu. Łatwiej było osiągnąć zamierzony efekt przy akompaniamencie muzyki, gdyż pewne dysonansowe akordy i kombinacje nut działały jak zegarek hipnotyzera, ale można to zrobić za pomocą samych słów. To trudniejsze, ale nie niemożliwe. Zwiększając tempo wypowiedzianych słów, pastorzy, głównie mężczyźni, wprowadzali tłum w stan takiego szału, że gdy mówili „skacz”, tłum zaczynał skakać. Erin czytała o kobietach, które potrafiły wykorzystywać głos; wszystkie mówiły miękko, delikatnymi głosami, ze stanowczością, której nie sposób było się oprzeć. Kobiety potrafiły lepiej wyłudzać pieniądze, mężczyźni lepiej podporządkowywali sobie ludzi.

Erin potrzebowała tego drugiego.



– Nie mam ojca. Nie mam matki. Jestem sierotą, ale podobnie jak Annie, noszę w sercu nadzieję, że pewnego dnia będę miała mamę, że pewnego dnia wróci do domu, a ja położę głowę na jej kolanach i poczuję, że głaszcze mnie po włosach i mówi, że wszystko będzie dobrze. Nie mam medalika ani listu z obietnicą powrotu rodziców, otrzymałam za to obietnicę od stanu Kalifornia, że po zakończonej resocjalizacji mama będzie mogła wrócić do domu. Wierzę, że Kalifornia dotrzyma danego słowa... – oparła ręce na oddzielającym ją od komisji stole i pochyliła się w jej stronę – ...że dotrzymacie danego słowa. – Erin pozwoliła, żeby pokój wypełniła cisza, żeby dyskretne furczenie wiatraka dotarło do uszu zgromadzonych i zagościło w ich umysłach, a potem na chwilę przed tym, zanim stracą koncentrację, podniosła o oktawę głos, żeby sprawić wrażenie młodszej i zmusić członków komisji, by uświadomili sobie ciężką nad nimi odpowiedzialność. – Nie zamierzam prosić panów o zwolnienie mojej mamy z więzienia, ale chcę powiedzieć, jak bardzo jej potrzebuję... – Położyła obie ręce na brzuchu i wbiła wzrok w podłogę. – Dziewczyna bez matki skazana jest na popełnianie błędów. Wpadłam w kłopoty i potrzebuję kogoś, kto zapewni mnie, że moje błędy są do naprawienia, że na końcu tego ciemnego tunelu tli się światełko. Muszę usłyszeć to od własnej matki, żebym potrafiła powiedzieć mojemu dziecku, że upadając, uczymy się podnosić. Teraz sama w to nie wierzę. Słyszę to od innych, ale już tyle lat czekam i czekam, że moja matka się podniesie, ale nie wychodzi jej, chociaż wiem, że próbuje.

Erin chciałyby dotknąć jednego z członków komisji, położyć mu dłoń na ramieniu, nawiązać kontakt, ale nie mogła ruszyć się z za stołu, więc zrobiła to, czego uczyła się wiele lat, sięgnęła do nich głosem.

– Zadośćuczynienie – o to w tym wszystkim chodzi? Przebywała tu całe moje życie i nigdy nie dostała upomnienia za niewłaściwe zachowanie. Zapoczątkowała program dla młodych matek, kobiet takich jak ona, które musiały opuścić małe dzieci. Ale panowie to wiedzą, panowie wszystko wiedzą. Z wyjątkiem tego, jak to jest nie mieć matki. – Potrząsnęła głową, jakby powiedziała coś nie tak. Ostatnia część jej przemowy była wyjątkowo ważna. Musiała przekonać członków komisji, że to, co za chwilę powie matka Carla, będzie nieprawdą, że jej teatralne emocje są jedynie grą. Odwróciła się od komisji i zwróciła w stronę siedzącej ze spuszczoną głową matki Carla. – Wiem, że straciła pani syna, ale ja straciłam ojca. Mogła go pani widzieć, jak dorastał, stawał się mężczyzną i ojcem. Mnie nie było to dane. Proszę nie karać mnie za śmierć syna. Wiem, że żadne słowa nie zrekompensują pani straty. Doskonale to rozumiem. Ale proszę. Na Boga, proszę. Mama odbyła już swoją karę.

Erin wróciła na swoje miejsce. Niemal padła na krzesło, zaskoczona, jak bardzo jest wyczerpana i jak bardzo jej mowa w obronie matki różniła się od występu, na który się

przygotowała. Spojrzała na Annę i dostrzegła, że jej praprababcia płacze.

Nigdy nie widziała, żeby Anna płakała, i ogarnęło ją poczucie winy. Po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, czy dobrze robi, tak usilnie walcząc o zwolnienie matki. Pragnienie, żeby mieć przy sobie matkę, poczuła, gdy dowiedziała się o ciąży, i jego realizacji poświęciła całą zimę. Teraz, gdy przesłuchanie dobiegało końca, nie była już tak pewna słuszności swej decyzji. Pomyślała, że zda się na znak od Boga. Jeśli Deb nie zasługuje na zwolnienie, matka Carla wygłosi przemowę swego życia, doszuka się rys w argumentach Erin, wmówi im, że oddanie jej matki, która zabiła jej ojca jest gorsze od życia bez matki. Pochyliła głowę i zawarła pakt z Bogiem.

Matka Carla nie dała rady wygłosić mowy. Po pierwszym zdaniu zaczęła szlochać, wykrztusiła jedynie „mój syn, mój jedyny syn”, po czym córka wzięła kartkę z jej ręki i odczytała oświadczenie. Loraine czytała bardzo źle, zacinała się na niektórych słowach i zapominała zastąpić zaimek „ja” słowami „moja matka”. Pani Rivera przygarbiła się, a Erin zauważyła, że komisja przestała słuchać.

ARTYKUŁ OPUBLIKOWANY W „WASHINGTON POST” W MARCU 2007 ROKU  
„SIWIEJĄCE TSUNAMI: GLOBALNE STARZENIE SIĘ SPOŁECZEŃSTWA”  
AUTOR: AMRIT HASHMI

Wszyscy się starzejemy. Kolana już nie te, imiona, które zawsze pamiętaliśmy, chowają się gdzieś w zakamarkach pamięci. Problem nie dotyczy tylko urodzonych podczas powojennego wyżu demograficznego Amerykanów. Populacja starzeje się we wszystkich krajach. Organizacja Narodów Zjednoczonych przewiduje, że do 2050 roku światowa populacja ludzi po sześćdziesiątym piątym roku życia podwoi się z 7,6 procent do 16,2 procent. To prawie miliard osób.

I co z tego? – zapytasz. Może jesteś młody i nie możesz wyobrazić sobie problemów starszych ludzi. Albo jesteś stary i udało ci się zaakceptować starzenie jako część naturalnego cyklu życia. Mimo że naukowcy nie mogą na razie powstrzymać procesu starzenia, zrozumieliśmy jeden istotny fakt – nie jest to proces naturalny. Przez większą część zeszłego wieku ludzie wierzyli, że wraz z końcem wieku reprodukcyjnego ciało człowieka zaczyna powoli obumierać. Ta wynikająca z nauk ewolucyjnych teoria okazała się jednak błędna. Dziś rozumiemy, że proces starzenia się przebiega jak wiele innych chorób, z którymi obecnie walczymy, na przykład chorób nowotworowych.

Okazało się, że wiele przypadłości, które kiedyś uważano za konsekwencję naturalnego procesu starzenia, wynika ze stylu życia. Zaćma? Zależy bezpośrednio od czasu ekspozycji źrenic na ostre światło słoneczne. Masz chore serce? Spójrz wstecz i policz, ile kilogramów czerwonego mięsa zjadłeś w swoim życiu. Znajdziesz zależność.

Wiem, co myślisz: mogę uniknąć zaćmy, ale jak uchronić się przed bólem kolan albo

utrata słuchu? I co z mózgiem? Czy mogę zapobiec chorobie Alzheimera? Odpowiedź brzmi: tak. Co więcej, jesteśmy bliscy odkrycia sposobu na spowolnienie całego procesu starzenia. Jeśli uda się nam jeszcze zidentyfikować środowiskowe czynniki starzenia, istnieje duża szansa, że całkowicie wyeliminujemy ten proces. Przewiduję, że do końca obecnego wieku świat będzie pełen Matuzalemów.

W zeszłym roku rozpocząłem badania nad niezwykle grupą kobiet, które w sposób naturalny, wynikający z ich kodu genetycznego, wolniej się starzeją. Pięć pokoleń kipiących zdrowiem kobiet, z których najmłodsza właśnie spodziewa się dziecka. Dziecko to nie zostało jeszcze narażone na toksyny środowiskowe, które akceptujemy jako część życia. Ta rodzina i jej geny stanowią klucz nie tylko do nieśmiertelności, ale do wiecznej młodości.

Niestety, w poszukiwaniu oszczędności rząd federalny obciął ostatnio dotacje dla Narodowego Instytutu Badań nad Procesami Starzenia, który zarządza grantami dla ośrodków badawczych w Stanach Zjednoczonych i finansuje takie badania jak moje. Badania, które mogą odkryć źródło młodości, dać każdemu z nas szansę napicia się ze Świętego Graala.

Rozumiem, że są bardziej palące sprawy – prowadzimy dwie wojny i mamy kryzys ekonomiczny. Proszę wziąć jednak pod rozwagę następujący fakt: według badania opublikowanego w „Journal of Political Economy” sam wzrost długości życia populacji w ciągu ostatnich trzydziestu lat spowodował zwiększenie majątku narodowego o 3,2 biliona dolarów. Chcesz kolejnego dowodu? Pomyśl, że lekarstwo przeciwko starzeniu się najprawdopodobniej wyeliminuje praktycznie wszystkie rodzaje nowotworów, a to zasiliłoby naszą gospodarkę kwotą kolejnych 50 bilionów dolarów.

Bez nakładów pieniężnych nie zdołamy zatrzymać siwiejącego tsunami. Przyłącz się do mnie i wspieraj finansowanie Narodowego Instytutu Badań nad Procesami Starzenia. Bez funduszy wielu znakomitych naukowców będzie zmuszonych przerwać przełomowe projekty, a młodzi badacze nie zainteresują się tą dziedziną badań. Populacja się starzeje – to epidemia, której nasze wnuki mogą nie zaznać. Dziś dotyczy twoich dziadków, ale wkrótce dotknie i ciebie.

*Amrit Hashmi jest członkiem Amerykańskiej Rady do spraw Badań nad Procesami Starzenia i dyrektorem Centrum Badań nad Starzeniem na uniwersytecie w Pittsburghu, gdzie sprawuje także funkcję honorowego dziekana Wydziału Nauk Biologicznych. Doktor Hashmi, z wykształcenia endokrynolog, jako pierwszy rozpoczął badania nad związkiem między długowiecznością a genetyką. Obecnie w ramach Projektu Poznania Ludzkiego Genomu pracuje nad identyfikacją genów odpowiedzialnych za wydłużenie ludzkiego życia.*

**CZEŚĆ TRZECIA**  
**Czwarte pokolenie**  
**Deborah wiosną**

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## Wolność

Spojrzała za siebie. Dziewczyny, które odsiadywały krótkie wyroki, stały w drzwiach cel i zęgały ją skinieniami, podczas gdy te z szansami na zwolnienie warunkowe ignorowały idącą ku wolności Deborah. Takie było więzienne życie. Nigdy niczego nie było pod dostatkiem. Czyjś uśmiech losu to nieszczęście dla kogoś innego. Wolność Deborah oznaczała prawdopodobnie, że inna kobieta z podobnym wyrokiem nigdy nie opuści więziennych murów.

Był koniec marca. Biurokratyczna machina przerabiała jej sprawę od ponad dwóch miesięcy i wszyscy z wyjątkiem pracującego na godziny prawnika przestali już liczyć czas. Nikt z rodziny nie odwiedził jej od przesłuchania. Zupełnie jakby odhaczyły ją na liście spraw do załatwienia i skierowały się ku przyszłości, oczekując na narodziny dziecka, na to, że Anna zostanie najstarszym człowiekiem na ziemi, że prowadzone przez doktora badania przyniosą im sławę. Wkurzała ją świadomość, że została zapomniana albo przynajmniej opuszczona.

Musi być ostrożna. Poczowała buzującą w trzewiach złość. Złość w Chowchilli zwiastuje kłopoty – widziała, jak dziewczyny trafiały do izolatki, traciły przywileje albo miały nabrużdzone w papierach za walenie w ścianę lub popchnięcie współwięźniarki. Gdy poprzednio dała ponieść się złości, straciła męża, córkę, całe życie, a teraz miała niemalże tyle samo do stracenia. Jeszcze nie była wolna. Strażnik zbyt ciasno zapiął jej kajdanki. Bolały ją ściśnięte z tyłu, pod nienaturalnym kątem ramiona. Zostawił ją przy biurku i poszedł po pozostałe skazane zwolnione warunkowo. Wsłuchiwała się w jego niespieszne kroki.

Przed godziną dziewiątą piętnaście dołączyły do niej trzy inne kobiety i teraz razem czekały na więzienny samochód. Sądząc po ich wieku, nie przebywały w Chowchilli zbyt długo. Dwie były czarnoskóre, otyłe i stały blisko siebie. Deborah pomyślała, że trzymając się w pobliżu kogoś podobnego do siebie, stają się mniej nerwowe. Takie jest więzienne życie. Dla własnego bezpieczeństwa potrzebujesz grupy podobnych do siebie ludzi. Dzieciaki, które trafiały tu na krótko, dzieliły się pod względem koloru skóry, ale doświadczone więźniarki, takie jak Deborah, były mądrzejsze.

Obserwowała z zazdrością dziewczyny, które stały rozluźnione, ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Mają jeszcze szansę odnaleźć się na zewnątrz. Trzecia kobieta również była młoda, ale za bardzo zbuntowana. Zawadiacko gapiała się prosto w oczy każdemu, kto na nią spojrzał, a jej ciało było naprężone jak łuk. Była dość niska,

a ponieważ pobyt w więzieniu nauczył Deborah klasyfikować ludzi, na podstawie szerokich, płaskich kości policzkowych i prostych, absolutnie czarnych włosów zaliczyła ją do Latynosów, najprawdopodobniej pochodzących z Gwatemali.

Strażnik wrócił za biurko i obejrzał je od góry do dołu, jakby były nagie. Klepnął dwie czarnoskóre kobiety po ramieniu i wywołał je po nazwiskach.

– Ferris i Sutton, ktoś na was czeka na parkingu. – Potem zwrócił się do Deborah i Latynoski: – Ripplinger i Serna, wysadzimy was na przystanku autobusowym we Fresno. W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin macie znaleźć się w hrabstwach wskazanych w warunkach zwolnienia.

Deborah zeszywniała. Przez głowę przelatowały jej rozliczne scenariusze wyjaśniające, dlaczego Erin nie przyjechała. Zdjął jej kajdanki jako przedostatniej. Usiłowała z jak największym spokojem wytłumaczyć mu, że się pomylił.

– Jestem pewna, że córka czeka na mnie na parkingu. Rozmawiałam z nią wczoraj i wie, że dziś wychodzę. Może się spóźni; Kidron jest daleko, a ona jest w ciąży...

– Nie ma jej.

– To niemożliwe, jestem pewna, że przyjechała. Może mógłby pan zadzwonić...

– Zgodnie z przepisami powinna zgłosić się przed dziewiątą. Nie było jej. Jedziesz z Serną do Fresno.

Szarpnięciem odwrócił Sernę, żeby zdjąć jej kajdanki.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegł, widząc, że ściąga usta, jakby chciała splunąć mu w twarz.

Wszystkim z wyjątkiem Gwatemalki rzucił pudła z przysłanymi przez rodziny ubraniami, po czym podsunął im szare koperty zawierające dwieście dolarów, dowód tożsamości i dokumenty określające warunki zwolnienia. Gwatemalka położyła dłoń na ramieniu Deborah i ścisnęła je delikatnie, jakby chciała powiedzieć: „Nie daj się tym skurwielom”.

Czarnoskóre kobiety wyszły z łazienki w cywilnych ubraniach i odprowadzono je do czekającego samochodu, a strażnik kiwnął do Deborah, żeby poszła się przebrać. Znalazłszy się w łazience, bez świadków, mogła wreszcie dać upust swej frustracji. Jak Erin mogła ją tak zostawić? Jak mogła być tak nieodpowiedzialna? Tyle razy przypominała jej w ciągu ostatnich dwóch tygodni, że musi być przy bramie przed dziewiątą. Naciągnęła workowate lniane spodnie, które zapewne wybrała dla niej Bets, i usiłowała znaleźć wytłumaczenie nieobecności córki. Może jakieś problemy z ciążą albo coś stało się Annie lub Frankowi? Żadne z tych wyjaśnień jej jednak nie przekonywało.

Wstydzily się jej. Zawsze się jej wstydzily. Były zakłopotane jej ciążą w wieku siedemnastu lat, przerażone sytuacją z Carlem, a teraz boją się, jak jej przedwcześnie

wyjście na wolność wpłynie na ich poukładane, perfekcyjne życie. Zatkąła usta więziennym uniformem i zaczęła krzyczeć.

Nagle usłyszała głos z delikatnym akcentem.

– Przynajmniej nie musisz ubrać się w to. – Serna stała przy zlewach, trzymając bezkształtną kwiecistą szatę hawajską. – Kazali mi za to zapłacić czterdzieści dolarów, a potem zażądali piąta za bieliznę. Powiedziałam, że nie noszę majtek, ale nalegali.

– Do bani – powiedziała Deborah, ochlapując twarz wodą, po czym włożyła żółtą koszulkę z pudła.

– Wszystko jest do bani – odrzekła Serna. – Za co siedziałaś?

– Zastrzeliłam męża.

Serna uniosła brwi.

– Naprawdę? Myślałam, że coś mniej drastycznego, jakaś kradzież.

– A ty?

– Zrobili ze mnie gorszycielkę nieletnich. – Serna zrzuciła więzienne ubranie i wciągnęła przez głowę ogromną sukienkę. Deborah cofnęła się pod ścianę, a Serna się zaśmiała. – To nie to, co myślisz. Naćpałam się z kolegami i jeden z nich stwierdził, że byłoby śmiesznie, gdybym rozdziewiczyła jego młodszego brata. Młody miał trzynaście lat, ale zapewniam cię, że wiedział, co robić. Oskarżyli mnie o najgorsze rzeczy, ale poszłam na ugodę i skończyło się na świadomym narażeniu nieletniego na niebezpieczeństwo. I tak dostałam sześć lat.

Deborah się wzdrygnęła. Ostatnie dwadzieścia lat nauczyło ją wystrzegać się pewnych kobiet. Dla własnego bezpieczeństwa musiała zapewnić sobie szacunek Serny.

– Zaryzykowałam, starając się o warunkowe. Okazuje się, że sędziowie nie lubią, gdy ładujesz w faceta cały magazynek.

– *Cuidado con lo que dices* – odrzekła Serna i wyszła z łazienki.

Deborah na tyle znała hiszpański, aby zrozumieć, że Serna nie będzie sprawiać jej kłopotów podczas godzinnej jazdy na dworzec.

Fresno było położone na południe od celu jej podróży. W drodze zajmowała się wymyślaniem kolejnych przyczyn nieobecności Erin. Może utknęła w korku albo przerwa w dostawie prądu wyłączyła jej budzik. Oczywiście wszyscy żyją teraz z telefonem w ręku, Deborah będzie musiała się do tego przyzwyczaić. Gdy szła do więzienia, telefony bezprzewodowe były rzadkością. Gdyby więc nawet wyłączyli prąd, Erin polegałaby na budziku w telefonie. Kiedy dojeżdżali do Fresno, Deborah przestała wymyślać usprawiedliwienia. Siedziała, uderzając rytmicznie głową o szybę samochodu.

Strażnik odprowadził je na dworzec. Znajdowali się w obskurnej części miasta, które wyglądało, jakby swą świetność przeżyło w latach sześćdziesiątych. Niebo było zasnuwane

chmurami, a chłodny wiatr przypomniiał Deborah o zimie na dziedzińcu Chowchilli. Pod dworcem w pomarańczowych śpiworach spało dwóch śmierzących zarośniętych mężczyzn, a w napisie na dworcowych drzwiach brakowało jednej litery. Garstka pasażerów oczekujących na niebiesko-szarych krzesłach wyglądała na niezamożnych. Deborah przypomniiała sobie, kiedy po raz ostatni była na podobnym dworcu.

– Muszę zobaczyć, jak kupujecie bilety do hrabstw określonych w warunkach zwolnienia – oznajmił strażnik, spoglądając w papiery. – Na tym kończy się moja odpowiedzialność za wasze dalsze poczynania.

Stojąca pośrodku dworca Serna zawahała się, zanim stanęła w jednej z dwóch kolejek po bilety. Deborah domyślała się, jak się czuje jej towarzyszka podróży. Gwatemalka kupiła bilet do Los Angeles i stała przed automatami samoobsługowymi, miętosząc pozostałe banknoty. W momencie gdy Deborah miała kupić bilet do Redding, najbliższej stacji w okolicach Kidronu, usłyszała, jak ktoś wykrzykuje jej imię.

– Deb! Poczekaj! Już jestem.

Wahała się przez chwilę, czy się odwrócić, mimo że od razu rozpoznała śpiewny głos Erin.

Jej córka stała w drzwiach dworca z tuzinem balonów, na których neonowymi flamastrami powypisywano powitalne slogany.

– Najwyższy czas – oznajmiła Deborah, odbierając pieniądze uśmiechniętej kasjerce. W ferworze powitań i niezręcznych uścisków wokół ogromnego brzucha Erin, córka Deborah wypuściła balony, które poleciały do sufitu.



# ROZDZIAŁ DRUGI

## Wybory

Gdy były już w samochodzie, Erin wytłumaczyła swe spóźnienie z beztróskim machnięciem ręki.

– Za późno wyjechałam.

– Jeszcze chwila, a siedziałabym w autobusie.

– Ale jesteś tu. Przyjechałam. Nareszcie jedziemy razem do domu – odrzekła Erin łamiącym się głosem.

Deborah wiedziała, że powinna objąć córkę i powiedzieć, że nic się nie stało, ale zapytała tylko, gdzie zatrzymają się na lunch.

– Żadne fast foody, ma być prawdziwe jedzenie.

– Jest takie miejsce z kanapkami, w pobliżu Modesto – wybąkała Erin, wycierając łzy końcem chusty, którą miała luźno przewiązaną na szyi. Po chwili wskazała gestem na zewnątrz. – Jak ci się podoba świat? Zmienił się? Wygląda na większy? Starszy?

– Za mało pamiętam, żeby mieć porównanie. – Deborah przyglądała się córce z profilu. Musi być w siódmym miesiącu, kiedy ciąża zaczyna być niewygodna, ale kobieta nie jest jeszcze opuchnięta. Zauważyła, że córka przygryza wnętrze policzka, tak jak robiła to jako mała dziewczynka, gdy była zdenerwowana.

Deborah otworzyła okno i wystawiła dłoń na wiatr. Rosnące między szosami autostrady oleandry uginały się pod ciężarem kwiatów. Nie odzywały się aż do zjazdu na Modesto.

– Wiesz, dokąd masz jechać? – zapytała Deborah.

Erin wyłączyła radio i ucichła delikatna muzyka operowa, której Deborah nie rozumiała i nie potrafiła docenić.

– Następny zjazd – odpowiedziała Erin. – Zawsze zatrzymywałyśmy się tam z babcią Bets po... – Nie dokończyła zdania. – Kiedyś poznała nawet syna właściciela.

Restauracja mieściła się w żółtym budynku, naprzeciwko banku, o którym Deborah nigdy nie słyszała. Wyglądała dość zwyczajnie, ale parking był tak zatłoczony, że musiały zaparkować na krawężniku. Gdy weszły do środka, ogarnął je otępiający gwar i chaos. Deborah miała ochotę odwrócić się i wyjść. Pragnęła miejsca z hostessami, plastikowym menu, gdzie mogłaby usiąść w spokoju i popijając orzeźwiający napój, przejrzeć jadłospis.

Erin machnęła ręką, żeby poszła z nią do chaotycznej kolejki przy ladzie.

– Tutaj wywieszzone są dzisiejsze specjały – oznajmiła, wskazując na drewniane tablice nad kasjerką, gdzie ktoś okropnym charakterem pisma wypisał kolorową kredą różne

rodzaje kanapek i sałatek, skryte za dziwnymi nazwami.

Zanim zdążyła ogarnąć wzrokiem listę, Erin złożyła zamówienie. Uśmiechnięty nastolatek powtórzył jej zamówienie przez mikrofon i zapytał, jak podać Murphy'ego. Erin odrzekła, że na zimno, i zwróciła się do Deborah.

– Wezmę, co dobre – powiedziała Deborah do uśmiechniętego chłopaka. – I mrożoną herbatę, jeśli jest.

– Wszystko jest pyszne – odrzekł chłopak. – Z cukrem czy bez?

Deborah poczuła, że zaczyna ją swędzieć całe ciało, i wzdrygnęła się pod oczekującym spojrzeniem nastolatka.

– Słucham?

– Herbata. Z cukrem czy bez?

Przez ponad dwadzieścia lat Deborah nie miała możliwości wyboru, czy chce posłodzić herbatę. W Chowchilli dostawała osłodzoną.

– Obojętnie, jaką przyniesiesz, będzie dobra.

– Mogę przynieść z cukrem lub bez.

Deborah ponownie spojrzała na wiszącą nad chłopakiem tablicę, a potem na Erin. Miała wrażenie, że z tyłu dochodzą ją odgłosy niezadowolenia, że się tak grzebie. Nie miała pojęcia, czego chce.

– Weź bez cukru – zaproponowała Erin. – Najwyżej dosłodzisz.

Deborah skinęła głową, a chłopak spojrzał na tworzącą się za nimi coraz dłuższą kolejkę.

– Coś do jedzenia? – spytał.

– Co tak pachnie? – zapytała Deborah, wpatrując się w swoje buty.

– Potrawka – odrzekł chłopak, marszcząc czoło.

– Poproszę – powiedziała Deborah.

– „Ważniak w misce” – krzyknął do mikrofonu i powiedział do Erin: – Podajemy do tego chleb z masłem, będzie chciała?

Erin potwierdziła skinieniem i wyciągnęła portfel.

– Wreszcie – westchnął stojący za nimi mężczyzna.

Deborah dostrzegła ukryty w ciemnym rogu stół i zaczęła niepewnie iść w jego kierunku. Erin pospieszyła za matką z napojami i stojakiem z ogromnym numerem czternastym.

– To nie był dobry pomysł – powiedziała Deborah.

Erin podsunęła jej pojemnik ze słodzikami.

– Myślałam, że będzie ci się podobało. Poza tym mają tu naprawdę dobre jedzenie, o wiele lepsze niż ten cały industrialny chłam, który serwowali w Chowchilli.

– Nie ma cukru – powiedziała Deborah, nerwowo przebierając palcami wśród kolorowych saszetek. – Sweet'n Low, NutraSweet, Equal, cukier nierafinowany, Splenda.

– Co chcesz? Zwykły cukier? – Erin sięgnęła przez stół po dwie małe saszetki. – Proszę, to zwykły cukier, tyle że w wymyślnym opakowaniu.

Deborah tak bardzo trzęsły się ręce, że nie mogła rozerwać brązowej saszetki.

– Powinnam była zostać na stacji i pojechać autobusem.

– Z pewnością nie musiałybyś podejmować tylu decyzji – odrzekła Erin z półuśmiechem. – Kanapka czy zupa, herbata czy kawa, jeść w restauracji czy wziąć na wynos...

– Czy mogłabyś zacząć traktować mnie poważnie? Wszystko idzie nie tak. Źle zaczęłyśmy tę podróż.

– Czepiasz się – odrzekła Erin, popijając waniliowego shake'a.

– Dlaczego nie przyjechałaś do więzienia?

– Powiedziałam ci, że za późno wyjechałam.

– Ale dlaczego? To ważny dzień dla nas obu.

Erin odsunęła się z krzesłem od stołu i sięgnęła po plakietkę z numerem.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Usiądź. – Przenikliwy głos Deborah zabrzmiał ponad gwarem sali.

Z tyłu nie było widać, że jej córka jest w ciąży. Erin zaczęła iść w stronę lady. Deborah spojrzała na wszystkie wpatrzone w nią oczy i ponownie spróbowała przywołać córkę.

– Erin Elizabeth Ripplinger. Wróc tu.

Erin nawet nie odwróciła głowy. Deborah poczuła, jakby ktoś powalił ją na ziemię. Żeby nie upaść na podłogę, skupiła całą swą uwagę na picciu małymi łydkami mrożonej herbaty. Patrzyła, jak córka czeka przy ladzie na ich jedzenie, po czym wynosi je na zewnątrz, zatrzymując się przy drzwiach pod wpływem oślepiającego słońca.

Siedzący obok Deborah starszy mężczyzna nachylił się nad stołem i konspiracyjnym szeptem powiedział, że z jego doświadczenia wynika, iż lepiej czasem ustąpić niż zostać odtrąconym. Deborah przyznała mu rację, wypiła herbatę oraz pozostawionego przez Erin shake'a i wyszła z restauracji.

Samochodu nie było na krawężniku, gdzie wcześniej zaparkowały. Deborah zaczęła w panice rozglądać się po ruchliwej ulicy, gdy usłyszała podwójny odgłos klaksonu dochodzący z parkingu. Odwróciła się i zobaczyła siedzącą za kółkiem Erin z kanapką. Zastanawiała się, czy Erin odjechała, czy tylko przestawiła samochód, żeby stał w cieniu.

W samochodzie pachniało mięsem.

– Myślałam, że jesteś wegetarianką – powiedziała Deborah.

– Nie wieszo mnie zbyt wiele – odrzekła Erin, podając jej papierową torbę z resztą

lunchu.

Deborah zajrzała do torby.

– Zimny Murphy to sałatka z ziemniaków.

Erin wzruszyła ramionami.

– Przyjeżdżając tu, zawsze myślałam, że babcia Bets zna jakiś sekretny język.

– Jesteście sobie bardzo bliskie – odrzekła Deborah. – Gdy jako niemowlę miałaś kolki, tylko ona potrafiła cię ukoić, chociaż nigdy nie chciała się do tego przyznać. Uważała, że zupełnie nie radzi sobie z małymi dziećmi.

Deborah skubała posmarowany masłem chleb i grzebała w torbie w poszukiwaniu plastikowej łyżki do potrawki. Erin przesunęła siedzenie tak daleko, jak tylko się dało, i zwróciła się w kierunku matki. Samochód nagle wydał się mniejszy.

– Kazała mi po ciebie przyjechać. Ja zaczęłam tracić odwagę. Bets stwierdziła, że czas, abym zaczęła doceniać to, co mam.

– Nie chciałaś przyjechać? – swędzenie znów ogarnęło całe ciało Deborah.

Erin spojrzała w dół, na swój ciężowy brzuch.

Deborah powtarzała pytanie, za każdym razem głośniej.

– Pozwól sobie wytłumaczyć – przerwała jej Erin. – Poczekaj chwilę, pozwól mi to naprawić.

Delikatna skóra na karku, gdzie drapała się, odkąd weszły do restauracji, zaczęła krwawić. Erin odwinęła szal i wytarła jej krew.

– Musisz przestać. Posłuchaj mnie.

Deborah próbowała, ale zdała sobie sprawę, że nie zna córki na tyle dobrze, aby zrozumieć, o co jej chodzi. Pomyślała natomiast o tym, kiedy ostatni raz była matką dla swojej córki. Parę dni przed tym, gdy Carl po raz ostatni wrócił do domu, zabrała Erin do parku nad rzeką Sacramento, na obrzeżach Kidronu. Maleńki plac zabaw wyściełała miękka poduszka trocin. Słodkawy sosnowy zapach drewnianych ścinków zmienił się po niedawnych deszczach w smród rozkładu. Huśtała Erin, aż mdlały jej ze zmęczenia ręce, a potem obie zaczęły puszcząć na wodzie kaczki.

Wiosenne roztopy sprawiły, że rzeka była rwąca, wzburzona, pełna gwałtownych wirów. Kamienie nie chciały ślizgać się po tafli wody, ale podczas gdy Deborah dawno już porzuciła starania i zaczęła zamiast tego rzucać na odległość, Erin próbowała dalej. Podchodziła coraz bliżej rzeki w poszukiwaniu płaskich kamieni. Przed każdym rzutem Erin zwracała swe szare oczy ku matce i z wielką powagą prosiła, żeby Deborah obserwowała próbę. Za każdym razem Deborah udzielała córce jakichś wskazówek albo poprawiała ułożenie ręki czy nadgarstka. Miały już odchodzić, gdy woda przed nimi się uspokoiła i Erin rzuciła kamieniem wielkości półdolarówki. Zanim zniknął w toni rzeki,

odbił się sześć razy po powierzchni wody. Obie zaczęły skakać z radości i ścisnąć się, świętując sukces.

Tak właśnie Deborah wyobrażała sobie ich powitanie na więziennym parkingu. Skończyła jeść potrawkę i posłusznie przytakiwała głową, podczas gdy Erin rozprawiała, jak ciąża pogłębiła pustkę, którą odczuwała przez całe życie, wychowując się bez matki. Niezależnie od tego, jak bardzo babcie ją kochały, żadna nie była w stanie zająć miejsca Deborah. Ciąża wzbudziła w niej emocje, z którymi nigdy wcześniej się nie uporała – to, jak się czuła, tak naprawdę nie mając matki.

Deborah wyciągnęła rękę i poklepała córkę po kolanie.

– Musisz pamiętać, że jestem twoją matką. Nieważne, co się stało i co się stanie, jestem twoją matką.

– Zatem wrócisz do domu? – spytała Erin.

Deborah przytaknęła, bo nie wiedziała, gdzie indziej mogłaby pójść.

– Ojej! – wykrzyknęła Erin. – Dziecko kopie mnie po żebrach.

– Pokaż – poprosiła Deborah. Erin miała ciasno opiętą na brzuchu koszulkę i za każdym kopnięciem widziała odkształcenie na materiale. Podniosła koszulkę i czekały. Brzuch Erin był blady, a żyły wyglądały jak rzeki na mapie. Linia biegnąca od kości łonowej do pępka była ciemna jak atrament i dzieliła brzuch na dwie równe półkule. Nagle pojawiło się wybrzuszenie i Deborah dostrzegła zarys stopy.

– Och! – Łzy napłynęły jej do oczu. Deborah zaczęła szybko mrugać i zachowywać się, jakby miała za chwilę kichnąć. Wszystko wokół zamarło, a Deborah skupiła się na uderzeniach serca córki i jej dziecka. Pragnęła, żeby łącząca je pępowina nigdy nie została przecięta.

# ROZDZIAŁ TRZECI

## Wzorowa obywatelka

Według kuratora sądowego Deborah potrzebowała pracy i mieszkania. Pani Holt wiązała włosy w mały schludny kok z tyłu głowy. Miała pełne wargi i mówiła z lekkim południowym akcentem, który od razu sprawił, że Deborah poczuła się przy niej swobodnie.

– Robię to od trzydziestu lat – powiedziała Holt przy ich pierwszym spotkaniu. – Mam najniższy wskaźnik recydyw w całym stanie. Oczywiście niektórzy kuratorzy powiedzą ci, że to dlatego, że jestem kobietą albo że w hrabstwie Tehama jest stosunkowo niewiele przestępstw związanych z narkotykami, ale powiem ci jedno: znajdujesz pracę i mieszkanie i wszystko zaczyna się układać.

Z miejscem zamieszkania nie było problemu. Deborah rozgościła się w Hill House, w pokoju, w którym niegdyś mieszkał brat Anny, Wealthy. Uważała, że z wychodzącymi na południowy wschód oknami było to najlepiej oświetlone pomieszczenie w domu, ale ze względu na jego wąski, podłużny kształt rzadko ktoś tu mieszkał. Niewiele było tu mebli: metalowa rama od łóżka z wbudowanymi sprężynami, potężna szafa z drzewa oliwnego, która służyła jednocześnie za kredens. Bets zaproponowała, że uszyje nowe zasłony, ale Deborah podobały się wyblakłe wzory kowboi i Indian na tych, które wisiały w pokoju od wielu lat. Żeby uczynić go bardziej przytulnym, przyniosła jeden z foteli bujanych, a zamiast dywanu położyła różowy chodniczek łazienkowy.

Znalezienie pracy okazało się trudniejsze. Matka zgodziła się zatrudnić ją w Pit Stop, ale stosunki między nimi pozostawały napięte, a rozmowy ograniczały się do ugrzecznionych pozdrowień. Podczas drugiego spotkania pani Holt gwałtownym ruchem ręki przerwała w pół zdania obiekcje Deborah co do pracy u matki.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego odnoszę takie sukcesy w pracy? Jestem dobrym terapeutą. W przeciwieństwie do tych mięczaków w gabinetach z kozetkami ja nie owijam porad w bawełnę. – Holt pochyliła się nad biurkiem i zmrużyła oczy. – Tego właśnie ode mnie oczekujesz, prawda? Musisz pogodzić się z faktem, że zastrzelenie Carla to nie był wypadek. Łatwo zrehabilitować przypadkowych zbrodniarzy. Nie muszę grzebać się w traumach z dzieciństwa ani poczuciu opuszczenia. Ale jak już wspomniałam, nie jesteś tu przez pomyłkę i będziemy musiały naprawić to, co dzieje się w twojej rodzinie, żebyś nie wróciła do więzienia.

Deborah chciała zakwestionować ocenę pani Holt, ale w więzieniu nauczyła się trzymać język za zębami i zachowywać swoje opinie dla siebie.

Jej rodzice otworzyli Pit Stop pod koniec lat sześćdziesiątych, tuż przed oddaniem do użytku autostrady I5. Z początku była to restauracja przyciągająca klientów sloganem „Dodajemy oliwki do wszystkiego”. Deborah pamięta z dzieciństwa opowieści o nastolatkach zamawiających oliwki ze słodem albo kanapki z masłem orzechowym i oliwkami. Matka narzekała, że to marnotrawstwo (nikt tego nie jadł), ale ojciec tylko się śmiał i powtarzał, że powinni pozwalać ludziom próbować kombinacji, których mogą nie polubić. Po śmierci ojca w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku matka zaczęła sprzedawać kiczowate prezenty – naczynia na oliwki, wyrabiane z drzewa oliwnego łyżki do oliwek, plakaty z serii OLIVE YOU, śmieszne naklejki na zderzaki – aż wkrótce całe dziewięćset metrów kwadratowych sklepu wypełniły oliwki i związane z nimi produkty. Wyrastający z parkingu ogromny billboard, widoczny z pięciu mil z obydwu stron autostrady I5, głosił: „Oliwkowy Pit Stop zaprasza na degustację, tylko lokalne produkty, oryginalne upominki”.

Chciała pracować na zapleczu, ale matka przydzieliła jej miejsce za barem degustacyjnym, dokładnie na tym samym stanowisku, na którym Deborah pracowała jako nastolatka. Wtedy była to najbardziej pożądana fucha. Bar ustawiony był na podwyższeniu pośrodku sklepu, pod wypisanym zielonymi literami szyldem „Podejdz i skosztuj” i wskazującą w dół strzałką zrobioną z migoczących żarówek. Gdy była młoda, cieszyła się, że była obiektem spojrzeń każdej wchodzącej do sklepu osoby, ale po tylu latach spędzonych pod czujnym okiem strażników i współwięźniów wolałaby nie przyciągać wzroku innych.

– Przestań się drapać – powiedziała matka, podchodząc do niej z tyłu.

– Nie drapię się.

– Nikt nie będzie chciał spróbować oliwek, gdy zobaczą, że wszędzie latają płatki zdrapanego naskórka.

Deborah potarła przedramię.

– Skończyły się oliwki nadziewane serem pleśniowym.

– A to przed chwilą, to nie było drapanie?

– Przecież nikogo nie ma – odrzekła Deborah, pokazując na prawie pusty sklep.

Nancy, która pracowała jako kasjerka od czasu, gdy Deborah trafiła do więzienia, spojrzała na nie znad okularów.

Callie oparła się o ladę, zdejmując ciężar ciała z chorej nogi.

– Lada chwila przyjedzie autokar z kasyna.

– Więc powinnam donieść oliwek. Mogę wziąć parę słoików z półki?

– Nie. Mamy teraz system kontroli towaru. Nie tak jak kiedyś.

Deborah skinęła głową ze zrozumieniem i patrzyła, jak matka wysypuje na dłoń dwie

tabletki z buteleczki, którą zawsze nosiła w kieszeni. Bez słowa podała jej jednorazowy kubek z wodą.

– Przyjechali – zawołała Nancy. – Jak zwykle się nie spieszą, ale już wysiedli z autokaru.

Deborah chciała ponownie zapytać, skąd wziąć oliwki na degustację, gdy matka chwyciła ją za rękę.

– Przepraszam, że tak na ciebie naskakuję. Muszę się przyzwyczaić do twojej obecności. Twój widok za ladą po tylu latach jest...

Jej słowa przerwał głośny odgłos tłuczonego szkła. Jeden ze starszych klientów stracił równowagę, wchodząc do sklepu, i zrzucił dwuipółkilogramowy słoik z oliwkami nadziewanymi ząbkami czosnku.

– Zawołaj Roberta i Pedra – krzyknęła Deborah do Nancy. Chwilę potem pusty dotąd sklep tętnił życiem. Bracia zabezpieczyli plamę i zbierali potłuczone szkło, solankę i oliwki na metalową zmiotkę. Starszy mężczyzna głośno perorował, że nie zapłaci za słoik, mimo że nikt nic mu nie powiedział.

Dwa tuziny bardziej mobilnych staruszków otoczyły barek degustacyjny. Nadziewali oliwki na wykałaczki i nieustannie wypytywali o pozostawione w nich pestki. Przyjechali z okolicznych domów seniora. Leżące na północy doliny kasyno parę razy w tygodniu organizowało im przewozy autokarowe. Callie oferowała kierowcom kupony za to, że zatrzymywali się przy sklepie w drodze powrotnej.

– Zniszczyłabym protezy – powiedziała wyjątkowo wysoka kobieta z dłońmi obsypanymi plamami wątrobowymi.

Jej grubsza, podparta na lasce towarzyszka wyjęła swą protezę i włożyła do torebki.

– Lepiej nie ryzykować.

– Jeszcze nigdy nie trafiłem na pestkę – oznajmił stojący za nimi schludny mężczyzna, po czym zwrócił się do Deborah: – Jesteś nowa?

Deborah uzupełniła tackę z oliwkami nadziewanymi słodką papryką i wystawiła nowe pudełeczko z wykałaczkami.

– W pewnym sensie.

– Jesteś ładniejsza niż dziewczyna, która pracowała przed tobą – powiedział staruszek.

Wysoka kobieta wzniosła oczy w górę.

– Uważaj na niego. Myśli, że jest donżuanem.

– Co nie znaczy, że to nieprawda – odrzekł mężczyzna, sięgając po nadziewaną parmezanem oliwkę.

Wbrew sobie Deborah się uśmiechnęła.

– Dziękuję.



– Skąd się tu wzięłaś?

– To sklep mojej mamy.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy.

– To niemożliwe, że Callie ma córkę w twoim wieku. Wyglądacie jak siostry.

Deborah nie była zdziwiona, że matka o niej nie wspominała.

– Długo mnie tu nie było.

– Tak to właśnie jest z dziećmi – odrzekł, odchodząc od barku.

Po trzydziestu minutach sklep opustoszał. Deborah umyła blat, podjadając oliwki nadziewane migdałami i rozkoszując się chrupaniem. Nancy podeszła, żeby pomóc jej posprzątać. Deborah czuła się swobodniej w towarzystwie kasjerki niż z własną matką.

– Dobrze, że tu jesteś – powiedziała. – Widzę, że byłaś dobra dla mamy.

– Twoja mama nie lubi tego, co dla niej dobre. – Nancy westchnęła ciężko i rozejrzała się po pustym sklepie. – Tyle zamieszania, a sprzedałam zaledwie kilka pocztówek, parę słoików oliwek i butelkę oliwy – oznajmiła.

– To dlatego mama jest taka spięta? Zawsze jest tak źle? – zapytała Deborah.

Nancy wzruszyła ramionami i oparła się o barek.

– Wydaje mi się, że niezbyt dobrze poszło im w kasynie. Gdy wygrywają, kupują kosze z prezentami dla całych rodzin, które nigdy ich nie odwiedzają. Potem spędzam popołudnie, przygotowując je do wysłania.

– Kto pracował przy barku degustacyjnym przede mną?

– Nikt. Wystawiałam oliwki i klienci obsługiwali się sami. Dopiero wtedy można zobaczyć, jacy niektórzy są zachłanni. Nie wiem, czy to dlatego, że dorastali w niedostatku, czy nigdy nie dorośli. Ale siedząc w kasie, widziałam kobiety wrzucające do torebek całe tace oliwek.

– Mogę to zrozumieć – odrzekła Deborah, przypominając sobie pierwsze lata w Chowchilli.

Ze zmiany wyrazu twarzy kasjerki wywnioskowała, że zbliża się do nich Callie. Kobieta lekko kiwnęła głową, wyjęła z kieszeni fartucha ściereczkę i zaczęła wycierać kurze w drodze do kasy.

– Co możesz zrozumieć? – zapytała matka nieco bełkotliwie.

– Ludzi, którzy wyjadają nam oliwki i nic nie kupują.

– To wbrew ludzkiej naturze. Wbrew podstawowym zasadom uczciwości. Degustacja powinna uczynić z nich naszych dłużników, a nie zachęcić, żeby brali jak najwięcej. Tak twierdził ekspert od marketingu na seminarium, na które poszliśmy z ojcem zaraz po otwarciu sklepu. Nic nie jest za darmo. Tak ukształtowała nas ewolucja. Mamy potrzebę wyrównywania rachunków. Poczytaj sobie o tym. Robią tak małpy w Kongo czy gdzieś.

Oddają jakieś drobiazgi – kępkę trawy i gałązek albo kamień – i zawsze dostają w zamian jedzenie.

Po szklanych oczach i po tym, jak matka chaotycznie przeskakiwała z jednego tematu na drugi, Deborah poznała, że Callie wzięła więcej tabletek przeciwbólowych, niż powinna. Pamiętała ten widok z dzieciństwa. Gdy żył ojciec, pilnował, ile brała i kiedy. Jeśli wyglądała tak jak teraz, odsyłał ją do domu, tłumacząc, że zła pogoda wzmacnia ból w jej nodze. Deborah widziała w więzieniu wiele narkomanek, a jej matka była do nich bardziej podobna, niż przypuszczała.

– Nigdy nie myślisz, że coś ci się należy od świata? Po twoim wypadku? Po wylewie taty? Nawet po tym, co ja zrobiłam?

– Niezależnie od tego, jak ciężki trafił ci się los, dodatkowa porcja oliwek nie wyrówna twoich porachunków ze światem.

– Wszystko się sumuje – powiedziała Deborah.

Callie przytuliła ją.

– Och, cały czas jesteś jak mała dziewczynka. Jesteś moją małą dziewczynką i uważasz, że świat powinien być sprawiedliwy, równy dla wszystkich, ale to niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

Deborah usiłowała wyrwać się z uścisku matki. W tonie jej głosu jak echo odbijało się dzieciństwo Deborah. Fakt, że zawsze otrzymywała mniej niż bracia, i słowa matki, że nie da się zmierzyć całego dobra i zła, jakie przydarza się w życiu każdego człowieka.

– Niemożliwe jest również to, że ciągle jestem na straconej pozycji – odrzekła.

Callie zmarszczyła czoło, spoglądając na chorą nogę.

– Wszyscy jesteśmy na straconej pozycji. Najwyższy czas, żebyś to zrozumiała, kochanie.

# ROZDZIAŁ CZWARTY

## Rodzina

Dwa tygodnie po powrocie do domu Deborah przyznała się pani Holt, że tęskni za więzienną rodziną.

– Nie ty pierwsza – odrzekła Holt, grzebiąc w stercie papierów. – Przygotowali nawet na ten temat ulotkę. Albo może to była tylko część jakiejś większej broszury o ponownej integracji ze społeczeństwem.

– Nie chodzi o to, że nie cieszę się, mogąc być z córką – powiedziała, biorąc broszurę. – Ale ona nie może zrozumieć, żadna z nich nie rozumie, jak to jest być w więzieniu.

– Pragniesz zrozumienia?

– Niezupełnie.

– A ty rozumiesz, jak czuła się twoja córka, gdy zastrzeliłaś jej ojca?

Holt naprawdę nie owija w bawełnę, pomyślała Deborah. Zaczęła przeglądać broszurkę i dostrzegła zdjęcie uśmiechniętej kobiety w niebieskim uniformie.

– Chciałabym tylko, żeby pozwoliły mi nieco odetchnąć. LaJavia to rozumiała.

– Kto to jest LaJavia?

Deborah zignorowała pytanie.

– Nie oferujecie pomocy sponsorów albo profesjonalnych psychologów?

– To biedny region, nie jesteśmy w San Francisco. Nikt nie zapłaci za prowadzenie byłych kryminalistów za rączkę. Jeśli należysz do Kościoła, może mogłabyś porozmawiać z pastorem.

– A może skontaktowałabyś mnie z kimś, kto wyszedł z Chowchilli, z kimś, kogo znałam.

Holt pokręciła głową.

– Co to, to nie. Większość dziewczyn z Chowchilli było skazanych za poważne przestępstwa. Właśnie w ten sposób tracę większość podopiecznych, przez kontakty z innymi skazanymi i narkotyki.

– W takim razie nie mam nikogo – powiedziała Deborah.

Po spotkaniu z Holt Deborah czekała pod budynkiem przylegającym do biura szeryfa w Redding. Erin i Anna podrzuciły ją i pojechały do Wal-Martu po rzeczy dla dziecka. Myślała o tym, co powiedziała jej Holt na temat Kościoła. Jej matka przestała chodzić do kościoła po wypadku, tłumacząc, że prawie umarła, a nie widziała żadnego białego światła. Bets i Anna chodziły na nabożeństwa do Mount Olive Lutheran, gdzie przygłuchy pastor był cierpliwym słuchaczem, ale jedyna rada, jaką potrafił zaoferować zbłąkanej

duszy, to zawierzenie Bogu. Cała teologia Anny oscylowała wokół tego dogmatu.

Deborah nie była pewna, co myślała o Bogu. Zanim trafiła do więzienia, nie zastanawiała się nad istnieniem istoty wyższej. Przebywając w Chowchilli, w otoczeniu dziewczyn, które stanowiły jej zastępczą rodzinę, żyła w ułudzie wiary. Strażnicy mniej pilnowali osoby wierzące, uznając, że mają dodatkową motywację, żeby się właściwie zachowywać. Sąd penitencjarny patrzył na nie przychylniejszym okiem, wierząc, że gdy skazana odnajduje Boga, okazuje skruchę za swą winę.

Gdy przyjechała do więzienia, wszystkie skazane miały obowiązek uczestniczenia w niedzielnej mszy. Zakładały sukienki, pończochy i biżuterię. Było to w czasach, kiedy jeszcze miały dostęp do sprejów do włosów i kosmetyków do malowania. Siedząc na zimnych metalowych składanych krzesłach, wyglądały jakby znajdowały się w prawdziwym sanktuarium, a nie w świetlicy bloku B. To były ostatnie dobre chwile w Chowchilli. Tak wspominały te lata najstarsze skazane. W celach było pełno wolnych miejsc, a strażnicy zachowywali się tak, jakby byli w szkole z internatem, a nie w więzieniu. Trwało to zaledwie kilka lat, podczas których Deborah trzymała się z dala od współwięźniarek i żyła nadzieją, że wypuszczą ją przed trzydziestymi urodzinami, wszelka zaś szkoda, jaką wyrządziła swojej rodzinie, będzie jeszcze do naprawienia.

Kiedy nastał rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty szósty, a od jej wyroku upłynęło już prawie dziesięć lat, odmówiono jej zwolnienia warunkowego, sukienki zastąpiono pomarańczowymi uniformami, nad otaczającą zaś więzienie siatką założono druty kolczaste. Każdego tygodnia do Chowchilli przyjeżdżały tuziny nowych skazanych, a każda z nich zabierała Deborah odrobinę przestrzeni, której potrzebowała, by udawać, że jest o krok od wolności. Przeludnienie zaczęło się w roku, w którym po raz pierwszy odwiedziła ją Erin. Widok córki podnosił ją na duchu, ale parogodzinne spotkania nie były w stanie wypełnić emocjonalnej pustki. Po wizytach poszukiwała kogoś, komu mogłaby matkować, ofiarować to, czego nie mogła dać Erin.

Przez większość czasu spędzonego w Chowchilli mieszkała w bloku B. W każdym z czterech skrzydeł budynku było osiem cel. Usiłowali wymieszać skazane różnych ras, ale zwykle nie było to łatwe. Gdy LaJavia przybyła do więzienia, Deborah mieszkała z dwiema Latynoskami, które słabo mówiły po angielsku, i z czterema czarnoskórymi kobietami. Spędziła w więzieniu tyle lat, że nie obchodził jej kolor skóry, ale niektóre białe dziewczyny i Azjatki, które dorastały w lepszych dzielnicach, robiły z tego problem.

Bardzo zbliżyła się do LaJavii. Relacje między wieloma kobietami w Chowchilli imitowały relacje rodzinne. Deb i LaJavia wypełniały istniejącą w ich życiu pustkę, nazywając się matką i córką. Wydawało się to zupełnie naturalne, do czasu gdy pojawiały się prawdziwe rodziny.

Nie chciała myśleć o tych paru tygodniach tuż przed zwolnieniem warunkowym. Czuła się winna, jak wtedy, gdy odwróciła w autobusie wzrok od upośledzonej kobiety, żeby nie ustąpić jej miejsca. Dzień po przesłuchaniu wszyscy chcieli świętować. Gdy strażniczka odprowadziła Deborah do celi, sprawdziła, czy wszystkie są, i sobie poszła, współlokatorzki zebrały się wokół niej, obejmując ją i zarzucając pytaniami o rozprawę. LaJavia uciszyła kobiety i wyciągnęła butelkę musującego cydru, którą trzymała od Nowego Roku.

– Za najlepszą mamę, jaką kiedykolwiek miałam – powiedziała, wznosząc plastikowy kubek. – Będzie mi ciebie brakowało.

Skończyły cydr i wszystkie z wyjątkiem LaJavii i Deborah poszły do stołówki na kolację.

– Wszystko w porządku? – zapytała LaJavia i po chwili dodała: – Wszystko w porządku między nami?

Deborah leżała na dolnym łóżku, zasłaniając rękami oczy. Wiedziała, że dziewczyna pyta o ich relację matka–córka.

– Tak. Niełatwo było je wszystkie zobaczyć. Czuję się tak staro.

– Wiem – odrzekła LaJavia, siadając na sąsiednim łóżku. – Też się tak czuję, gdy przychodzi moja mała córeczka. Jest już prawie nastolatką. Czas inaczej tu płynie czy co.

Deborah czuła się starsza od matki, od babki, starsza nawet od stojącej na czele rodziny Anny, której życie rozciągało się na przestrzeni dwóch wieków. Nikt by jej w to nie uwierzył. Nie potrafiła wytłumaczyć, w jaki sposób dwadzieścia lat w Chowchilli sprawiło, że stała się starsza od nich wszystkich, ale tak właśnie się czuła. Usiłowała to powiedzieć LaJavii.

– Naukowcy nie mają bladego pojęcia o czasie. – Spojrzała na dziewczynę, która siedziała z uniesionymi brwiami i szeroko otwartymi oczami. – Uważają, że dzień ma zawsze dwadzieścia cztery godziny, godzina zawsze sześćdziesiąt minut, no wiesz. Ale zapominają, a raczej, nawet nie próbują wyjaśnić, jak czas postrzegany jest przez ludzki umysł, przez żyjącą, oddychającą istotę ludzką.

– Taa – powiedziała LaJavia. – Dziwne. Jak mawia moja siostra, dni są długie, ale lata krótkie.

– Już wiem, o co w tym chodzi – kontynuowała Deborah. – Jeśli czyjeś życie obfituje w wydarzenia i doświadczenia, czas leci tak szybko, że lata wydają się dniami, a godziny są jak minuty.

LaJavia pokiwała głową, chociaż nic nie rozumiała. Nie dlatego, że nie ukończyła szkoły średniej, ale dlatego, że nie spędziła wystarczająco dużo czasu w Chowchilli. Deborah nie powiedziała jej, że ostatnie dwadzieścia lat były tak bezdennie puste i pozbawione nowości, że godzina spędzona na składaniu ubrań w więzieniu była jak rok.

Czytała gdzieś o człowieku, który wymyślił teorię porównującą czas do temperatury. Stopnie nie wskazywały ciepłoty powietrza, ale szybkość, z jaką się przemieszczała. Przez ostatnie dwie dekady jej życie było zimne, a molekuły ruszały się jedynie na tyle, żeby utrzymać ją przy życiu. Chciała wytłumaczyć to LaJavii, ale obawiała się, że sama nie do końca rozumie tę teorię. LaJavię czekało jeszcze wiele lat więzienia i Deborah była pewna, że dziewczyna kiedyś sama to zrozumie, widząc, jak jej własna córka dorasta na zewnątrz.

Dla kogoś z pieniędzmi i po właściwej stronie muru – poza izolatką i obserwacją – więzienie było jak supermarket Wal-Mart. Deborah od dwudziestu lat trzymała się właściwej strony muru i miała dostęp do wszystkiego, czego dusza zapagnie. Z wyjątkiem wolności. O tym właśnie rozmyślała przez ostatnie tygodnie w więzieniu. Dzień po świętowaniu z cydrem LaJavia obudziła się w nastroju do rozmowy.

– Jest tyle do zrobienia, zanim wyjdiesz – powiedziała dziewczyna, opuszczając stopy na betonową posadzkę celi. Podrapała się po głowie i płatki obumarłego naskórka opadły na wełniany koc, który zsunął się z łóżka. – Musisz mi zapleść od nowa włosy.

Jej czupryna była w opłakanym stanie. Deborah popatrzyła na postrzępione włosy, które wymknęły się z równych zaplecionych rzędów. Skóra na głowie wymagała natłuszczenia. LaJavia była w Chowchilli niespełna dwa lata. Została oskarżona o próbę zabójstwa po tym, jak usiłowała przejechać ojca swojego dziecka samochodem matki. Poszła na ugodę sądową i dostała wyrok jedynie dwunastu lat. Jej chłopak Calvin wylądował na wózku inwalidzkim.

– Może Louisa ci pomoże – powiedziała Deborah ze ściśniętym sercem. Wiedziała, że LaJavia będzie potrzebowała nowej matki więziennej.

– Nie. Wkurzyła się na nas, bo jesteśmy miłe dla Nelli. Nie zauważyłaś, że od kilku tygodni nie odzywa się do całej naszej rodziny?

Deborah nie odpowiedziała. Rozmowa zaczynała ją nudzić.

– Pewnie nie. Ostatnio interesuje cię jedynie poczta. Nie można nawet zmusić cię do jedzenia. Własna matka cię nie pozna, gdy po ciebie przyjedzie.

– Moja mama nie przyjedzie. Nie rozmawiałam z nią, odkąd zastrzeliłam Carla. Poznam za to mojego wnuka.

– Cieszyłam się, że mama była ze mną, gdy rodziłam pierwszy raz. Nawet kiedy naszprycują cię lekami, chcesz, żeby ktoś trzymał cię za rękę. I to nie ojciec dziecka. Oni nie pasują do szpitala.

Deborah przestała słuchać paplaniny LaJavii. Czuła się winna, że nie jest w stanie słuchać dziewczyny, ale odkąd zobaczyła swoją prawdziwą córkę, jej uczucia w stosunku do współwięźniarki uległy zmianie. Te więzienne rodziny stanowiły zaledwie namiastkę.

Wszystkie o tym wiedziały, uświadamiały to sobie podczas wizyt. Uściski z prawdziwymi mamami i babciami były o wiele ważniejsze i bardziej emocjonalne niż tkliwość okazywana sobie nawzajem w więzieniu.

Z żadną współwięźniarką nie była jednak tak blisko jak z LaJavią. Podobnie jak Deborah, dziewczyna wiedziała, jak to jest odczuwać ból, który można uciszyć, jedynie zabijając. Godzinami rozmawiały o tym, jakie miała szczęście, że Calvin został jedynie sparaliżowany, mimo że ciągnęła go pod samochodem prawie sto metrów. Patrząc na LaJavię, Deborah zawsze myślała o nocy, gdy dziewczyna zdradziła jej swój największy sekret – że aż do momentu, gdy przyjechało pogotowie i reanimowali Calvina, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo chce, żeby przeżył. Deborah płakała tamtej nocy, szlochała tak bardzo, że następnego ranka obudziła się z bólem głowy. Jakże inne byłoby jej życie, gdyby poprzestała na jednym strzale albo chociaż na dwóch. Ale ona potrzebowała aż sześciu, żeby uciszyć rozbrzmiewający w jej głowie krzyk i narastającą latami złość. A po sześciu kulach pogotowie nie było w stanie pomóc Carlowi.

Było zaledwie piętnaście po szóstej. Strażnicy pojawią się dopiero za godzinę, żeby wypuścić je na śniadanie i do pracy. Boże, jak ona to wytrzymywała przez tyle dni? Człapały noga za nogą, poddając się niezmiennej rutynie. Żyły nadzieją, że może któraś ze strażniczek była u fryzjera i będą miały nowy temat do rozmowy, albo prowokowały rodzinne dramaty, żeby coś się działo.

– Wszystko okej? – spytała LaJavia. Stała, zaglądając na górne łóżko. – Jeszcze leżysz.

– Mamy czas – odpowiedziała Deborah i na chwilę wróciła czułość między nimi.

Wyciągnęła rękę i pogładziła warkoczyki, które przez parę godzin razem z Nellą zaplatały z jej grubych kręconych włosów. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że dotyka głowy Erin, przeciąga palcami po prostych, szorstkich włosach swojej córki.

– Opowiesz mi o rozprawie? Wszyscy mówią, że komisja tylko przyznała rekomendację zwolnienia, które musi jeszcze zostać zatwierdzone przez sąd. A wczoraj byłaś taka zmęczona.

Deborah nie chciała rozmawiać z nią o swojej wolności.

– Muszę się stąd wydostać.

Ból w jej głosie uciszył dziewczynę. Usiadły na swoich łóżkach i czekały na strażniczkę, która wypuści je na śniadanie. Musi zacząć działać, porozmawiać z Nellą Santos o prezencie dla LaJavii. W więzieniu kobiety uczyły się improwizować. Nella, która była artystką, sama wytwarzała papier.

Kilka dni później Nella otworzyła swoją szafkę i wyjęła własnoręcznie zrobiony arkusz papieru. Cięła tanie kartki z życzeniami oraz koperty i namaczała je w zlewie. Potem rozsmarowywała masę nad wywietrznikiem, żeby wyschła. Robiła to tak starannie, że

trudno było odróżnić jej papier od luksusowego papieru ze sklepu dla artystów.

– Musiałam trochę improwizować, nigdy nie widziałam dziecka LaJavii.

– Byłaś tu, gdy je straciła? – zapytała Deborah.

– Na innym bloku, ale wszystkie o tym słyszałyśmy. Część kobiet mówiła, że mogłaby wystąpić o odszkodowanie, ale chyba nigdy do tego nie doszło.

– Nie mogę uwierzyć, że ten jej chłopak ubiegał się o wizyty małżeńskie. Jeździ na wózku – powiedziała Deborah. Niecały rok temu LaJavia zaszła w ciążę z chłopakiem, którego usiłowała zabić. Po porodzie jego rodzina wystąpiła z wnioskiem o prawo opieki, a LaJavia poczuła się jak inkubator. – Bardzo przeżyła jego śmierć. Stwierdziła, że to Bóg ją pokarał.

– Tak, wiem. Siedząc tu, łatwo uwierzyć, że zasługujesz na wszystko co najgorsze – odrzekła Nella, podając Deborah portret.

– Chyba wszystkie małe dzieci wyglądają tak samo, co nie?

– Widać, że to chłopiec, tylko zastanawiam się, czy nie wygląda za staro – powiedziała Deborah. Nie znała się na akwarelach, ale pamiętała z czasów, gdy malowała z małą Erin, że jak nie miały właściwego papieru, farba odłaziła. Przejechała palcem po zagłębieniach i wybrzuszeniach papieru, gdzie osadziła się farba. Dziecko miało zamknięte oczy.

– To dziecko. Tak wyglądają dzieci.

– Szkoda, że LaJavia nie ma żadnego zdjęcia. Ale musiałaś widzieć jej córkę, przychodzi ją odwiedzać.

– Tak, ale ona ma pewnie ze dwanaście lat. Narysowałam kształt oczu LaJavii i dodałam kręcone włosy, no wiesz, bo dziecko było czarne.

Deborah dostrzegła, że niemal wszystkie zęby Nelli są popsute – nieomylna oznaka nadużywania metamfetaminy. Wiedziała, że dziewczyna nie utrzymuje kontaktów ze swoją rodziną, którą okradała, żeby finansować swój nałóg, i dlatego potrzebowała pieniędzy. Bets pilnowała, żeby jej wnuczce niczego nie brakowało, wysyłała jej pieniądze i paczki. Deborah przycisnęła portret do piersi.

Po powrocie do celi pożyczyła ołówek i napisała notatkę dla LaJavii na odwrocie obrazka.

– Nella zrobiła kawał dobrej roboty. Wygląda zupełnie jak dziecko LaJavii – powiedziała nowa, która dołączyła do nich w zeszłym tygodniu. Śmieszył ją widok dwóch kobiet. Twierdziła, że LaJavia potrzebuje więziennego męża, nie matki.

– Nella to pieprzona ćpunka – odrzekła Deborah, wiedząc, że nowa siedzi za handel metamfetaminą.

Kobieta odeszła, mrużąc coś pod nosem. Może zacząć sprawiać kłopoty, pomyślała



Deborah. Zastanawiała się, czy nie dołączyć ostrzeżenia do notatki, którą napisała dla LaJavii, ale wsunęła tylko obrazek do dużej koperty i położyła na łóżku dziewczyny. Swoim drobnym, ściśniętym pismem napisała: „Nie otwieraj, dopóki nie wyjdę”.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

## Głupcy

Zazwyczaj wspólne siedzenie przy stole i jedzenie obiadu przepełniało Deborah niezmierną radością. Po posiłku siadała zwykle na ganku, czasem dołączały do niej Anna i podgryzający jej pięty Bobo oraz Bets. Erin wolała oglądać w telewizji jakieś konkursy dla przyszłych gwiazd popu, a Callie znikwała w swoim pokoju z telefonem. Deborah spojrzała na gaj i dostrzegła, że drzewka wkrótce pokryją się kwiatami.

– Myślałam, żeby wyprawić Erin przyjęcie niespodziankę – powiedziała pewnego dnia pod koniec marca.

– Dla dziecka? – zapytała Bets.

– Nie. W środę są jej urodziny – odrzekła Anna.

– Właśnie sobie przypomniałam – powiedziała Deborah. Ostatnie parę dni upłynęło jak z bicza strzelił. Nawet godziny spędzone w sklepie matki wydawały się nie dłuższe niż dziesięć minut.

– Erin nie lubi dużych spędów – stwierdziła Bets. – Wszystkie te głupie imprezy, gdy była w szkole...

– Nic wielkiego – odpowiedziała pospiesznie Deborah, żeby zachować pozycję lidera. – Tort, może kilku znajomych z liceum, którzy mieszkają w pobliżu.

Anna i Bets wymieniły cierpkie spojrzenia.

– Nie jestem pewna, kogo chciałaby zobaczyć – powiedziała Bets. – Poza tym nigdy nie lubiła niespodzianek. Pamiętasz, że gdy skończyła dwanaście lat i ten chłopiec od Parkerów...

– Wiesz, że tego nie pamiętam – rzuciła Deborah. Była przekonana, że Bets próbuje ją zranić.

Bets położyła dłoń na kolanie wnuczki.

– Chcemy dla niej jak najlepiej, tak samo jak ty.

– Tak długo nie mogłam jej niczego dać – powiedziała Deborah i zaczęła szybciej bujać się na fotelu.

– Gdy z nią byłaś, byłaś doskonałą matką – stwierdziła Anna. Jej fotel ledwo się poruszał i Deborah zastanawiała się, czy buja ją tylko wiatr.

Po chwili do drzwi podeszła Erin. Pociągała nosem, a na jej policzkach widać było ślady łez.

– Ten program to kompletna tandeta, ale i tak mnie bierze. Musieli dzisiaj zaśpiewać akurat ballady.

Deborah i pozostałe kobiety zgodziły się, że niełatwo jest słuchać miłosnych piosenek.  
– Chodź, usiądź z nami – zaproponowały.

Bets przestała nucić *Always* i zaczęła wspominać noc narodzin Erin. Wszystkie myślały, że Deborah sobie żartuje, gdy zadzwoniła z pensjonatu, twierdząc, że zaczął się poród.

– Bóg mi świadkiem, że myślałam, że to primaaprilisowy żart – wtrąciła Callie i przejęła opowiadanie historii.

Deborah doskonale pamiętała brak reakcji ze strony rodziny, gdy oznajmiła, że odeszły jej wody. Carl spał pijany w trupa, a ona leżała obok niego i czuła coraz silniejsze i bardziej regularne skurcze od północy do świtu.

Callie przedstawiła się jako superbohaterka, opowiadając Erin, że nie zatrzymała się przed żadnym znakiem stopu i jedynym czerwonym światłem w mieście, aby dowieźć Deborah na czas do szpitala. Deborah nie chciała słuchać, jak wszystkie wychwalają jej matkę. Przypominało jej to, że matka cały czas nie jest w stanie zostać z nią sam na sam, że przez dwadzieścia lat nie pojawiła się w Chowchilli ani razu, że na wszystkich kartkach urodzinowych czy świątecznych to Bets podpisywała się imieniem Callie, pisząc: „Ucałowania, mama”, źle podrobionym pismem.

Gdy Callie mówiła, Erin weszła na ganek i zasłuchana usiadła u stóp praprababci. Pies skulił się u jej boku i Deborah zrozumiała, że jej córka słyszy tę historię po raz pierwszy.

– Gdzie był wtedy tata? – spytała.

Zapadła długa cisza. Anna zakasłała, na ganku rozległo się skrzypienie bujanego fotela.

– Był na rodeo – odpowiedziała Deborah. – Przyjechał po południu. Nikomu nie pozwoliłam cię wziąć na ręce, zanim nie przyszedł.

– A tak, zupełnie zapomniałam – dodała Anna. – Byłaś niezwykle zawzięta, wstałaś z łóżka i nawrzeszczałaś na pielęgniarkę, gdy próbowała podnieść Erin.

Przyjęcie było niespodzianką, chociaż babcie miały rację, że Erin nie ucieszy widok starych znajomych. Ci, którzy zostali w Kidronie, wcześniej założyli rodziny i byli obecnie w trakcie burzliwych spraw rozwodowych albo oczekiwali narodzin trzeciego lub czwartego dziecka.

Deborah pragnęła wyczytać z oczu córki, że ta czuje się kochana i widzi, ilu ludzi się o nią troszczy. Zamiast tego dostrzegła w jej oczach zakłopotanie. Jak wiele innych matek popełniła błąd, myśląc, że wie, czego potrzebuje jej córka.

Większość prezentów była związana z dzieckiem, a dziewczyny, które były razem z Erin w chórze, przyniosły jej partytury. Jedyne osobiste podarunek pochodził od cichego mężczyzny, męża jednej z chórzystek, który w liceum kręcił na wideo ich występy. Razem

z żoną powybiali wszystkie solówki Erin i nagrali je na jedną płytę DVD.

– Zrobiliśmy taką płytę z moimi występami, gdy oczekiwaliśmy narodzin pierwszego dziecka. Myślałam, że dzieci zainteresuje, jak się poznaliśmy. Oczywiście nie chcą tego oglądać, mówią, że to nudy.

Mąż złapał żonę w pasie.

– Żadne nudy – zaoponował.

Gdy wszyscy wyszli, kobiety zebrały się wokół kuchennego stołu. Callie ukroiła sobie ogromny kawałek tortu i spytała:

– Ciekawe, kto to wszystko posprząta?

– Nie ja – odrzekła Erin, odchylając się do tyłu i ściągając rozciągliwe ciężowe dżinsy, które miała na sobie. – Jestem wykończona.

– Przepraszam – powiedziała Deborah. – Chyba nie tego chciałaś.

– Było wspaniale, naprawdę wspaniale – przekonywała Erin, wydłubując lukier z resztek ciasta.

– Weź jeszcze jeden kawałek – namawiała ją Deborah. – Tak dużo zostało. – Erin niewiele zjadła. – Na pewno nie jesteś głodna? A ty, babciu?

Bets odsunęła papierowy talerzyk na środek stołu.

– W moim wieku jedynie pierwszy kęs potrawy dobrze smakuje. Kiedyś uwielbiałam steki. Nie było dla mnie nic lepszego niż dobrze zrobiony befsztyk, ale odkąd skończyłam osiemdziesiąt lat, mój mózg narzeka tylko „znowu to samo”. Zaczęłam nawet próbować egzotycznych potraw, ale jedzenie nie sprawia mi już żadnej przyjemności.

Anna się zaśmiała.

– Ja próbowałam przestawić się na ostre jedzenie, ale tylko podrażniło mi wnętrzności.

– Coś takiego – powiedziała Deborah i zwracając się do córki, zapytała bezgłośnie: – Coś nie tak?

Erin pokręciła przecząco głową.

– To był długi dzień i dostałam niestrawności po burgerze, którego zjadłam na lunch.

Nastała chwila ciszy. Patrząc na siedzące wokół stołu kobiety, Deborah jasno zobaczyła swoją przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Miała jeszcze przed sobą szmat życia. Czterdzieści dwa lata to nic. Może jeszcze założyć rodzinę, pójść na studia, rozkręcić własny interes. Dlaczego przebywając w tym domu, czuła się, jakby jej życie było skończone? Co innego, gdy siedziała za kratkami i nie miała możliwości wyboru ani rozwoju, ale teraz świat powinien stać przed nią otworem.

Anna przeprosiła i wyszła do łazienki, a Callie spojrzała znad trzeciego kawałka tortu. Wpatrując się w przestrzeń tuż ponad głową Deborah, powoli zlizywała z widelca różowy i niebieski lukier. Pustka jej wzroku zdawała się obejmować całe pomieszczenie.

– Powinnam sprawdzić, co z Anną – powiedziała Bets.

– Bets cierpi na depresję – oznajmiła Erin, gdy tylko jej prababcia przekroczyła próg kuchni.

– Była u lekarza? – zapytała Deborah, spoglądając na matkę, by sprawdzić, czy przysłuchuje się rozmowie.

– Znasz ją. Nie bierze nawet aspiryny na ból głowy. To w związku z Frankiem.

– Frank to skurwiel – powiedziała Deborah. Nigdy nie przepadała za dziadkiem. – Odkąd zaczął tracić rozum, wznosicie go na piedestał, ale doskonale pamiętam, jaki był dla mnie niemiły tylko dlatego, że moje narodziny pokrzyżowały jego plany wobec mojej matki.

– Nikt o nim tak nie myśli – odrzekła Erin. – Zresztą nie o to chodzi. Nie widziałas go w domu opieki. Bardzo się zmienił.

Deborah nie chciała rozmawiać o dziadku.

– Podobało ci się przynajmniej to przyjęcie? Wymagało wiele pracy.

– Chcesz powiedzieć, że ty włożyłaś w nie dużo pracy? – poprawiła ją Erin. Córka odziedziczyła bezpośrednio po Bets.

Callie parsknęła.

– Nic się przed tobą nie ukryje – zauważyła, cały czas spoglądając w przestrzeń ponad ich głowami.

Deborah zignorowała matkę i ponownie zwróciła się do córki:

– Rozmawiałaś z ojcem dziecka? Powiedziałaś mu, na kiedy masz termin? Zaprosiłaś go na narodziny?

– Przyjęcie było beznadziejne – powiedziała Erin. Chwyła resztki tortu, wrzuciła je do kosza i wyszła z kuchni.

– Nie sądziła, że kiedykolwiek tu wróci – oznajmiła Callie z drugiego końca stołu. – Kiedyś byłam do niej podobna, a teraz proszę: obie utknęłyśmy w Hill House z ludźmi, od których nie ma ucieczki.

– Ty to dopiero masz problemy, mamo. Dlaczego nie możesz po prostu siedzieć cicho?

– Oto moja dziewczynka. Wiesz, że nawet jako dziecko byłaś wredna? Gdy ktoś zranił twoje uczucia, urządzałaś mu prawdziwe piekło. Raz, gdy miałaś nie więcej niż osiem lat, zepchnęłaś ze schodów swojego brata, bo powiedziałam mu, że podoba mi się jego rysunek drzewek oliwnych. Złamał rękę w dwóch miejscach. Przez dwa dni upierałaś się, że sam spadł, mimo że wszyscy widzieli, co się stało. A potem, gdy wreszcie się przyznałaś, stwierdziłaś, że to wszystko moja wina, bo niewystarczająco cię kocham...

– Zamknij się, zamknij się, do kurwy nędzy. – Deborah wstała i pchnęła stół, aż unieruchomiła matkę na krześle. – Jesteś pieprzoną narkomanką. Słyszysz? Ćpunką.

Zawsze byłaś ćpunką. Te pigułki pomagają ci uciec od trudnych spraw i co ci pozostaje?  
Nic.

– Nie mogę oddychać – powiedziała Callie i usiłowała odsunąć stół.

Słyszając podniesione głosy, wszystkie kobiety wróciły do kuchni. Bets odsunęła stół od Callie, Erin otoczyła ramionami Deborah i zaczęła ciągnąć ją do pokoju, a Anna cienkim, piskliwym głosem klepała *Ojcze nasz*.

– Nigdy mnie nie kochałaś! – krzyczała Deborah w stronę matki, podczas gdy Erin ciągnęła ją na sofę. – Nikt nigdy mnie nie kochał.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

## Matka i dziecko

Żadna z kobiet nigdy później nie wspominała o awanturze. Przez cały kwiecień wszystkie chodziły wokół Deborah na paluszkach, a w domu zapanowała lodowata grzeczność. Deborah tłumaczyła sobie, że liczy się tylko Erin. W normalnych warunkach Bets i Anna byłyby już pogrzebane, żyłyby zaledwie w banalnych wspomnieniach, wedle zasady, że nie należy mówić źle o zmarłych. Gdyby tak było, jej problemy z matką nie miałyby żadnego znaczenia. Wiele kobiet nienawidzi swoich matek. Byłe tylko Erin nie stała się jedną z nich.

Próbowała udzielać jej porad. Gdy Erin krzywiła się z bólu, doradzała:

– Pamiętaj, żeby spać na boku. Będą cię mniej bolały plecy w ciągu dnia.

Patrząc, jak córka pisze plan porodu, Deborah podzieliła się z nią historią jej własnych narodzin. Pocieszała Erin, że kobiety z ich rodziny mają łatwe porody.

– Szybko rodzimy, żadne z dzieci nigdy nie utknęło w kanale rodym. Gdy rodziłam cię, ledwo zdążyli podać mi leki przeciwbólowe. Kilka szybkich parć i byłaś na świecie: długa, chuda, twoja główka nie była nawet zniekształcona przejściem przez kanał rodny, a maleńkie usteczka wyglądały jak pączek róży.

Cisza.

– Pielęgniarki śmiały się, że nie płakałaś, ale raczej miauczałaś tak cichutko, jakbyś chciała powiedzieć: „Przykro mi, że przeszkadzam, ale jestem głodna”.

Erin spojrzała na nią zza grzywki.

– Nie chcę żadnych lekarstw. To niedobre dla dziecka.

Gdy zbliżał się termin porodu, w domu zapanowała cisza, jakby wszystkie nasłuchiwały oznak, że się zaczęło. Popołudniami Deborah przyglądała się śpiącej na sofie córce. Czasami budziła się z drzemki radosna, jakby zapomniała o istniejących między kobietami niesnaskach.

– Wiesz – powiedziała Deborah pewnego majowego popołudnia po powrocie z pracy. – Tak się zamartwiałam ciążą i porodem, że nie zdążyłam się zastanowić, jak będzie wyglądało moje życie, gdy będziesz już na świecie. Może dlatego, że byłam taka młoda.

– Nie tylko ty – odrzekła Bets. – Każda kobieta popełnia ten błąd przy pierwszym dziecku.

– A potem zarzekamy się, że nigdy więcej – dodała Anna, mrużąc oczy.

Do domu wróciła Callie, mocno kulejąc.

– Co za dzień – westchnęła, po czym skierowała się do kuchni i odkręciła kran.

Deborah pomyślała, że z pewnością potrzebuje wody, aby popić garść pigułek, które właśnie połknęła. Z pokoju uleciała radość, a każda z kobiet wróciła do swojego zajęcia. Deborah obserwowała oglądającą telewizję córkę i słuchała chichotu matki, która rozmawiała przez telefon z doktorem z Pensylwanii.

Następna wizyta u pani Holt nie była zbyt przyjemna. Deborah poczuła się jak osaczona – najpierw z powodu obowiązkowego testu na obecność narkotyków, a potem przez sugestię opiekunki, że powinna szczerze porozmawiać z matką.

– Mówiłam ci, że moja matka jest narkomanką?

Holt wydeła usta.

– Rozumiem, że kupuje vicodin na receptę. Tak samo, jak ty dostajesz receptę na paxil.

– Nie rozumiałam tego, gdy byłam dzieckiem, zorientowałam się dopiero, gdy trafiłam do więzienia i widziałam ćpunka na co dzień. Najgorsze były te łykające piguły.

– Nie oceniaj jej tak surowo. Musisz zrozumieć, że im więcej wymagasz od ludzi, tym większe będą ich oczekiwania w stosunku do ciebie. A wzajemne oczekiwania to temat, nad którym powinna popracować cała twoja rodzina.

– Tak czy inaczej... – odrzekła Deborah. Przycisnęła język do dolnych zębów i zapytała: – Ile będziemy czekać na wynik testu?

Pani Holt zmrużyła oczy.

– Czy mam się martwić o wyniki?

W tym momencie rozległo się głośne pukanie do uchylonych drzwi gabinetu. Deborah odwróciła się i zobaczyła swoją matkę. Zanim zdążyła zareagować, Holt wskazała Callie puste krzesło naprzeciw Deborah.

– Erin zaczęła rodzić – oznajmiła Callie.

Deborah spojrzała pytająco na Holt.

– Napraw to – rzuciła Holt i machnęła ręką, że mogą iść.

Podczas godzinnej podróży do Kidronu prawie się do siebie nie odzywały. Matka zapytała jedynie, czy odpowiada jej stacja radiowa, Deborah zasugerowała włączenie klimatyzacji i obie wyraziły nadzieję, że Erin będzie miała łatwy poród.

Późnopołudniowe słońce zalewało tę stronę samochodu, po której siedziała Callie, i niezależnie od tego, jak ustawiały osłony, promienie odbijały się od wnętrza pojazdu, tak że Deborah nie mogła obserwować profilu matki. Słuchała, jak Callie po cichu śpiewa wraz z każdą puszczańską w radiu balladą. Chwilami głos matki załamywał się przy szczególnie emocjonalnych fragmentach i Deborah miała ochotę poklepać ją po nodze albo wykonać jakiś gest, który zapewniłby je obie, że jeszcze nadejdą lepsze czasy, ale nie mogła się przełamać.

Gdy wysiadły z windy, podbiegła do nich Bets.



– Musicie przemówić jej do rozsądku. Nie chce się zgodzić, a lekarze mówią, że musi.

Z niezrozumiałych dla Deborah powodów jej córka wybrała na partnera porodowego Bets. Erin twierdziła, że to dlatego, że Bets urodziła wszystkie swoje dzieci w domu, bez żadnych środków przeciwbólowych, ale Deborah uważała ten powód za głupi, Bets dokonała takiego wyboru nie dlatego, że podzielała przekonania Erin, ale ponieważ nie było wtedy w Kidronie porządnego szpitala.

Callie chwyciła w obie ręce dłonie matki.

– Spokojnie, mamó. Co się dzieje?

Nie czekając na wyjaśnienia, Deborah pobiegła do pokoju, pod którym stała Anna. W środku Erin kłóciła się z lekarką, niską Koreanką, która usiłowała przekrzyczeć jej obiekcje, powtarzając w kółko: „musimy wyjąć dziecko”.

– Nie zgadzam się na cesarskie cięcie – powiedziała Erin, odsuwając stojącą przy łóżku metalową tackę. Jej gęste włosy były mokre od potu, a ciężka grzywka przykleiła się do czoła, przypominając źle nałożoną maskarę.

– Przynajmniej jeszcze nie teraz – wtrąciła Deborah, stając pomiędzy córką i lekarką.

– Mamó! – zawołała Erin i Deborah wydawało się, że zaczęła płakać, ale może płakała już wcześniej. W każdym razie jej łagodne brązowe oczy pociemniały do koloru popiołu. Erin wyciągnęła rękę do matki.

Po raz pierwszy od wyjścia z więzienia Deborah poczuła się potrzebna. Przypomniała sobie, jaką przyjmowała postawę, żeby zapewnić sobie poważanie współwięźniarek. Wyprostowała się, podniosła brodę i przymrużyła oczy.

– Proszę dać nam pięć minut na przedyskutowanie różnych możliwości. Będziemy zadawać pani pytania, a pani postara się na nie bezstronnie odpowiedzieć. Moja córka nie chce żadnych leków ani cesarskiego cięcia.

– Tak – wykrzyknęła Erin. – Żadnego cięcia.

Lekarka wyjaśniła, że monitorująca skurcze Erin pielęgniarka zauważyła niepokojące oznaki. Wyciągnęła wąski pasek papieru i tłumaczyła:

– Widać tu, że z każdym skurczem tętno płodu spada poniżej wartości krytycznej i zbyt długo wraca do normy.

Deborah nie była pewna, czy rozumie, ale kiwnęła głową, żeby lekarka mówiła dalej. Erin zaczęła buczeć, bo zaczął się kolejny skurcz.

– Ma regularne skurcze co jakieś trzy minuty i rozwarcie na pięć centymetrów. Ale niepokoi mnie ten odczyt. – Lekarka rozejrzała się po pokoju i skinęła, żeby Deborah podeszła bliżej. Ściszyła głos i powiedziała: – To może oznaczać, że dziecko owinięte jest pępowiną.

– Szyja? – zapytała Deborah, spoglądając na Erin, która położyła się na boku

i odpoczywała po skurczu.

– Nie, nie. To może być tułów albo noga, a najczęściej ramię i klatka piersiowa. To ryzykowne dla dziecka. Możemy uniknąć ryzyka, robiąc cięcie. Tniemy, wyjmujemy dziecko, szyjemy.

– Czy mogłaby nam pani dać trochę czasu? – spytała Deborah.

– Cóż, jeśli chodzi o czas... Jeżeli zdecydujemy się na cięcie, muszę sprowadzić anestezjologa, a ponieważ on mieszka w Redding, będzie mógł przyjechać najwcześniej za godzinę. Jeśli rytm serca dalej będzie zaburzony, będziemy musieli zrobić operację bez anestezjologa.

– Chociaż kilka minut?

Do lekarki podeszła pielęgniarka i przez chwilę szeptały między sobą, patrząc na kolejny pasek papieru, po czym lekarka pokiwała głową i wyszła z pokoju.

Pod drzwiami Anna rozmawiała z Callie i Bets. Zdawały się czekać, aż Erin zaprosi je do środka. Dziewczyna siedziała na łóżku z uniesionymi kolanami, a jej twarz była jednocześnie rozpalona i blada. Deborah zaprosiła gestem pozostałe kobiety, które zebrały się wokół Erin, ofiarowując rady i pocieszenia.

– Gdy zacznie się kolejny skurcz, spróbuj stanąć na czworakach – doradziła Bets. – W tej pozycji przetrwałam najgorsze momenty porodu z moimi dwoma chłopcami.

– Biedactwo – powiedziała Callie, masując plecy Erin. – Niedługo to się skończy i będziemy mieć naszą małą dziewczynkę.

– Wiesz, jak rozśmieszyć Boga? – zapytała Anna.

– Zaplanuj coś – odpowiedziała Deborah z namysłem.

Erin z trudem zmieniała pozycję, a Deborah i Callie ustawiły się po dwóch stronach łóżka. Jej buczenie stawało się coraz głośniejsze wraz z narastającym skurczem, w kulminacyjnym momencie zmieniło się w muzykalne kwilenie.

– Nie jest tak źle – oznajmiła Erin, pochylając się do przodu, aż oparła głowę na materacu. – Babciu, powiedz lekarce, że mogę to zrobić. Naprawdę mogę. Sama urodzę moje dziecko.

Callie założyła Erin włosy za uszy.

– Nie musisz.

– Ale ona chce – wtrąciła Deborah z drugiej strony łóżka.

– Ty nie masz tu nic do gadania – odrzekła Callie.

– Jestem jej matką – powiedziała Deborah, wypowiadając te słowa z lekkim wahaniem. – Jestem! – dodała z większym naciskiem, widząc, że Anna i Bets kręcą głowami.

– To nie jest odpowiedni czas ani miejsce – odparła Bets i uklękła przed łóżkiem, tak że

patrzyła Erin prosto w oczy. – Czasami najbardziej heroicznym aktem jest poddanie się.

– Są jeszcze inne opcje – wtrąciła Deborah. – Muszą być.

Erin rytmicznie uderzała głową o materac.

– Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem.

Anna zastukała raptownie w drewniane drzwi.

– Skończcie z tymi bzdurami – przykazała. Wszystkie kobiety momentalnie na nią spojrzały. Trzęsła się jak liść, który za chwilę spadnie z drzewa. – Co mówi ci dziecko? Posłuchaj.

Erin opadła na bok i skuliła się wokół brzucha. Zacisnęła oczy i nakryła uszy dłońmi. Callie i Deborah odeszły od łóżka, zostawiając wolną przestrzeń wokół Erin.

Czekały.

Lekarka podeszła do drzwi pokoju. Czekala.

Deborah wyobraziła sobie łańcuch lalek powycinanych z papieru w taki sposób, że ich połączone ręce tworzyły kształt serca. Po chwili, która wydawała się długa jak dzień, Erin znowu zaczęła buczeć. Gdy skończył się skurcz, spojrzała na lekarzkę i powiedziała:

– Damy radę.

Przed kolejne kilka godzin pielęgniarki chodziły wokół Erin z ponurymi minami. Odrywały paski wydruków z maszyny monitorującej tętno płodu i wносиły je w swoich kartach. Lekarka włożyła Erin rurkę, żeby odsącać płyny z macicy, tłumacząc, że to odciąży pępowinę, jeśli rzeczywiście jest owinięta wokół dziecka. Bets ustąpiła miejsca Callie i zabrała Annę na kawę. Deborah robiła wszystko, żeby jej córka miała spokojny poród. Przygasiła światła, pilnowała głośności muzyki, rozpakowała rzeczy Erin i porozkładała w szufladach. Wyjmując pierwsze ubranko dziecka, zdała sobie sprawę, że jej córka wcale nie spodziewała się dziewczynki. Małeńka wyprawka była biała z niebieską wstążeczką wplecioną w kołnierzyk.

– Ładne – powiedziała do matki, pokazując jej ubranko. Zaczął się kolejny skurcz i Callie nachyliła się nad pracą wnuczką, głaszcząc ją po głowie.

– Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam.

– Nie sądzisz, że to dziewczynka? – Deborah nie mogła powstrzymać się z pytaniem, gdy skończył się skurcz.

Erin uśmiechnęła się i powiedziała coś po włosku, co w uszach Deborah brzmiało jak: „Zamknij się, do cholery”.

– Wydaje mi się, że jest gotowa, aby przeć – powiedziała Callie.

Deborah poczuła się niepotrzebna. Poskładała ubranko i wyszła na korytarz poszukać lekarki i reszty rodziny. Zanim weszły do pokoju, Anna położyła jej dłoń na ramieniu i Deborah zrozumiała, że w ten sposób prababcia wybacza jej wszystko, co między nimi

zaszło.

Za nimi weszły dwie pielęgniarki, wioząc wózek z przezroczystym kojcem i jakimiś przyrządami szpitalnymi. Przypomniła jej się wózek, który wozila z więziennej biblioteki.

Wchodząc do sali, lekarka skinęła głową w stronę kobiet i powiedziała do Erin:

– Wszystko będzie dobrze. Tylko przyj. Tętno dziecka nie pogorszyło się, a specjalista neonatolog jest w drodze. Tak na wszelki wypadek.

Bets objęła Deborah ramionami i przyglądały się spod drzwi.

– Miałaś rację, że stanęłaś po jej stronie.

– Ostatnie mocne parcie – powiedziała jedna z pielęgniarek.

Krzyk jej córki w chwili, gdy dziecko przychodziło na świat, nie różnił się od niektórych nut, które śpiewała w swoich ariach. Muzyka jej głosu na chwilę zaczarowała pokój, a potem wybuchł chaos.

– Spada tętno – oznajmiła pielęgniarka stojąca przy przenośnym kojcu.

– Jeszcze trochę, jeszcze trochę – powtarzała lekarka, wyciągając dziecko, po czym zacisnęła pępowinę.

– Byłaś naprawdę, naprawdę wspaniała – powiedziała Callie do Erin.

– To chłopiec – oznajmiła Anna.

– Czy wszystko w porządku? Co robicie? – wypytywała Erin. Leżała na szpitalnym łóżku, a po policzkach płynęły jej strumienie łez.

– To chłopiec – powiedziała.

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

## Przyjazdy i odjazdy

Gdy pojawiło się dziecko, wszystkie kobiety z wyjątkiem Callie wyszły na korytarz. Siedziały w poczekalni, wpatrując się w drzwi. Słyszając tykanie zegara, Deborah uświadomiła sobie upływ czasu. Chciała wyjść na zewnątrz i poodychać niezinstytucjonalizowanym powietrzem. Był maj, co oznaczało, że Kidron pachniał kwiatami oliwek i pyłkami traw, które podrażniłyby jej gardło. Pragnęła być w lepszych stosunkach z matką i poprosić ją, żeby poszła do domu i zrobiła pieczone buraki i purée z ziemniaków. W więzieniu jadła purée z proszku i buraki z puszki. Świadomość uciekającego czasu sprawiła, że starała się poukładać w głowie pędzące myśli o matce i córce, zanim znów przesunie się wskazówka zegara.

Było zupełnie inaczej niż w operach mydlanych, które Deborah oglądała w więzieniu. Żaden doktor, pielęgniarka ani inna atrakcyjna osoba w idealnie dopasowanym fartuchu nie wybiegła przez drzwi i nie oznajmiła, zrywając z twarzy maskę chirurgiczną, że dziecko żyje. Po półgodzinie Callie wyszła zza ogromnych podwójnych drzwi i powiedziała, że chłopiec czuje się dobrze, Erin czuje się dobrze i oboje są bardzo zmęczeni.

– Dzięki Bogu – powiedziała Deborah. – Mogę ją zobaczyć? Mogę zobaczyć mojego wnuka?

Callie podeszła do córki.

– Zdajesz sobie sprawę, że to wszystko twoja wina?

– Nie. Zrobiłam tylko to, co każda matka...

– Ale ty nie jesteś jej matką. Erin ma Annę, która trzymała ją za rękę pierwszego dnia w szkole, ma Bets, która nauczyła ją jeździć na rowerze, ma mnie. Wiesz, co zrobiłam dla twojej córki?

– To nie moja wina – odparła Deborah, spoglądając za siebie w poszukiwaniu wsparcia. Bets siedziała na plastikowym krześle, a Anna bacznie się im przyglądała.

– Powiedzcie wreszcie, co wam leży na sercu, i skończcie z tym – powiedziała Anna. – Rozpalcie ten ogień i zobaczcie, co zostanie, gdy się wypali, bo w przeciwnym razie to wzajemne oskarżanie zniszczy nas wszystkie.

Callie ledwo dała Annie skończyć, znów zwracając się do Deborah:

– To twoja wina. Zastrześliś jej tatusia. Rozumiesz? Wszystko to twoja wina. Nie ma szansy na normalną rodzinę i szczęśliwe życie. Przez ciebie. I jeszcze musiaś się wtrącić i nie pozwoliłaś lekarce zrobić tego, co uważała za stosowne. Stwierdziłaś, że to najlepszy moment, żeby stanąć po jej stronie? Dlaczego?

Deborah zamurowała. Desperacko rozglądała się w poszukiwaniu pomocy czy choćby przyjaznego spojrzenia. Wszyscy w poczekalni, łącznie z Bets, mieli spuszczone głowy. Spojrzała na matkę. Callie była spocona, miała pogniecione ubranie, widoczne odrosty i spłaszczone włosy po jednej stronie głowy, po tym, jak leżała obok Erin, pomagając jej rodzić. Jej spojrzenie było jednak wyjątkowo przejrzyste i zdeterminowane, chociaż trzęsły się jej ręce.

Deborah podeszła do matki. Zaczęła mówić dobitnie, jakby wypluwała słowa.

– Wszystko dobrze się skończyło. O co ci chodzi? Dlaczego musisz wszystko na mnie zwałać? Całe dzieciństwo robiłam, co mogłam, żebyś mnie dostrzegła, starałam się zrozumieć, co jest z tobą nie tak, bo to nie ze mną, ale z tobą było coś nie w porządku. To ty jesteś kaleką i nie chodzi mi bynajmniej o twoją chorą nogę.

– Weź na siebie odpowiedzialność – odparła Callie. – Przyznaj, że to ty jesteś odpowiedzialna za choćby jedną rzecz w swoim cholernym życiu. Czy ja kuśtykam po ludziach, błagając o współczucie? Czy użalam się nad sobą, bo dostałam od losu złe karty? – Matka chwyciła ją za ramiona i zaczęła nią potrząsać. – Dlaczego jesteś taką egoistką? Gdzie popełniłam błąd?

Deborah pchnęła matkę z taką siłą, że Callie upadła na podłogę, przewracając kilka plastikowych krzeseł. Mężczyzna, który siedział w poczekalni, odkąd przywiozły Erin, krzyknął, żeby się uspokoiły. Deborah podeszła do matki, która ze względu na chorą nogę nie mogła wstać. Powinna jej pomóc, ale gdy wyciągnęła rękę, Callie się odsunęła. Deborah kopnęła matkę, a ta krzyknęła. Mężczyzna, który wcześniej je uspokajał, stanął pomiędzy matką a córką. Deborah zaczęła wrzeszczeć i na oślep szukać czegoś, czym mogłaby rzucić. Podniosła jedno z plastikowych krzeseł i cisnęła nim przez pokój w stolik, na którym stał czajnik z kawą.

Wydawało się, że łomot obudził cały szpital.

Z windy wyłonił się ochroniarz i skierował się do poczekalni. Bets otoczyła Deborah ciasno ramionami i przyciskając usta do jej głowy, szeptała: „ciiii, ciii, ciii”. Mężczyzna pomógł Callie wstać i posadził ją na krześle. Natychmiast zjawiła się przy niej pielęgniarka, pytając, czy coś ją boli.

Deborah usiłowała wyrwać się Bets. Staruszka nie była tak silna, jak kiedyś, więc wnuczka szybko uwolniła się z jej uścisku i podeszła do matki.

– Ja cierpię. Co z moim bólem?

Strażnik złapał ją za ramiona i wykręcił jej ręce do tyłu, a po chwili zakął w plastikowe kajdanki.

– Zabieram ją na zewnątrz – powiedział do wszystkich i do nikogo. Potem wyszeptał jej do ucha: – Uspokój się, do cholery. Co chcesz osiągnąć, rządząc taką scenę? Co sobie

wyobrażasz, robiąc taki pierdzielnik w moim szpitalu?

Rozluźniła się pod jego uściskiem i niemal upadła. Czuła, że z jej ciała uchodzi cała energia i wsiąka w szpitalne linoleum, które pachniało taką samą przemysłową pastą, jakiej używali w Chowchilli.

Deborah i strażnik siedzieli na ławce przy okrągłym podjeździe szpitalnym i obserwowali wschód słońca. Pierwszymi oznakami wschodu były cienie, ponieważ słońce pojawiała się nad górami Sierra Nevada. Był bezchmurny dzień i niebo powoli, stopniowo zmieniało kolor z ciemnoniebieskiego na pomarańczowożółty.

– Lada chwila powinien przyjechać – powiedział strażnik.

Czekali na funkcjonariusza z komisariatu w Kidronie, który miał spisać raport z incydentu. Władze szpitala nalegały na udokumentowanie wypadku, aby mogły ubiegać się o odszkodowanie za zniszczenia w poczekalni.

– Nie sadzę, żeby mama wniosła skargę – powiedziała Deborah, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

Samochód policyjny zatrzymał się z piskiem opon. Wysiadł z niego niski okrągły mężczyzna w brązowym mundurze. Był blondynem w średnim wieku, bliżej mu było do pięćdziesiątki niż do trzydziestki. Miał brązowe oczy i małe usteczka jak u lalki, a jego włosy charakteryzował różowawy odcień i Deborah pomyślała, że wygląda, jakby miał się zaraz zapalić. W ogóle na nią nie spojrzał, za to z nieukrywaną radością przywitał się ze strażnikiem.

Strażnik opowiedział o szpitalnej awanturze. Zadając pytania Deborah, policjant utrzymywał dystans. Była od niego jakieś piętnaście centymetrów wyższa i widziała, że usiłował zachować poczucie przewagi. Próbowwała tłumaczyć, że wszystkie były zmęczone i wyczerpane emocjonalnie po trudnym porodzie.

– Jestem pewna, że mama potwierdzi, że nic takiego się nie stało. Nic, co wymagałoby tego – powiedziała Deborah, unosząc ciągle skute za plecami rękę.

Niski policjant kołysał się na obcasach.

– Jesteś na zwolnieniu warunkowym?

Deborah poczuła ucisk w żołądku. Przytaknęła, starając się wyglądać na mniejszą niż w rzeczywistości, zginając kolana i pochylając ramiona.

– Hmm. – Policjant zmarszczył brwi i zanotował coś w cienkim notatniku, który wyjął z tylnej kieszeni. – Pójdę zobaczyć, jakich narobiłaś szkód. – Podciągnął spodnie i wszedł do szpitala.

– Za co trafiłaś do więzienia? – zapytał strażnik.

– Zabiłam męża.

Strażnik odsunął się od niej na ławce.

- Zastrzeliłam go z broni, którą ukradłam dziadkowi.
- Nie wyglądasz, jakbyś tego żałowała.
- Myślałam, że żałuję, ale okazało się, że żałuję tylko tego, co nastąpiło później.
- Nie pomagasz sobie, wiesz o tym?

Wstała z ławki i zaczęła przechadzać się w tę i z powrotem po chodniku.

- Myślisz, że wrócę do więzienia?

Strażnik zeszkrobał z oparcia ławki kawałek gumy do życia.

- Nie rozumiem, dlaczego w ogóle wyszłaś.

Drzwi szpitala otworzyły się z mechanicznym „luuusz” i wyszła zza nich Bets, zasłaniając oczy przed porannym słońcem. Zaczęła mówić do strażnika tonem, którego starsze kobiety z powodzeniem używały, żeby zmusić młodych do działania.

- Nie stawia żadnego oporu. Możesz uwolnić ją z tych plastikowych uwięzi.

Wyjął z kieszeni nóż i przeciął plastik na jej nadgarstkach. Deborah poczuła na skórze chłód metalu i zdrętwiałe ramiona zawisły bezwładnie u jej boków. Bets położyła dłoń na ramieniu strażnika, pochyliła się i powiedziała mu coś po cichu. Mimo że Deborah nie słyszała słów, docierał do niej przekonujący ton jej głosu i nie była zdziwiona, gdy strażnik wstał z ławki, oznajmiając, że pójdzie poszukać kawy i zobaczyć, jak postępuje pisanie raportu.

– Bycie matką jest w takim samym stopniu tragedią, co triumfem – powiedziała Bets. – Gdybym miała jeszcze jedną szansę, stworzyłabym większy dystans między nami. Przez to, że zawsze byliśmy wszystkie razem, nie wytworzyła się między nami żadna czułość. Stosunki między mną i Callie zawsze były napięte. Nigdy nie była dzieckiem, jakiego oczekiwałam, i nigdy mi nie wybaczyła, że nie potrafiłam tego ukryć. Ja, ja...

– Babciu, to nie twoja wina – odrzekła Deborah, czując bolesne ukłucia szpileczek, gdy krew w jej ramionach zaczęła normalnie krążyć.

– Moja. Callie jest taka, jaka jest, przeze mnie, a wy zupełnie do siebie nie pasujecie. Nie mogę zrozumieć, jak Bóg mógł połączyć dwie istoty, które wywołują w sobie nawzajem najgorsze instynkty.

– Przynajmniej Bóg dał mi ciebie – powiedziała Deborah, rozciągając ciągle mrowiące ręce.

Objęły się. Na podjeździe zatrzymała się karetka z migoczącymi światłami, dwóch ratowników wywiozło na noszach starszego mężczyznę, który przejeżdżając obok kobiet, odwrócił głowę i obdarzył je płaczkliwym uśmiechem. Do Deborah zaczęły docierać odgłosy budzącego się Kidronu. Wokół parkingu pojawiało się coraz więcej samochodów. Kilka pielęgniarek z nocnej zmiany zgromadziło się pod wiatą dla palaczy przy parkingu.

- Wyjeżdżasz? – wyszeptała jej do ucha Bets.



– Jest aż tak źle?

– Tak. Administrator szpitala żąda twojego aresztowania, ale Anna przekonała Callie, żeby nie składała skargi. Powiedziały, że Callie się przewróciła. Zgodzili się zostawić mnie sam na sam z tobą tylko dlatego, że jestem taka stara. Ale sama wiesz, jak często ludzie nie doceniają Anny, a nawet mnie. – Bets wcisnęła w dłoń Deborah klucze. – W szufladzie ze skarpetkami Anny i w puszcze po kawie na lodówce są pieniądze. Callie nigdy nie zamyka sejfów w biurze, jeśli chciałabyś...

– Poradzę sobie. Opowiedz mi o dziecku Erin.

Stały razem przez kilka minut i Deborah słuchała, jak babcia opisuje dwa perfekcyjne dołeczki w policzkach jej wnuka i sposób, w jaki krzyżuje paluszki, gdy śpi.

# FRAGMENTY KORESPONDENCJI E-MAILOWEJ POMIĘDZY CALLIOPE A AMRITEM

**Od:** Amrit Hashmi a.hashmi@pittsburgh.edu

**Temat:** Gratulacje i kondolencje

**Data:** 21 Maja, 2007 8:48:12 AM PST

**Do:** Callie olivescallie@hotmail.com

Cham-cham,

Powiedziałbym Ci, że owoc spada i ląduje prosto w mleku, ale nie wiem, jak mam Ci to wytłumaczyć. Chodzi mi o to, żebyś nie zamartwiała się tak wyjazdem córki. W Twoim domu panuje teraz tyle radości, a poza tym ze zdarzeń, które z początku wydają się negatywne, może z czasem wyniknąć coś dobrego.

Jak tam dziecko? Muszę przyznać, że również liczyłem na dziewczynkę, ale być może ten mały chłopiec (Keller, nieprawdaż?) potwierdzi moją teorię albo jej zaprzeczy. Znowu wracam do owocu lądującego w mleku.

Trudno mi zrozumieć łączące Cię z córką relacje. Moja żona i jej matka były jak siostry, a gdy postanowiliśmy, że nie będziemy mieli własnych dzieci, zbliżyły się jeszcze bardziej. Zapytałem ją kiedyś, czy dogadywała się z matką jako nastolatka (wiesz, że wzięliśmy ślub, gdy miała zaledwie dziewiętnaście lat, więc nigdy nie znała życia poza domem rodzinnym). Odpowiedziała, że wszystkie córki walczą ze swoimi matkami. Więc może Ty i Deborah odrabiacie kłótnie, których nie mogłyście odbyć podczas tych wszystkich lat, gdy jej nie było. Jestem przekonany, że gdziekolwiek jest, jest bezpieczna.

Badania postępują bardzo dobrze i jeśli utrzymamy takie tempo pracy, myślę, że będę mógł przyjechać z wynikami na początku lipca. Wiem, że rozmawialiśmy o tym nie raz, ale wygląda na to, że Ty i Twoja rodzina jesteście przełomem, na który czekałem wiele lat.

Byłbym bardziej odważny w moich deklaracjach, ale piszę do Ciebie z pracy. Laboratorium jest zbyt sterylne, a nasze marcowe spotkanie wydaje się tak odległe. Czekam na naszą wieczorną rozmowę, kiedy będę mógł być kimś innym. Amritem, przed którym obnażasz swą duszę.

Całuję, A

**Od:** Callie olivescallie@hotmail.com

**Temat:** RE: Gratulacje i kondolencje

**Data:** 22 Maja 2007 7:21:45 PM EST

**Do:** Amrit Hashmi a.hashmi@pittsburgh.edu

Kochany,

Gdybyś tu był, nie byłoby mi tak ciężko wstawać co rano z łóżka. (A może by było, ale przynajmniej miałabym dobry powód). Nikt nie wie, jak się zachować, szczególnie Erin. Żyła nadzieją, że obecność matki rozwiąże wszystkie jej problemy. Myślę, że powinna zrozumieć, że musi dogadać się z ojcem Kellera i przestać unikać jego telefonów.

Dziecko jest wspaniałe. Szkoda, że nie masz dzieci, wtedy mógłbyś zrozumieć, co mam na myśli, mówiąc, jaki spokój niesie ze sobą trzymanie w ramionach noworodka. Erin uważa, że Keller strasznie głośno płacze i niemalże panikuje za każdym razem, gdy dziecko otwiera usta, ale jego płacz jest tak cichutki i pozbawiony egoizmu, że przynosi ukojenie. Przecież płacze, bo jest głodny albo pragnie ciepła i kontaktu z drugim człowiekiem. Wszyscy płaczemy z tych powodów, a przynajmniej ja.

Nie mogę zdobyć się na pójście do sklepu. Próbowалам wczoraj. Będziesz się śmiał, gdy powiem Ci, że jest za zimno, ale dla nas, Kalifornijczyków, jest. Pod moją nieobecność Nancy nie jest w stanie zająć się wieloma sprawami. Sklep zarośnie brudem, a ona nie ma pojęcia, jak kradzież Deborah zaszkodzi interesowi. Powinnam wpłacić te pieniądze, ale nie mam tyle, a nie chcę prosić Anny. Wiem, że pomogłyby mi, ale nie chcę, żeby Anna albo Bets wiedziały, co zrobiła moja córka. Dlaczego nie mogłam zostawić jej w spokoju i musiałam doprowadzić do awantury?

Chciałabym być kobietą, za jaką mnie masz, i chciałabym, żebyś mi powiedział, co znaczy cham-cham, albo przynajmniej obiecał, że mi to wytłumaczysz, gdy przyjedziesz do Kidronu.

Całuję, C

**Od:** Amrit Hashmi a.hashmi@pittsburgh.edu

**Temat:** list

**Data:** 23 Maja 2007 10:32:19 AM PST

**Do:** Callie olivescallie@hotmail.com

Cham-Cham,

Wczoraj dostałem Twój list. Nie wiem, jak przelać na papier wszystkie moje uczucia do Ciebie, ale proszę, uwierz mi, że chodzi o coś więcej niż profesjonalne zainteresowanie Twoją rodziną. Z moją kochaną Padrą, która zmarła wiele lat temu, nigdy nie doświadczyłem tego, co z Tobą. Musisz zrozumieć, że Twój mąż również nie mógł ofiarować Ci wszystkiego. Jestem przepełniony emocjami i nie mam nawet odwagi powiedzieć Ci tego przez telefon. Z moją pierwszą żoną byliśmy jak dwoje nieznajomych,

ale mieliśmy po swojej stronie pasję młodości, która przesłaniała to, jak niewiele nas łączyło.

Ale Ty i Twój list... Nie napiszę tego, ale odpowiadając na Twoje pytanie: tak, łączy nas o wiele więcej niż kiedykolwiek łączyło mnie z inną kobietą. Bez względu jednak na to, jak bardzo pragnę z Tobą być, muszę skończyć swoją pracę. To ważne badania, które zmieniają również i Twoje życie. Widzę na telefonie mrugające światełko nowej wiadomości i słyszę dźwięk przychodzących e-maili. Niedługo się zobaczymy i szczerze porozmawiamy o wszystkim, co jest między nami.

Całuję, A

**Od:** Callie olivescallie@hotmail.com

**Temat:** zbyt długo

**Data:** 27 Maja 2007 9:58:43 PM EST

**Do:** Amrit Hashmi a.hashmi@pittsburgh.edu

Kochany,

Każdego wieczoru, gdy skończymy rozmawiać, myślę o tysiącu rzeczy, które powinnam Ci była powiedzieć. Miło jest słyszeć Twój głos, ale wszystko to wydaje się takie nierealne. Skłamałam wcześniej, cały dzień nie wstałam z łóżka. Powiedziałam to, bo nie chciałam, żebyś pomyślał, że jestem słaba, ale wzięłam tabletki i trwałam w półśnie, co chwila budząc się i zasypiając. Przeczytałam ponownie Twoje listy i przejrzałam wszystkie magazyny w domu. Matka próbowała wyciągnąć mnie z łóżka. Rano zaczęła łagodnie, od upieczenia bułeczek z cynamonem, ale pod wieczór skończyło się na czczych groźbach, aż Anna powiedziała jej, żeby zostawiła mnie w spokoju.

Powiedz mi coś więcej o sekwencjonowaniu. Nic z tego nie rozumiem, ale mam nadzieję, że wyniknie z tego coś dobrego. Jeśli nie dla nas, to dla kogoś innego. Czy nasze DNA mogłoby wyleczyć jakąś chorobę? Czy dzieci rzeczywiście mogą się tak szybko starzeć, jak w tym głupim filmie z Robinem Williamsem? Potrafisz to wyleczyć? Powinnam bardziej się postarać zrozumieć to, co robisz.

Proszę, przyjedź wkrótce.

Całuję, C

**Od:** Amrit Hashmi a.hashmi@pittsburgh.edu

**Temat:** badania

**Data:** 30 Maja 2007 6:13:29 AM PST

**Do:** Callie olivescallie@hotmail.com

Cham-Cham,

Przepraszam, że odpowiadam z takim opóźnieniem. Jak mówiłem przez telefon, czeka

mnie jeszcze dużo pracy, zanim będę mógł przyjechać i wszystko Ci wytłumaczyć. Słyszałaś kiedyś o ambrozji? To napój bogów. Grecy twierdzili, że nawet jeden łyk zapewniał nieśmiertelność. Mamy na ten napój hinduskie słowo – *amrit*. To popularne imię, które moi rodzice wybrali ze względów sentymentalnych. Powiedzieli mi, że najlepszy sposób na nieśmiertelność to mieć dzieci. Matka miała zwyczaj brać moją twarz w obie dłonie i całować ją, twierdząc, że jestem doskonałym połączeniem ojca i jej oraz że powinienem mieć własne dzieci, które będą mieszanką moich rodziców, moją i mojej żony.

Ale wiesz o moim smutku. Nie było dzieci. Okazało się, że nigdy nie będę mógł dać Padrze wymarzonych dzieci, i gdy byliśmy w Hiszpanii, po raz pierwszy zacząłem pracować nad teorią, że organizmy mogą osiągnąć biologiczną nieśmiertelność.

Wiesz, do czego to zmierza. Od Twojej rodziny do ambrozji prowadzi wiele drobnych kroczków, ale wierzę, że to możliwe. Wiem, że jeśli dowiemy się, dlaczego ludzie się starzeją i dlaczego niektórzy starzeją się znacznie wolniej niż inni, znajdziemy sposób na wydłużenie życia. Nie mów o tym nikomu. Badania nad starzeniem się są zupełnie nową dziedziną, pełną dylematów moralnych. Mówię, że pracuję nad lekiem na choroby wieku starczego, ale wszyscy wiemy, wszyscy rozumiemy, że potrafiąc wyleczyć to, co zabija ludzi, moglibyśmy wyleczyć śmierć.

Mógłbym opowiedzieć Ci o białkach SIR2 i ich roli w procesie starzenia komórek albo o teorii, że degradacja organizmu spowodowana jest stanami zapalnymi. Ale po co? Chcę przeprowadzić solidne badania, dowiedzieć się, dlaczego Ty, Twoja matka i jej matka tak wolno się starzejecie. Może to białka albo jakiś mechanizm, o którego istnieniu nie mamy jeszcze pojęcia lub nie jesteśmy w stanie go poznać, ale tego właśnie szukam.

Tęsknię za Tobą całym sercem.

Całuję, A

**CZEŚĆ CZWARTA**  
**Trzecie pokolenie**  
**Calliope latem**

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## Jedyna ocalała

Calliope wróciła do Pit Stop dopiero po miesiącu. Próbowwała tam pójść parę dni po ucieczce Deb, ale za każdym razem, gdy zebrała się w sobie, odstraszało ją zimno, które potęgowało ból w nodze. I tak, wymyślając różnego rodzaju wymówki, spędziła parę tygodni, siedząc na ganku z Erin i dzieckiem i obserwując targane północnym wiatrem liście. Początkowo Anna i Bets chodziły wokół nich na paluszkach, ale wkrótce ich cierpliwość się wyczerpała. Calliope i Erin podejmowały coraz to nowe postanowienia. „Gdy tylko zrobi się trochę cieplej...”, powtarzały, sporządzając listę niezrealizowanych spraw. Natura dała im czas do połowy czerwca, kiedy wreszcie wyszło słońce, a mieszkańcy Kidronu przestali mówić o ucieczce Deb i zajęli się oliwkami.

Ciepło odmłodziło Calliope – częściej się uśmiechała i łykała znacznie mniej tabletek przeciwbólowych. Po dwóch, trzech słonecznych porankach zaczęła budzić się z myślą o czekających ją możliwościach. Przepełniona nową energią przyjechała do Pit Stop wcześniej niż Nancy, która podczas jej nieobecności zarządzała sklepem. Wpadające przez okna promienie porannego słońca uwidoczniły pokrywającą sklep warstwę kurzu. Pit Stop wymagał wielkiego sprzątnięcia. Calliope obejrzała każdy metr kwadratowy, odnotowując zgromadzony pomiędzy słoikami i pod półkami kurz oraz przetarcia na linoleum.

– Widzę, że zdjęłaś plakat – powiedziała Nancy, podczas gdy Calliope oglądała zalegające w kątach pajęczyny.

Na prośbę policji dzień po ucieczce Deb Nancy powiesiła w oknie plakat z jej zdjęciem i informacją, że jest poszukiwana. Gdyby Calliope była wtedy w sklepie, za nic by do tego nie dopuściła, ale Nancy często przekraczała swoje kompetencje i podejmowała decyzje, które do niej nie należały.

– Najwyższy czas – odrzekła Calliope, zdrapując z szyby resztki taśmy klejącej. – I tak nigdy jej nie znajdą.

– Nikt się specjalnie nie przykłada do poszukiwań. Nie tylko złamała warunki zwolnienia, ale także nas okradła. Wiesz, ile zabrała? Ile pieniędzy było w sejfie? Co zamierzasz powiedzieć policji? Pewnie, że nie ukradła zbyt wiele – powiedziała Nancy, zakładając okulary, które nosiła zawieszane na szyi. Mimo że była w tym samym wieku co Calliope, kasjerka wyglądała o wiele starzej.

– Powiedzieliśmy policji wszystko, co wiemy. Erin bardzo przeżyła ucieczkę matki. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu znalazłam ją w salonie, śpiącą z dzieckiem przy piersi i atlasem na kolanach. Wiele by dała, żeby mieć matkę przy sobie, żeby mogła chociaż

wiedzieć, gdzie jest.

– Ta twoja wnuczka nie miała łatwego życia.

– Próbowałam ostrzec ją przed Deb, wytłumaczyć, że nie może pozwolić, aby zrujnowała jej życie. Przez tyle lat czułam się odpowiedzialna za córkę, uważałam, że ponoszę taką samą winę za śmierć Carla jak Deb, ale gdy uciekła, zdjęła ze mnie całą odpowiedzialność. Martwię się tylko, że zostawiła część tego poczucia winy Erin.

– Erin ma teraz własne dziecko. To powinno jej pomóc – powiedziała Nancy, spoglądając ponad okularami. Pracowały razem już tak długo, że Nancy uważała, że zna Calliope na wylot.

– Tak właśnie podchodzisz do swoich wnuków? – Calliope zdawała sobie sprawę, że to wyjątkowo złośliwe pytanie. Nancy nie miała własnych dzieci. Wyszła za męża dopiero po pięćdziesiątce, a jej mąż, zawodowy imitator Elvisa, był już ojcem sześciorga czy siedmiorga dzieci.

– Każdy czuje inaczej – odrzekła Nancy z drzeniem w głosie, które mogło oznaczać wzbierające emocje lub powstrzymany kaszel.

Calliope przytaknęła. Przybrane dzieci Nancy były wyjątkowo niewdzięczne, a ich matki na tyle głupie, by śpiąc z podrabianym Elvisem, myśleć, że zbliżają się do prawdziwego króla. Nancy traktowała pasierbów jak własne dzieci, mimo że nie odwzajemniali jej uczuć. Przeznaczała dużą część pensji na prezenty dla dzieci i dwóch tuzinów wnuków. Mąż Nancy był już na emeryturze i przywdziewał kostium tylko raz na miesiąc, na występ w American Legion w Redding.

– A jak ci się układa z doktorkiem? – spytała współpracownica, jakby wyczuła, że Calliope rozmyśla o związkach.

Od czasu śmierci męża Calliope Nancy stała się jej powiernicą. Wiedziała o jej romansach i o jednonocnych przygodach, i o związkach, w które była uwikłana na przestrzeni lat. Znała szczegóły, o których Calliope wstydziła się powiedzieć rodzinie, szczególnie własnej matce. Bets była pruderyjna i pozbawiona pasji, a Nancy, mimo swej powściągliwości, słuchała zwierzeń Calliope niczym nastolatka. Jednak tym razem Calliope zachowała najbardziej pikantne szczegóły związku z Amritem dla siebie.

Kochali się tej nocy, kiedy po raz pierwszy przyjechał do Kidronu. Od momentu, gdy usłyszała jego głos w słuchawce telefonicznej, wiedziała, że pójdzie z nim do łóżka. Jego przyjazd do Kidronu, siedzenie na zbyt miękkiej sofie, na której osuwali się na siebie, pogłębiły jej pożądanie. Podczas absurdalnie ugrzecznionej rozmowy przy lunchu zdobyła numer jego pokoju i gdy matka i Anna poszły wreszcie spać, pojechała do motelu, włożyła szpilki, poprawiła szminkę i zapukała do jego drzwi. Nawet nie przyszło jej do głowy, że mógłby ją odrzucić.



Amrit przez trzydzieści lat był mężem potulnej żony. Nie mieli dzieci, a jego żona niespodziewanie zmarła w wieku pięćdziesięciu lat z powodu tętniaka. Opowiedział to Calliope, gdy kochali się po raz piąty. Powiedział również, że z żoną kochali się wyłącznie w małżeńskim łóżku i przy zgaszonych światłach. Calliope zaczęła się śmiać, ale potem uświadomiła sobie, że on może źle zrozumieć jej wesołość, i wyznała, że mimo iż była z wieloma mężczyznami, w wielu różnych miejscach, z nim łączyło ją zupełnie coś innego. Gdy rozmawiali, głaskał przez cienką, jedwabną bluzkę jej stwardniały sutek i zanim skończyli opowiadać swoje historie, kochali się na przednim siedzeniu wynajętego samochodu, na opustoszałym polu, z widokiem na górę Shasta.

Pożądanie, jakie wzbudzał w niej Amrit, sprawiło, że to, co czuła do męża i innych kochanków, wydało jej się ledwie ekscytacją. Gdy wrócił do Pittsburgha, nie była w stanie nigdzie dojechać, nie gubiąc się po drodze. Znajome miejsca nabrały dla niej zupełnie innych kształtów i znaczeń. Rosnący na rogu C Street i Polk wiąz nagle zaczął jej się jawić jak dwa splecione ze sobą drzewa, dom z niebieskimi drzwiami na rogu Main i F Street na przestrzeni zaledwie paru dni zmienił się z dwukondygnacyjnego rancza w kolonialną budowlę.

Nie łączył ich jedynie związek fizyczny. Tuż przed startem samolotu Amrit zadzwonił i oznajmił, że chyba się w niej zakochuje. Mimo wszystko nie powiedziała o niczym matce, babce ani nawet Erin, która z pewnością zrozumiałaby jej związek. Odwiedziła go już dwa razy, udając, że jedzie do mieszkających na Północnym Wschodzie dzieci. Na Boże Narodzenie pojechała do Nowego Jorku, odwiedzić rodzinę najstarszego syna, po czym powiedziała, że jedzie na konferencję do Pittsburgha, i tam spędziła parę dni z Amritem. W marcu pojechała do Waszyngtonu, do średniego syna, i tłumacząc się alergią na kota, przeniosła do hotelu, gdzie przyjechał Amrit.

Zanim związała się z Amritem, Calliope nie mogła zrozumieć, że jej córka bardziej kochała męża niż własne dziecko. Uczucia, jakie obudził w niej Amrit, uświadomiły jej, że taki egoizm jest możliwy. Były takie chwile, na przykład gdy jechali windą i nie mogła się powstrzymać, rozpięła mu rozporek i doprowadziła do erekcji. Nie liczył się wstyd, obawa, że ktoś ich przyłapie – jej pożądanie było silniejsze. Ale Deb uciekła i nigdy nie powiedziała córce, że wreszcie zrozumiała, dlaczego zastrzeliła Carla.

Nie chciała mówić nikomu innemu. W ten sposób sekret był bezpieczny. Wtajemniczona w jej sprawy Nancy stanowiła potencjalne zagrożenie. Calliope nie chciała dzielić się swymi prawdziwymi uczuciami w obawie, że Nancy wyśmieje ją, przypomni, że podobnie było z dostawcą, z którym sypiała parę lat temu, dopóki nie okazało się, że chciał ją tylko przekonać, żeby sprzedała jego bratu Olive Pit. Tak więc rodzina Calliope nie wiedziała prawie nic, a współpracownicy powiedziała, że Amrit jest jedynie nową zabawką

dla jej starych kości.

Nancy zdjęła okulary.

– Niełatwo jest utrzymać miłość na odległość – powiedziała w taki sposób, że Calliope zaczęła się zastanawiać, dlaczego kasjerka tak późno wyszła za mąż i kogo kochała przed naśladowcą Elvisa.

– A kto mówi o miłości?

Ich rozmowę przerwało wejście młodej rodziny, która wypełniła sklep gwarem.

Calliope uśmiechnęła się do Nancy i wyszła na zaplecze, wołając pomocników.

– Roberto! Pedro!

Przestali rozkładać towar i podeszli do niej. Calliope pokazała gestem, żeby za nią poszli i po hiszpańsku zaczęła narzekać na bałagan. Nie mówiła dobrze i co chwilę brakowało jej słów. Czuła, że jej umysł zgrzyta i zacina się jak źle wchodzące biegi, i nagle zaskakuje, gdy znajdowała odpowiednie słowo. *Sucios*. Brudny.

Zatrzymała się, żeby pokazać brud na prawie pustych półkach, i oparła się ciężko o jeden z podpierających dach słupów. Za długo nie brała tabletki i lekkie pobołowanie, które odczuwała od rana, zmieniło się w kłujący ból. Starszy z chłopców popatrzył na młodszego brata i odchrząknął.

– Możemy rozmawiać po angielsku, jeśli tak będzie wygodniej – powiedział, a młodszy przytaknął. – I możesz nazywać nas Robert i Pete. Znajomi mówią na mnie Petey, ale nie bardzo to lubię.

Brat zaśmiał się i szturchnął go w ramię.

– Mów na niego Petey.

Mięśnie uda z trudem utrzymywały ją w pionie. Ludzie na ogół nie rozumieli jej bólu. Znali proces gojenia, zamiany rany w bliznę i stopniowego zanikania bólu. Jednak po wypadku w nodze Calliope wywiązała się infekcja. Lekarze wycinali coraz większe fragmenty jej łydki, za każdym razem przekonując ją, że udało im się pozbyć całej zakażonej tkanki po to, żeby po paru tygodniach wyciąć kolejną partię. Po skończonych zabiegach w dolnej części łydki powstała wyrwa wielkości pięści. A ból nigdy nie odszedł.

– Jeśli chcesz mówić po hiszpańsku, to w porządku – oznajmił młodszy. Wyglądał na zmartwionego i Calliope pomyślała, że jej twarz musiał wykrzywiać grymas bólu.

– Nie wiedziałam – odezwała się w końcu, usiłując przypomnieć sobie, co powiedział jej kierownik, zatrudniając chłopców. – Jak Juan was zatrudniał...

– Do Juana mów po hiszpańsku, jego angielski jest okropny – wtrącił Robert.

– Nie potrafi również utrzymać czystości w sklepie.

Wysłała Pete'a po wiadro z wodą i pokazała Robertowi ukryty między słoikami i puszkami brud.

– Powinni robić kwadratowe pojemniki – zauważył chłopak i chwycił szmatę.

Calliope wzięła plik spisów towaru i poszła na antresolę, która stanowiła jej biuro.

Sama była niska i żeby dojrzeć coś w tłumie, zawsze musiała patrzeć pomiędzy ludźmi. Po śmierci męża obniżyła sufit nad częścią sklepu. Olive Pit był jego pomysłem, a lokalizacja jej. On chciał otworzyć restaurację, ale Calliope uważała, że aby ściągnąć ludzi z autostrady, potrzebują czegoś oryginalnego, odrobinę kiczu wokół lunchu. Było to w późnych latach sześćdziesiątych, gdy oddali drogę I-5 i nikt już nie zatrzymywał się w Kidronie. Zdecydowali się na lokal po dawnym sklepie. Greg nie lubił tego miejsca, twierdził, że niezależnie od tego, co z nim robili, cały czas wyglądało jak sklep spożywczy, ale Calliope czuła się tu jak w domu. Dochodząc do biura, bardzo kulała. Popchnęła drzwiczki w ścianie otaczającej jej przestrzeń i opadła na ergonomiczne krzesło. W biurku zawsze miała zapas leków. Wygrzebała jedną tabletkę i połknęła na sucho.

Z tego miejsca widziała cały sklep. Produkty w alejkach poukładane były według kraju pochodzenia, z największą sekcją przydzieloną Kalifornii, a przede wszystkim Kidronowi. W głębi sklepu był mały barek, a na obrzeżach różnego rodzaju nowinki – mydło oliwkowe, drewno oliwkowe, pocztówki i kiczowate naczynka na oliwę. Nie sprzedawały się tak dobrze jak oliwki, ale była na nie niezła marża. Ponadto wiele produktów zostało wykonanych przez lokalnych rzemieślników i Calliope sprzedawała je za prowizję. Louisa Ramirez i jej róże z drzewa oliwnego radziły sobie całkiem nieźle, co trzy dni Louisa donosiła nową partię delikatnych kwiatów. Ale talerze *Olive You* Lucy Talbot nie szły najlepiej. Calliope nie pamięta już, kiedy jakiś sprzedała. Powinna oddać część zajmowanej przez Lucy półki Louisie.

Prawda jest taka, że w ostatnich latach Olive Pit stał się studnią bez dna. Wiosenne burze rujnowały biznes. Deszcz sprawiał, że podróżujący autostradą niechętnie wysiadali z samochodów – kupowali jedynie benzynę i jedzenie na wynos. W latach, gdy wiały delikatne wiatry z południa, a drzewa były obsypane kwiatami, podróżni mniej się spieszyli. Jeździli po pobliskich uliczkach i przesiadywali w sklepie Calliope, wypytyując o oliwki, technikę uprawy i robiąc przy okazji zakupy.

Kiedyś Olive Pit był jednym z nielicznych sklepów oferujących tak duży asortyment oliw i pochodnych produktów, teraz jednak, w dobie Internetu, oferta sklepu przestała być atrakcyjna. Calliope widziała czasem klientów fotografujących telefonami ceny oliw, żeby porównać je z internetowymi. Straciła również wielu lokalnych dostawców, którzy teraz sami sprzedawali swoje wyroby. Jednak pomimo wszystko Calliope czuła, że nadchodzą wielkie zmiany na lepsze. Jakież to było powiedzenie? Że w życiu nie można liczyć na drugi akt? Calliope doskonale wiedziała, że kobiety z jej rodziny dostają szanse nie tylko na drugi, ale czasem i na trzeci akt.

Czekając, aż włączy się komputer, bezmyślnie przeglądała „San Francisco Examiner”. Sprzedawała go w sklepie, a stare egzemplarze trafiały na jej biurko. Wiadomości były podobne do tych sprzed ucieczki Deb. Dziennikarstwo przypomina granie na wyścigach; nikt nie ma pojęcia, które wiadomości okażą się naprawdę ważne. Opisywane są więc wybory, o których nikt już nie pamięta, firmy, które dawno upadły. Historia, która zmieniła życie Calliope, była bardzo krótka – zaledwie wzmianka w rubryce *Wiadomości ze świata*. „Hong Wu, najstarszy człowiek na świecie, zmarł dwa dni temu w prowincji Shinxing”. Artykuł donosił, że jego córka nie może pogodzić się ze stratą.

– Anna jest najstarsza! – wykrzyknęła Calliope. Zajęci sprzątaniami chłopcy spojrzeli na nią. Nancy pokręciła jedynie głową i rzekła:

– Ja będę.

# ROZDZIAŁ DRUGI

## Początki

– Wierzysz w cuda? – Calliope zapytała Annę następnego ranka.

– A jak mam nie wierzyć? – odrzekła Anna. Wstała, skrzyła się w talii w prawo i w lewo, po czym zrobiła skłon i dotknęła dłońmi stóp. – Kiedyś mogłam zrobić szpagat, ale odkąd skończyłam sto lat, mój pęcherz nie wytrzymuje.

Erin zaśmiała się, a słysząc głos matki, dziecko usiłowało naśladować jej dźwięk, na co Bobo zareagował krótkimi, piskliwymi szczeknięciami.

– Istny cyrk – podsumowała Calliope, kręcąc się na miękkiej kanapie.

Siedząca obok Bets wykonała niezwykle dla siebie gest, obejmując córkę ramieniem i przyciągając ją. Opadły na siebie i przez moment Calliope czuła się jak mała dziewczynka na kolanach matki.

– Znow jest jak w domu – powiedziała Bets.

Calliope poczuła się otoczona ciepłem matczynej miłości. Od wielu lat były w napiętych stosunkach i momenty takiej bliskości zdarzały się niezwykle rzadko. Prawdę mówiąc, Calliope po raz pierwszy w życiu zaczynała czuć się w Hill House jak w domu. Na przestrzeni paru ostatnich tygodni zaczęła wierzyć w cuda. Najpierw ucieczka Deb, potem wiadomość o Annie, która nie tylko może ocalić sklep, ale na pewno sprowadzi do Kidronu Amrita. Od wielu lat Calliope nie miała tyle szczęścia.

– Muszę wam coś pokazać – powiedziała, wstając z kanapy.

– Chyba nie zamierzasz zrobić szpagatu – jęknęła Erin. – Cały czas dochodzę do siebie po porodzie i nie chcę oglądać sprawniejszych ode mnie starszych pań.

– Nie wszystkie jesteśmy stare. Tylko Anna – odrzekła Bets.

Wybuchły śmiechem, który towarzyszył Calliope do przedpokoju. Nie pamiętała, kiedy ostatnio jej matka była w tak dobrym humorze. Butelka oliwy, którą starannie zapakowała zeszłego wieczoru, stała na nocnym stoliku. Nie mogła się doczekać, kiedy powie o swoim planie Annie i innym. Zamknęła drzwi sypialni i zgodnie ze starym zwyczajem dwa razy zastukała we framugę na szczęście. *Nie chciej tego za bardzo*, pomyślała. Gdy wróciła do pokoju, kobiety cały czas chichotały i zapragnęła dołączyć do ich wesołości. Zawołała Erin i usiadła w prawie pełnym szpagacie.

– Cheerleaderką jest się przez całe życie – powiedziała.

– Co to? – spytała Anna, wskazując na butelkę. – Szampan?

– Nie. To twoja oliwa. – Calliope podała jej butelkę.

– Moja? – zdziwiła się Anna, usiłując rozwiązać misternie poskręcaną wstążeczkę

przytrzymującą papier.

Calliope podobnie jak Anna miała obsesję na punkcie długowieczności, ale w przeciwieństwie do babci potrzebowała jakiegoś wytłumaczenia. Jak to możliwe, że Anna cały czas dobrze słyszy i chodzi bez laski? Jej żółtobrazowe tęczęwki otaczał czerwony krąg, ale była w stanie przeczytać nagłówki gazet.

– Rok po roku obserwowałam, jak zbierasz z drzew resztki oliwek i wyciskasz z nich olej. Wiem, że coś w tym musi być, coś, o czym być może sama nie wiesz.

– Robię to z przyzwyczajenia – odrzekła Anna.

– Ale to właśnie twoje przyzwyczajenia pozwalają ci zachować młodość – powiedziała Calliope.

– Nie ma we mnie nic szczególnego – odparła Anna, wyjmując z torebki butelkę oliwy.

– Ależ jest. W nas wszystkich jest coś szczególnego. – Pozostałe kobiety spojrzały na Calliope, a ta widząc ich pytające spojrzenia, zrozumiała, że się trochę zagalopowała. – To znaczy chyba musi być coś szczególnego, bo inaczej dlaczego Amrit zainteresowałby się naszą rodziną?

– Myślę, że nie powinniśmy się tak tym przejmować – stwierdziła Bets. Erin zaprzeczyła i kłóciły się ze sobą przez dobre kilka minut.

Calliope cieszyła się, że wkrótce wszyscy przekonają się, że jej matka nie ma racji. Chęć odkrycia prawdy o rodzinie przyniosła jej Amrita, a teraz może przynieść znacznie więcej. Instynkt podpowiadał jej, że śmierć Hong Wu to dopiero początek. Gdy media dowiedzą się o wspaniałej, nieprzerwanej, rozciągającej się na sześć pokoleń linii pierwotnych, z pewnością będą chciały poznać ich sekrety. Tak jest skonstruowany świat – ludzie szukają wytłumaczenia wszystkiego, co inne. Będą chcieli się dowiedzieć, dlaczego superstulatki mogą cieszyć się tak długim życiem.

Przed Hong Wu tytuł najstarszego człowieka przechodził z rąk do rąk co kilka miesięcy, a podczas niezwykle gorącego lata w 2002 roku należał do czternastu różnych osób. Potem Calliope odkryła Jeanne Calment, doyenne de l'humanité, jak nazywali ją Francuzi. Dzierżyła tytuł prawie przez dekadę, a gdy zmarła z wieku stu dwudziestu dwóch lat, była również najdłużej żyjącą osobą w historii. I jakież miała życie! W wieku trzynastu lat w sklepie ojca sprzedała Vincentowi van Goghowi garść kolorowych kredek. Określiła malarza jako brudnego, śmierdzącego, niemilego mężczyznę i podobnie wyrażała się o jego sztuce. Gdy miała osiemdziesiąt lat, przeżyła całą swoją rodzinę, łącznie z wnukiem, który zginął w wypadku motocyklowym, i mężem, który zjadł deser polany czereśniami z puszki, które okazały się trujące. Jeanne zjadła ten sam deser, ale nabawiła się zaledwie lekkiej niestrawności. Gdy Calliope czytała o tej niezwykłej kobiecie, zafascynowały ją dwa fakty. Po pierwsze, ogromne zainteresowanie prasy. Gdy

Jeanne została najstarszą żyjącą osobą, do małego francuskiego miasteczka zaczęli zjeżdżać reporterzy z całego świata, nawet z odległych Chin. Zabawiała ich powiedzonkami typu: „Mam tylko jedną zmarszczkę i siedzę na niej”. Udzielała porad: „Ten, co dużo przytula, przytula źle”. Filozofowała: „Dobry Bóg o mnie zapomniał”. Była ulubienicą mediów, które zachwycaly się każdym jej słowem. Jej opowieści miały większą wagę niż historyczne teksty i mówiono, że prasa bardziej zaufałaby jej relacji z budowy wieży Eiffla niż zapiskom samego inżyniera Eiffla. Calliope, która otarła się o sławę po wypadku lotniczym, zazdrościła Jeanne dziesięcioletniego romansu z mediami.

Po drugie, Calliope zwróciła uwagę na przepis Francuzki na długowieczność. Jak wszyscy stulatkowie, Jeanne wspominała o cieszeniu się życiem, koncentrowaniu się na przyszłości zamiast na przeszłości, ale oprócz tego z radością przyznawała się do popełniania trzech grzechów dziennie – jeden papieros bez filtra, szklaneczka porto i kawałek czekolady – a wszystkie te grzechy była w stanie zmyć dużą dawką oliwy z oliwek. Nie tylko gotowała na oliwie, ale używała jej jako kremu do twarzy i co wieczór, przed pójściem spać, wypijała łyżkę.

Te dwa fakty uświadomiły Calliope, że jej rodzina siedzi na potencjalnej żyłce złota. Od narodzin Erin kobiety sprzedawały oliwki lokalnej przetwórci produkującej oliwę w puszkach, w zamian za co Benny doglądał gajów i oddawał sześćdziesiąt procent wypracowanych zysków. Pieniądze wystarczały na utrzymanie Anny, Bets i domu. Jednak zawsze zostawały na drzewach oliwki i z przeznaczeniem na oliwę można było je zbierać do stycznia. Zwykle w listopadzie, po skończonych zbiorach, Anna przechadzała się po gaju i ogałacała drzewka z resztek owoców. Używając ręcznej prasy ojca, robiła własną oliwę. W tym roku, kiedy wszystkie były zaprzątnięte rozprawą Deb, Calliope wynajęła paru miejscowych chłopców, którzy oczyścili drzewka z oliwek.

Wyrób oliwy to delikatny proces. W dzień po zbiorach, w którym akurat wypadła rozprawa Deb, Calliope oddała oliwki do przetwórci na obrzeżach Kidronu. Musiała zrobić to natychmiast po zerwaniu, w przeciwnym razie mogłyby zacząć fermentować. Po wytłoczeniu oliwa była filtrowana do ogromnych stalowych kadzi i pozostawiana w chłodnej, ciemnej piwnicy. Niezależnie, jak gęstego używano sita, zawsze przedostawały się kawałki oliwek, a świeża oliwa, taka jaką robiła Anna, nie nadawała się do zbyt długiego przechowywania. Świeżo wytłoczona była bardziej zielona niż złota i miała pieprzowy posmak. Dopiero po wyklarowaniu nabierała złotawego odcienia. Pod koniec marca Calliope spróbowała oliwy, aby upewnić się, że cały proces przebiegł pomyślnie. Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że podczas klarowania świeża oliwa zatęchnie albo że stanie się hektolitrami zjełczałego tłuszczu, jeśli temperatura w pomieszczeniu będzie zbyt wysoka.

Oliwa, którą Calliope nazywała „Szóste Pokolenie”, okazała się wspaniała. Miała zdecydowany oliwkowy smak, z nutką pieprzu i masła, z lekkim, niemalże cytrusowym posmakiem. Przy pomocy Roberta i Pete’a napełniła nią butelki z etykietkami opisującymi oliwę jako specjalność z rodzinnych gajów Kellerów. Na narodziny dziecka Calliope miała pięćset gotowych butelek. Planowała obdarować nimi wszystkich zaangażowanych w narodziny szóstego pokolenia. Miała nadzieję, że reporter wspomni o oliwie w artykule w „Timie”, ale ucieczka Deb pokrzyżowała jej plany.

Oliwa z oliwek nie jest trwałym produktem. Miała czas do początku jesieni, zanim oliwa zacznie jełczeć i nada się jedynie do rozpalania ogniska. Zanim doprowadzili do Hill House elektryczność, Anna i jej matka, Mims, używały zjełczałej oliwy do lamp. Anna mówiła, że dawały prawie tak jasne światło jak tłuszcz z wieloryba, tyle że brzeżki płomieni mieniły się na niebiesko, a powietrze pachniało oliwkami.

Anna obróciła butelkę w rękach i przejechała palcami po zdobieniach na złotej etykiecie. Bets wstała z kanapy i podeszła zajrzeć Annie przez ramię.

– Więc postawiłaś na swoim.

– Stoi już na sklepowych półkach i przyniosłam kilkanaście butelek, żeby pokazać mediom – odrzekła Calliope.

– Mediom? – zdziwiła się Erin.

– Oczywiście.

– Znowu się zaczyna – westchnęła Bets.

Calliope zignorowała matkę i mówiła dalej, patrząc na Annę:

– To twoja oliwa. To znaczy zrobiona jest z oliwek z twojego gaju i mogę cię zapewnić, że w tym roku oczyściliśmy drzewka co do jednego owocu.

– Niebawale – powiedziała Anna. – Wygląda na drogą. Zawsze trzymałam ją w głębi szafki, w starych butelkach po winie. To zbyt wiele.

– Nie – zaprotestowała Calliope. – Ta oliwa ocali mój sklep. Zobaczysz. Wystawimy ją na przyjazd dziennikarzy i mogłabyś wspomnieć, że codziennie pijesz oliwę. Myślę...

– Co dokładnie planujesz? – przerwała jej Bets.

– Ludzie będą chcieli ją kupić, a tam, gdzie popyt natrafia na ograniczoną podaż, można zrobić duże pieniądze – odrzekła Calliope, zwracając się do matki. – Wiem, że nie...

– Nie chcę słyszeć o tych głupotach – przerwała jej Bets. – Od miesięcy zamartwiam się o ciebie i ten twój sklep. Zachowujesz się, jakbyś żyła w jakimś innym świecie.

– Babciu Bets – wtrąciła Erin, a leżące w jej ramionach dziecko zaczęło kwilić.

Bets zamknęła usta i zacisnęła je tak mocno, że pozostała jedynie cieniutka linia dezaprobaty.

– Nie sądzę, żeby przysłali kogoś na wywiad – powiedziała Anna. – Może wiele lat



temu, przed erą Internetu i telefonów, gdy ludzie rozmawiali ze sobą twarzą w twarz, ale kto teraz zainteresuje się starymi ludźmi? Biedy Hong Wu załapał się za ledwie na akapit.

– Przyjadą – stanowczo zapewniła Calliope.

Anna miała trochę racji, ale z drugiej strony jej rodzina mogła pochwalić się dużo ciekawszą historią niż Hong Wu. Wbrew słowom fotografa z „Time’a” zasługiwali na więcej niż pięć minut sławy. To właśnie powiedział jej Amrit, gdy zapytała o jego badania.

– Ile zamierzasz za nią brać? – spytała Bets.

Wzięła od Erin dziecko i wróciła na swoje miejsce na kanapie. Erin stanęła w oknie i rozciągała obolałe plecy, pochylając się na boki.

– Pięćdziesiąt dolarów za uncję.

– To szaleństwo – powiedziała Erin, wybuchając śmiechem.

Anna również zaczęła się śmiać, ale już rozumiała, o co chodzi Calliope.

– Nie doceniasz ludzkiego strachu przed śmiercią. Ludzie gotowi są oddać wszystko za parę dodatkowych lat życia. To właśnie sprzedaje Callie. Lata, nie oliwę.

# ROZDZIAŁ TRZECI

## Frank

Dwa razy w tygodniu Calliope odwiedzała ojca w domu opieki. Na początku jeździła razem z matką, ale taki układ okazał się zbyt trudny dla wszystkich zainteresowanych. Frank łatwo wpadał w złość, a próbując zrozumieć, kim są i po co przyszły do niego aż dwie odwiedzające, tak się denerwował, że na resztę dnia musieli go unieruchamiać. Poza tym stosunki między Calliope i Bets nie były najlepsze i trudno było im przebywać sam na sam, bo nie miały sobie nic do powiedzenia. Animozę pogłębiła jeszcze niezgoda co do oliwy, a Calliope pragnęła porozmawiać z ojcem za plecami Bets. Frank niegdyś doskonale radził sobie z humorami żony, ale obecnie nawet nie rozpoznawał odwiedzającej go kobiety.

Jadąc przez Kidron, Calliope obmyślała sposób na odblokowanie jego utraconej pamięci – jeśli nie o matce, to przynajmniej o gaju oliwnym. Ojciec Anny przekazał Frankowi większość swoich sekretów i tylko oni znali rosnące w gaju gatunki i krzyżówki drzewek. Byłoby zachłannością oczekiwać kolejnego cudu, ale mimo wszystko liczyła na przebłysk świadomości u ojca. Pragnęła zdobyć więcej wiedzy o oliwkach, żeby dobrze wypaść przed dziennikarzami. Na przekór temu, co mówiła Bets, gorąco wierzyła w zainteresowanie mediów.

Przejeżdżając przez Kidron, próbowała zobaczyć miasteczko oczami dziennikarzy. Na wielu budynkach odcisnięte było piętno czasu, brakowało kawałków tynku, z niektórych ścian wystawały druty zbrojeniowe, a inne pokrywały plamy żółtawych zacieków. Na obchody stulecia miasta odmalowano słupy, które wyglądały nienaturalnie wśród wyblakłych, ziemistych odcieni całej reszty. Nie dało się ukryć, że jej rodzinne miasto stało się wysuszonym, zakurzonym, zapomnianym miejscem.

Szpital zamknięto jakieś piętnaście lat wcześniej, ale budynki Golden Sunsets zostały i tkwiły teraz samotnie na skraju, tam, gdzie niegdyś mieściła się medyczna dzielnica Kidronu. Jediną ciekawą cechą architektoniczną obiektu było pomalowanie każdego skrzydła na inny odcień żółci. Calliope pomyślała, że budynek miał być metaforą zachodzącego słońca, ale prawdę mówiąc, wyglądał po prostu na dom opieki. Jej ojciec przebywał tam od dwudziestu lat.

Frank wyglądał jednocześnie staro i młodo. Miał wyraz twarzy mężczyzny w sile wieku. Był silny i sprawniejszy od większości pacjentów, ale miał pokrytą plamami skórę starca, która wisiała mu na ramionach, brodzie i policzkach, skąd znikły pokłady tkanki tłuszczowej. Jego białe włosy były dokładnie takie same jak przez całe życie – grube

i gęste.

– Frank – powiedziała i wyciągnęła do niego rękę. Chciałaby mówić do niego „tato”, ale wiedziała, że tylko go tym rozdrażni.

– Ma chérie – odrzekł i musnął ustami wierzch jej dłoni. Nabył tego typu zachowań, przebywając w domu opieki.

Było wcześniej i nie zdążył się jeszcze całkiem ubrać. Wokół szyi miał zawiązaną ciemnofioletową apaszkę.

– Dobrze wyglądasz – zauważyła.

– Jakie przynosisz dziś wieści? – zapytał, pochylając się do przodu.

Miał długie płatki uszu, które poruszały się, gdy mówił.

– Mnóstwo plotek z Hill House – odpowiedziała i przysunęła sobie krzesło.

Na wzmiankę o domu jego oczy rozbłysły; pamiętał to miejsce, potrafił przywołać je we wspomnieniach.

– Ach, kobiety Kellerów. Zawsze wpakują się w jakieś problemy.

Powiedziała mu, że Anna została najstarszym żyjącym człowiekiem na Ziemi, i o swojej oliwie, zmieniając niektóre szczegóły, tak aby nie był w stanie odnieść tej opowieści do siebie. Czas się dla niego zatrzymał i Calliope nie raz się przekonała, że nie należy uświadamiać mu, ile ma lat. Jednak chciała, żeby dobrze zrozumiał znaczenie oliwy szóstego pokolenia. Potrzebowała czyjś poparcia, a ojciec zawsze stawał po jej stronie.

Gdy skończyła dwanaście lat, uczepiła się ojca jak rzep psiego ogona – bo obawiała się, że stając się kobietą, nie będzie już mogła włóczyć się po gajach. Tamtego lata matka bacznie ją obserwowała, wypatrując nadchodzących zmian, więc trzymała się jak najdalej od niej. W maju ojciec postanowił wykorzystać sytuację i zaangażował ją do szczepienia drzewek oliwnych na polach Anny. Do sierpnia tak przywykł do jej towarzystwa, że nie ruszał się bez niej z domu, a gdy była zbyt zmęczona chodzeniem po gaju, nosił ją na plecach.

– Pracowałem kiedyś w gaju – oznajmił Frank, gdy opisała drzewka, z których pochodziła jej oliwa. – Nosilem ze sobą moją córeczkę i dokarmałem ją wędzonym mięsem z kieszeni płaszcza.

– Tak – przytaknęła Calliope, wstrzymując oddech.

– Byłaś nauczycielką mojej córki, prawda? Albo może chłopców? To chłopcy byli w twojej klasie? Wszyscy wyjechali do szkół, a moja dziewczynka lata samolotami.

Chłopcy nigdy nie wrócili z college’u. Osiedli w miastach, z których pochodziły ich żony, i zapuścili korzenie z dala od Kidronu. Najmłodszy, Johnny, poległ w Wietnamie. Czasem Bets i Calliope odwiedzały ich na Boże Narodzenie, ale oni zawsze mieli powody,

żeby nie przyjeżdżać do Kidronu. Calliope zastanawiała się, czy w ogóle kochają ojca – Frank był dla nich bardzo surowy.

– Twoja córka jest stewardesą? – zapytała, starając się zachować neutralny ton głosu. To egoistyczne pytanie, ale desperacko pragnęła nawiązać kontakt z ojcem.

– Nazywają ją stewardesą czy personelem pokładowym. Ale powiem ci jedno, jest na tyle bystra, żeby samodzielnie polecieć samolotem. Od latania bardziej kocha jedynie gaj oliwny.

– Opowiedz mi o gaju – poprosiła. Spędziła z Frankiem tyle czasu, że potrafiła zatracić się w gaju, ukrywając się w rzucanych przez drzewa cieniach, czuła się tam, jakby stąpała po Ziemi Świętej. Chodząc między drzewkami, opuszczała Kidron i przenosiła się w jakąś wyższą sferę, w bezkresną przestrzeń, gdzie owoce i drzewa były niezliczone jak gwiazdy na niebie.

Słuchała, jak ojciec opisuje podobne doznania. Poczowała niezmierną wdzięczność – otrzymała od niego dar, który pozwolił jej przetrwać ostatnie czterdzieści lat w Kidronie. Latem, przed wyjazdem do szkoły dla stewardes, skończył szczepić bouteillans na drzewkach w najbardziej odległym zakątku gaju. Nikt nie wierzył, że warto tłoczyć olej z oliwek. Pierwsi osadnicy w Kidronie próbowali produkować oliwę z oliwek, ale szybko odkryli, że oliwki, które dobrze rosną w tutejszym klimacie, nie dają wystarczająco dużo oliwy, żeby pokryć koszty inwestycji. Obojętnie jak efektywnie pracowali i jakie zastosowali techniki produkcji, uzyskana oliwa była droższa od importowanej.

Przestał mówić i przyjrzał się jej uważnie.

– Zachowuję się okropnie. Przyszłaś do mnie po poradę, a ja mówię i mówię i nawet nie zapytałam, jaki masz problem.

Calliope powiedziała mu, jak wielkie jest zainteresowanie kalifornijską oliwą, że jedzenie oliwek przestaje być modne i właściciele gajów masowo poszukują szczepów nadających się na produkcję oleju z oliwek. Opisała mu nowoczesnych Amerykanów, którzy chcą kupować lokalne, wolne od pestycydów produkty. Wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń. Trzymał ją tak, jakby byli dziećmi, w intymnym, pozbawionym zamysłu geście. Calliope zamilkła i wpatrywała się w ojca z nadzieją, że ją rozpozna. Czasami tak się zdarzało, ale nigdy nie przenosił się do teraźniejszości. Nawet gdy ją poznawał, to z czasów, zanim stracił pamięć.

– W oleju są duże pieniądze – powiedział.

– Chyba masz na myśli olej napędowy – odrzekła Calliope.

Frank zaśmiał się, a jego śmiech był jak deszcz po suchym, dusznym lecie.

– Dobrze. Bystra jesteś. Na tyle bystra, że powierzę ci mój sekret. – Zbliżył głowę do głowy Callie. – Bouteillans. Posadziłem parę akrów na polach żony. Najlepsze na oliwę.

Mają trzydziestopięcioprocentową wydajność i nadają się zarówno na oliwki stołowe, jak i na oliwę. Oczywiście nikt mi nie wierzy, twierdzą, że nawet jak na bouteillans to zbyt duży plon. Myślałem, że odkryłem nową odmianę, ale kiedyś przyjechał jakiś młody człowiek z wydziału rolnictwa, żeby je zbadać, i okazało się, że to zwykłe bouteillans. Chyba moja ziemia tak dobrze im służy. Sam nie wiem. Przygotuję ci parę zrazków, jeśli chciałabyś zaszczepić je na swoich drzewkach.

– Płynne złoto – powiedziała.

Ojciec się uśmiechnął. Zaczesała do tyłu burza białych włosów, z której był taki dumny, spadła mu na oczy.

– Ale musisz znać pewien sekret. Nie możesz zbierać oliwek w listopadzie, musisz poczekać do Bożego Narodzenia, czasem nawet do Nowego Roku.

Tyle wiedziała, obserwując przez lata jego pracę. Jedno z jej najwcześniejszych wspomnień związane jest z tymi opóźnionymi zbiorami. Próbowła go na nie naprowadzić.

– Pamiętam, że jedno z twoich dzieci opowiadało mi o oliwie. Znaleźli butelki z oliwą w skarpetach od Mikołaja?

Frank zmrużył oczy. Nie była pewna, czy przestaje jej ufać, czy też nie może sobie przypomnieć.

– To nie my. Oliwa zbyt szybko się psuje. To głupi pomysł. Zawsze wkładaliśmy dzieciom pomarańcze, najlepiej się do tego nadawały.

Pamiętała pomarańcze, ale miała nadzieję, że opowie jej o pierwszych świętach, gdy dojrzały bouteillans. Anna kazała mu zebrać z drzew owoce pozostałe po jesiennych zbiorach. A w wigilię Bożego Narodzenia pękający z dumy ojciec przygotował matce degustację jego nowej oliwy.

Podjęła jeszcze jedną próbę.

– Potrafisz rozpoznać po smaku, skąd pochodzi oliwa?

Frank wyglądał na zdezorientowanego.

– Dlaczego wypytyujesz mnie o oliwę? Myślałem, że przyszłaś, aby zobaczyć, czy mogę pójść na spacer?

Straciła go. Wystarczyła jedna chwila – spojrzenie przez okno, pytanie, które za bardzo nadwyrężyło jego mózg – by zresetowała mu się pamięć. Calliope była teraz dla niego zupełnie inną osobą. Wielokrotnie znajdowała się w podobnej sytuacji i wiedziała, że najlepiej jest zostawić go teraz w spokoju.

– Wszystko w porządku, panie Wallace. Powiem Dolores, że czuje się pan wystarczająco dobrze, żeby pojechać na jednodniową wycieczkę. – Wyciągnęła rękę i uścisnęli sobie dłonie.

– Guy się ucieszy. Od dawna chciał pojechać do kasyna.

Wyszedł za nią z pokoju i głośno zawołał Guya. Calliope zatrzymała się w dyżurce, żeby porozmawiać z Dolores, i patrzyła, jak ojciec wita przyjaciela, całując go w oba policzki. Guy jeździł na wózku i wyciągnął się, żeby uściskać Franka.

– Bardzo się do siebie zbliżyli – powiedziała Calliope.

– Dobrze, że się zaprzyjaźnili. Są do siebie podobni, a muszę powiedzieć, że Guy miał poważną depresję, zanim poznał twojego ojca. Dobrze sobie z nim radzi. Uspokaja go.

– Ojciec chciał pojechać na wycieczkę. Mam coś podpisać?

– Nie. Twoja mama już się tym zajęła.

– Wie o Guyu?

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

– A kto obecnie coś wie?

Calliope pamięta, że w tamtą Wigilię matka nie wróciła do domu. Przed urodzeniem Johnny'ego znikła na parę nocy w miesiącu. Frank nazywał to jej uciezkami. Tego roku ojciec przygotował małe miseczki z różnymi gatunkami oliwy i kawałki chleba.

– To niespodzianka dla mamy – powiedział, gdy skończył recytować z pamięci *W noc przed Bożym Narodzeniem* i układać ich do snu. Gdy Calliope wyznała, że martwi się o mamę, nachylił się nad nią i szeptem zasugerował, żeby się pomodliła. – Mama zawsze wraca, ale nie możemy jej dać wszystkiego, czego potrzebuje, więc musi czasami uciekać.

Calliope zeszła na dół o północy i ojciec, zamiast odesłać ją na górę, zapytał, czy chciałaby przeżyć przygodę. Na stole stało pięć miseczek z oliwą. Dał jej spróbować każdej z nich, opowiadając jednocześnie o różnicach między oliwkami. Niektóre były słodkawe, inne gorzkie jak skórka pomarańczy. Gdy spróbowała wszystkich, zapytał, która oliwa jest jego. Wskazała na jedną ze stojących na stole miseczek, a ojciec jęknął z zgrozą.

– Popatrz na kolor – krzyknął. – To ściek o odcieniu błotnistego stawu. A teraz spójrz na tę. – Uniósł środkową miseczkę. – Ta wygląda jak płynne złoto.

Calliope pomyślała, że to raczej kolor przebijających się przez chmury promieni słońca. Żałowała, że nie zastanowiła się dłużej nad odpowiedzią. Środkowa miała owocowy posmak, podczas gdy wszystkie inne próbki były tłuste i mydlane i załatywały zgnilizną. Ale była okropnie zmęczona i chciała jak najszybciej zakończyć test i wrócić do łóżka, żeby obudzić się rano i zastać matkę smażącą naleśniki.

Frank nie odesłał jej do łóżka. Otworzył szafę w przedpokoju i ukryte za półką na buty drzwiczki. Zaczął podawać jej prezent za prezentem i poprosił, żeby położyła je pod choinką. Aż do tej chwili Calliope wierzyła w Świętego Mikołaja.

# ROZDZIAŁ CZWARTY

## Sklep

Bets weszła do kuchni, gdy Calliope czyściła kuchenkę.

– Nikt oprócz ciebie nie widzi tych okruszków – powiedziała Bets. Po raz pierwszy od wielu tygodni zwróciła się bezpośrednio do córki.

– Jak mrówki je znajdują, znowu będziemy musiały sprowadzić tę okropną firmę zwalczającą szkodniki – odrzekła Calliope.

– Nie chcę się z tobą kłócić. Dlaczego zawsze to robisz?

– Co robię?

– Myślisz, że każde słowo z moich ust czy z ust Deb to atak na ciebie?

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiedziała Calliope, zgarniając resztki okruszków na dłoń.

Oparła się o kuchenkę, zdejmując ciężar ciała z chorej nogi. Sprzątanie było jej medytacją. Szeroki blat kuchenny oraz zapach cytryn i octu otwierały jej umysł na nowe pomysły. Dosłownie przed chwilą postanowiła zorganizować w sklepie degustację oliwy. Spojrzała na matkę i dostrzegła, że gdy rozluźniała twarz, przekonana, że nikt nie patrzy, wyglądała, jakby była na granicy łez. Ta wrażliwość zaskoczyła Calliope, bo z dzieciństwa pamiętała matkę jako hardą i nieprzystępną jak granit. Tylko jej oczy miały te same czarne plamki.

– Wszystko w porządku?

– To był długi tydzień. Gdy dowiedziałam się, że moja matka jest najstarszą osobą na Ziemi, poczułam się staro.

Calliope była zaskoczona. Ona, czytając wiadomość, poczuła się odmłodzona, jakby rozciągnęła się przed nią nowa linia życia. Skoro Anna czuła się świetnie w wieku stu trzynastu lat, to co dopiero Calliope, która nie przeżyła jeszcze nawet połowy. Pierwszy raz od powrotu do Kidronu po wypadku poczuła, że ma jeszcze czas opuścić miasteczko, że nie jest w więzieniu, i powstrzymujący ją strach zaczął się ulatniać.

– Nie wyglądasz starzej – powiedziała i podeszła do matki.

– A co z tą oliwą?

– Nie zaczynaj.

– Nie zaczynam. Tylko martwię się, bo czasem tak bardzo przypominasz mi Franka i wujka Wealthy’ego. – Przymknęła oczy i wyrzuciła z siebie pytanie: – To prawda, że oliwa działa tak, jak mówisz?

Calliope wiedziała, że może powiedzieć matce prawdę. Odkąd pamięta, ludzie

powierzali Bets swoje sekrety. Ale nie chciała jej martwić.

– To nie jest oszustwo.

– To oliwki twojego ojca, prawda? Pamiętam, jak Frank mi o nich powiedział. Nigdy nie mogłam zrozumieć, co w nich jest takiego specjalnego, ale w przeciwieństwie do ciebie nigdy nie miałam serca do gaju.

– Jak sądzisz, dlaczego Anna tak długo żyje?

Bets wyglądała, jakby miała jej powierzyć jeden z długo skrywanych sekretów.

– Twoja babcia to wyjątkowa kobieta. A co mówi ten twój amant?

Calliope poczuła, że oblewa się rumieńcem, zła, że pomimo zaawansowanego wieku ciągle się czerwieni.

– Uważa, że jedna z sekwencji w naszych genach jest niezwykła.

– To wytłumaczenie do mnie przemawia. Ale co takiego specjalnego jest w naszych genach? – Bets zapytała w taki sposób, jakby знаła odpowiedź.

– Mutacja – odrzekła Calliope.

Bets pokręciła głową.

– Musisz dać sobie spokój z tą oliwą. To szarlataneria. Co prawda znajdują się idioci gotowi zapłacić krocie za to, że przyskamy je sokiem z cytryn i czosnkiem zamiast pestycydami, ale sama wiesz, że oliwa ma tyle samo wspólnego z długowiecznością Anny co jej wieczorne modlitwy.

– Potrzebuję pieniędzy – powiedziała Calliope. Pragnęła, aby matka zrozumiała praktyczną stronę jej decyzji. W końcu nie twierdziła, że oliwa przedłuży komuś życie, chciała jedynie, żeby Anna wspomniała, że codziennie macza w niej chleb.

– Sprzedaj sklep, to będziesz miała trochę pieniędzy.

– I co miałabym robić? – zapytała Calliope, zaszokowana sugestią matki. Zawsze myślała o sklepie jak o swoim gnieździe, zabezpieczeniu na przyszłość. Cały czas spłacała pożyczkę i nie była w stanie nic zaoszczędzić z wypłacanej sobie pensji. Gdyby tak trafił się jeden dobry rok i dałaby radę pospłacać długi, mogłaby przekazać zarządzanie sklepem Nancy i żyć za pieniądze, które teraz co miesiąc wydaje na spłatę kredytu. Potrzebowała jeszcze przynajmniej dziesięciu lat, żeby zaoszczędzić na emeryturę, i to nie biorąc pod uwagę rodzinnej długowieczności. – Zresztą to nie wystarczy.

– Jesteś przez niego uwiązana.

– Przez co jesteś uwiązana? – spytała Erin. Pojawiła się w drzwiach niezauważona. Spojrzały na nią, więc dodała: – Dziecko wreszcie zasnęło. Dopiero co skończyłam je karmić. Anna padła jak dętka.

– Tylko nie mów Annie, że posądzasz ją o spanie – powiedziała Bets.

– Znasz babcinę, tylko odpoczywa, a pod zamkniętymi powiekami ogląda wydarzenia



z przeszłości – dodała Calliope.

Erin wyglądała na zmęczoną. Przysunęła sobie krzesło. Calliope pamiętała to wycieńczenie, brak snu i napięcie do granic wytrzymałości nerwy, gdy najmniejsza niedogodność wywołuje płacz i histerię. Obwiniła za to swoją nogę. Wyszła za Grega między innymi dlatego, że pozwalał na siebie wrzeszczeć i nie reagował, po prostu robił to, co robił: oglądał telewizję albo strugał drewno, aż się wykrzyczała i wybuchała płaczem. Nawet teraz, czterdzieści lat później, nie wyzbyła się tego zwyczaju.

– Mama uważa, że powinnam sprzedać sklep – oznajmiła Calliope, pewna, że Erin stanie po jej stronie, natychmiast dostrzeże dziedzictwo sklepu, ale ona tylko pokiwała głową.

– Ten sklep cię zabija – powiedziała.

– Dostarcza ci zbyt wielu wymówek – dodała Bets. – Powinnaś pojechać z nami na rozprawę Deb.

Erin oparła się o Calliope i zaczęła mówić coś urywanymi zdaniami, które ciężko było zrozumieć. Strzępki wspomnień z jej pobytu w sklepie w młodości i jakąś niedokończoną śmieszna historyjkę o mysiej kupie i oliwkach. Bets uśmiechnęła się do córki przez stół i Calliope wiedziała, że obie wspominają, jak niezwykle ciężkie są pierwsze miesiące macierzyństwa.

– Zawsze myślałam, że kiedyś stąd wyjedziesz; wiedziałam, że jesteś jedną nogą za drzwiami i pewnego dnia obudzę się jedynie z Anną i Bets. – Erin ziewnęła i kładąc głowę na stole, spytała: – Dlaczego nie wyjechałaś?

Patrząc na wnuczkę, Calliope poczuła, że jeszcze nigdy nie była tak bardzo zmęczona. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie zdawała sobie sprawy, że Erin cały czas wiedziała, że ona czuje się więźniem w Kidronie. Dopiero zeszłego lata przestała planować wyjazd. Wcześniej planowanie ucieczki utrzymywało ją przy zdrowych zmysłach, ale w tym roku uprzedziła ją własna córka. Uciekając przed dożywociem w więzieniu, odebrała Calliope chęć ucieczki, chociaż Kidron cały czas wydawał się jej taką samą klatką jak wtedy, gdy w wieku dwudziestu dwóch lat została przywieziona do domu Anny z połową ciała w gipsie, a Frank zainstalował jej łóżko w salonie, żeby, zdrowiejąc, mogła spoglądać na gaj oliwny.

Bets pochyliła się przez stół i powiedziała:

– Najwyższa pora zamknąć sklep. Idę się położyć. – Obudziła Erin i wyszeptała, że lepiej, żeby położyła się w łóżku, bo za kilka godzin mały Keller będzie rześki i głodny.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

## Dowód

Następnego dnia zadzwoniła asystentka wydawcy książki rekordów z prośbą o akt urodzenia Anny. Obiecując wysłanie aktu faksem, Calliope spojrzała na Bets, która kręciła przecząco głową i bezgłośnie ruszając ustami, mówiła coś, co wyglądało jak: „nie mamy go”.

– Chwileczkę – powiedziała Calliope do asystentki i przykryła dłonią mikrofon słuchawki.

– Nie ma aktu urodzenia Anny – powiedziała Bets.

– To trzeba go będzie wydobyć z urzędu – odrzekła Calliope, machając ręką, jakby rozwiązała problem.

Bets otworzyła i zamknęła usta.

– Nie istnieje.

Calliope odniosła wrażenie, jakby matka chciała powiedzieć coś więcej, że za tym krótkim zdaniem kryło się morze sekretów.

Asystentka zaczęła się niecierpliwić

– Proszę pani? Proszę pani? Mam jeszcze do zbadania pół tuzina różnych wniosków. Proszę zadzwonić pod ten numer, gdy zdobędzie pani dowód.

– Oczywiście – powiedziała Calliope i odwiesiła słuchawkę na ścianę.

Pulsowanie bólu w nodze było nieznośne. Zawołała siedzące na ganku Erin z dzieckiem i Annę, a jej złość i zniecierpliwienie musiały być wyczuwalne w głosie, bo po chwili wszystkie kobiety zasiadły przy kuchennym stole.

– Myślałam, że wiesz – powiedziała Bets.

Erin oparła dziecko o ramię i poklepywała je po plecach.

– To właśnie nasz rodzinny problem. Każda myśli, że jeśli ona coś wie, to wszyscy to wiedzą.

– Ależ mówiłam wam o tym – rzekła Anna.

– Opowiadałaś o Kidronie, nie o Australii – zauważyła Calliope. – Uznałam, że Mims i dziadek Percy przyjechali tu jako nowożeńcy.

– Nie rozumiem, co to za różnica, czy Anna urodziła się w Brisbane, czy w Kidronie. To nie zmienia jej wieku – powiedziała Bets.

– To ma znaczenie – odrzekła Calliope, odsuwając się z krzesłem od stołu. – Wydobyćcie aktu z Australii zajmie pewnie wiele miesięcy, jeśli w ogóle trzymają tego typu dokumenty.

– Zawsze byłaś pesymistką – zauważyła Bets. – Nawet jako mała dziewczynka nie mogłaś przyjąć prezentu, nie wytykając najdrobniejszych wad. Ręce lalek były zbyt kruche. Białe swetry szybko się brudziły. Ktoś złamał nogę, ucząc się jeździć na rowerze. Nic dziwnego, że to właśnie twój samolot zahaczył o górę. Prosiłaś się o to przez całe cholerne życie.

Calliope chciała, żeby jej matka nie miała racji. Pragnęła, żeby któraś z kobiet jej zaprzeczyła, ale długa cisza potwierdziła, że Bets trafiła w sedno.

– Nie może mu się odbić – oznajmiła Erin, przekładając synka na drugie ramię.

– Daj, ja spróbuję – zaproponowała Anna.

– Są jeszcze inne sposoby – rzuciła Erin, podając jej Kellera. Nikt się nie odezwał, więc mówiła dalej. – Mogłybyśmy poszukać jakiegoś spisu ludności albo zorientować się, na jakiej podstawie Anna dostała ubezpieczenie. Na strychu leżą pudła starych papierów. Może tam jest jakiś dowód.

W porze lunchu kobiety siedziały w otoczeniu pudeł. Bobo ujadał i próbował obsikać każdy skrawek tektury, ale Calliope zyskała trzy dokumenty potwierdzające wiek Anny. Anna znalazła poślizgnięty świstek papieru, który przyczepił jej do sukienki urzędnik imigracyjny w Los Angeles. Pismo z zawijasami stwierdzało, że dziewczynka, lat cztery, przyjechała do Stanów Zjednoczonych w marcu 1898 roku, z rodzicami Vedą i Percym Davisonami. Znalazły również kartę ubezpieczeniową i nieważne już prawo jazdy.

Trzęsącymi się rękami Calliope wybrała numer wydawnictwa. Jego pracownik cierpliwie wysłuchał opisu znalezionych dowodów, po czym westchnął ciężko.

– Słyszała pani kiedyś o Carrie White? Albo o Shigechivo Izumi?

– Nie – odparła Calliope, siadając ciężko na stole.

– Rodzina Carrie twierdzi, że miała sto siedemnaście lat, ale jedynym dowodem jest wiek wpisany przez jej męża na karcie przyjęć do szpitala psychiatrycznego, w którym zostawił ją, gdy miała około trzydziestu lat. Izumi miał dożyć stu dwudziestu lat, ale okazało się, że rodzina posłużyła się aktem urodzenia jego starszego brata. Obaj nosili to samo imię.

– Ale my mamy kilka dowodów. Jestem pewna, że Hong Wu nie miał aktu urodzenia. Cały jego dobytek zabrała powódź.

– To prawda. Ten papier z imigracji jest w porządku, ale reszta to jedynie owoce zatrutego drzewa. To znaczy, mogą być zgodne z prawdą albo mogą być powieleniem fałszywej informacji. Gdyby ode mnie zależała decyzja, chciałbym mieć więcej dowodów. Proszę mi jeszcze raz opowiedzieć historię babci.

Calliope opowiedziała, co wie o Annie, po czym pokazała gestem, żeby podać jej papier i długopis, żeby mogła zapisać listę potencjalnych dokumentów, które mogłyby

potwierdzić to, co znalazły.

Calliope pokazała kobietom nabazgraną listę.

– Potrzebujemy więcej dowodów.

Erin przygotowała lunch, a potem wznowiły poszukiwania świadectwa, że Anna Davison Keller urodziła się 18 stycznia 1894 roku. Erin zadzwoniła do kuzyna, który uprawiał ziemię Wealthy’ego na Alasce, by zapytać, czy zostały po nim jakieś pamiątki albo listy. Bets kursowała pomiędzy biblioteką a urzędem miejskim w poszukiwaniu wszelkich wzmianek o Annie. Była najmniej zainteresowana wspomnieniami Anny z Australii. Erin zarzucała Annę pytaniami, które zafascynowały Calliope. Po raz pierwszy od wielu lat z zainteresowaniem słuchała wspomnień babci.

– W Australii uprawiają oliwki? – zapytała Erin. Trzymała na kolanach Kellera i bawiła się z nim w „a kuku”. – To dlatego dziadek Davison tu przyjechał, bo znał się na uprawie oliwek?

Anna zaśmiała się, a Keller jej zawtórował. Gra bawiła ją tak jak dziecko. Zaczęła opowiadać historię o gigantycznym żółwiu, jakby czytała książeczkę dla dzieci.

– Pewnego razu była sobie mała dziewczynka, która bardzo lubiła przygody i odkrycia.

Calliope miała wrażenie, że już słyszała tę historię. Pomyślała, że może to rytm opowieści wydaje jej się znajomy, ale gdy Anna rozłożyła ręce, żeby pokazać rozmiar żółwia, zorientowała się, że słyszała kilkanaście podobnych historyjek latem, kiedy dochodziła do siebie po wypadku. Każdego wieczoru Anna opowiadała jej inną przygodę ciekawskiej dziewczynki w dzikim kraju. Była opowieść o żółwiu, o chorowitym chłopcu, mieszkającej na drzewie dziewczynce, o pocziwej praczce i inne, których treści Calliope nie pamiętała, ale przypomniawszy sobie wywołane nimi emocje.

– Właśnie do mnie dotarło, że to ty jesteś tą ciekawską dziewczynką – powiedziała, przerywając babci w kulminacyjnym momencie.

Anna wzruszyła ramionami.

– Chyba tak, chociaż pewnie niewiele w tych opowieściach zostało prawdy.

Rozbudowywałam je na przestrzeni lat, opowiadając dzieciom, wnukom i...

Urwała. Calliope zorientowała się, że Anna zastanawia się, ile pramusi dodać, żeby dojść do pokolenia Kellera.

– Prapraprawnukom – pomogła Erin. – To dopiero brzmi jak bajka.

Opowieści Anny wypełniły całe popołudnie. W Brisbane rodzina mieszkała w pobliżu ogrodu botanicznego, gdzie za pięć centów dzieci mogły przejechać się na olbrzymim żółwiu, który ponoć pamiętał podróż Darwina na Wyspy Galapagos. Wealthy powiedział Annie, że żółwie są królami wszystkich gadów.

– Jeździłaś na nim? – wtrąciła Erin.

Anna przytaknęła.

– Wiózł mnie do bramy ogrodu, jakby chciał powiedzieć, żebym poszła do domu, a na pożegnanie całowałam go w nos.

Calliope odwróciła się do Erin.

– Już kiedyś mi to opowiadała, ale wtedy zaczęła od „dawno, dawno temu, w dalekiej krainie”, a ten pocałunek zapewniał dziewczynce długie życie. Tak długie jak życie żółwia, który miał już wtedy sto lat.

Bobo przechylił głowę, jakby chciał wziąć udział w rozmowie. Anna podrapała go za uchem i uśmiechnęła się.

– Każda opowieść ma w sobie ziarenko prawdy, inaczej nie byłaby warta opowiedzenia.

– Jak możesz to pamiętać? – dziwiła się Calliope. – Nie mogłaś mieć więcej niż dwa lata, chyba że twoi rodzice kłamali i jesteś starsza, niż myślimy.

Erin otworzyła jedno z pudeł, wyciągnęła zalatujące stęchlizną skoroszyty w skórzanych okładkach i poprosiła o kolejną historię.

– Nie pamiętam wiele więcej z Australii – powiedziała Anna. Wzięła z rąk Erin księgę i odwróciła ją we właściwą stronę. – To dziennik taty. Zapisywał tu zbiory.

– To opowiedz nam coś o Kidronie. Jak wyglądał, gdy przyjechaliście?

– Strasznie zakurzony – zakaszła Anna, przewracając strony dziennika. Podała księgę Calliope. I ona nie była w stanie nic przeczytać, a strony rozpadały jej się w rękach.

– Bezużyteczne – oceniła.

– Potrzebujemy czegoś, co należało do mojej matki – orzekła Anna. – Tata lubił cyferki i detale. Potrafił powiedzieć, jak duża będzie oliwka, patrząc na jej kwiat, ale nie radził sobie z ludźmi. Dlatego ożenił się z Mims, żeby zatroszczyła się o ludzi w jego życiu.

Erin poszła położyć dziecko na popołudniową drzemkę, a gdy wróciła, usadowiła się na podłodze, przy pudle podpisanym „Mims”. Nuąc, rozpakowała drewnianą lalkę i umieszczony w oszklonej ramce mały wianuszek.

– Jest zrobiony z ludzkich włosów – powiedziała Anna, sięgając po niego.

Misterne sploty i kwiatki uplecione były z dwóch odcieni włosów, jeden miedzianozłoty, a drugi tak jasnożółty, że pod światło wydawał się biały. Podczas gdy Erin wypytywała Annę, jak robiło się tego typu dekoracje, Calliope starała się o tym nie myśleć.

Wyobrażała sobie długie, tłuste z brudu strąki, które wyciągała z odpływu wanny, i na myśl o Mims godzinami nakręcającej je na druty i zaplatającej w wymyślne wzory zrobiło się jej niedobrze.

Na tylnej stronie ramki, na plakietce z orzechowego drewna, wygrawerowane było: „L i C 1893–1895”.

– Ciekawe do kogo należały? – Powiedziała Erin. – Wiesz, Anno?

Anna pokręciła głową. Sięgnęła po ramkę i przejechała palcami po literach.

– Pamiętam, że Mims trzymała to w swojej sypialni, obok portretów naszych, a później naszych dzieci. – Zamknęła oczy i Calliope pomyślała, że Anna usiłuje sobie coś przypomnieć, ale ona, otwórzszy oczy, powiedziała jedynie, że teraz już nikt nie miał czasu bawić się w takie misterne robótki.

Erin poprawiła stanik do karmienia.

– Rozumiem, dlaczego ludzie kiedyś to robili. W obecnych czasach mamy więcej pamiątek. Zrobiłam już Kellerowi chyba z tysiąc zdjęć. Nie wyobrażam sobie, żebym nie mogła kiedyś zobaczyć, jak wyglądał jako dziecko. A gdy Mims była dziewczynką, nie było aparatów fotograficznych.

– Ja zachowałam pierwsze bučki wszystkich moich dzieci – powiedziała Anna. – Sama je wydzięgałam. Oczywiście twoja mama – zwróciła się do Calliope – miała je na sobie tylko pierwszej nocy, później je skopywała. Lubiła być bosą, a ja nie miałam cierpliwości, żeby ciągle je wkładać. Mims powtarzała, że się przeziębii i ją stracę. Wtedy nie należało to do rzadkości, umierało wiele niemowlaków.

Calliope usiłowała wyobrazić sobie matkę z bosymi stopami.

– Jest dowód – krzyknęła Erin. Trzymała w ręku kartkę papieru, która była kiedyś złożona na trzy. – Jest jej imię, wiek i data, kiedy wyruszyli w podróż do Ameryki.

– Ciekawe, skąd to się tu wzięło – zdziwiła się Anna, oglądając rejestr pokładowy. Była to lista dwustu pięćdziesięciu pasażerów, którzy przyплыли na statku „Una”.

– Powinno wystarczyć – stwierdziła Calliope, spoglądając na podyktowaną przez pracownika wydawnictwa listę.

Erin wzięła papier i zaczęła liczyć. Spojrzała na Calliope i pokręciła głową.

– To wszystko jest trochę dziwne. Macie ochotę zamówić pizzę na kolację?

Bets wróciła z biblioteki tuż przed dostawą pizzy. Przyniosła fotokopie spisów ludności Kidronu, w których Anna zaczęła figurować po raz pierwszy w 1900 roku, jako sześciolatka. Miała również fotokopie papierów imigracyjnych, które rodzina Davisonów wypełniła po przybyciu do San Francisco.

– Nie uwierzycie, co można teraz znaleźć w Internecie – powiedziała, zdejmując z pizzy wszystkie dodatki, łącznie z serem.

Calliope spojrzała na matkę i wybuchnęła śmiechem, zapominając o ich trwających od wielu tygodni niesnaskach. Wyobraziła sobie Bets jako skopujące bučki dziecko, a obraz ten sprawił, że miała ochotę uścisnąć matkę i powiedzieć, że ją kocha.

Następnego ranka Calliope zastała Erin w kuchni. Było bardzo wcześnie, niebo dopiero różowiło się od wschodzącego słońca.

– Chyba muszę robić jakiś błąd – powiedziała Erin. – Pół nocy nad tym siedziałam i nic mi się nie zgadza. Ty jesteś dobra w liczeniu.

Erin podsunęła Calliope papiery. Według rejestru pokładowego rodzina Davisonów miała czwórkę dzieci. Oprócz Anny i Wealthy’ego były jeszcze dwa inne imiona: Louisa i Charlotte, zapisane jako trzylatki. Calliope starała się zrozumieć, do czego zmierza wnuczka. Miała datę urodzin Anny 18 stycznia 1894 roku, datę wypłynięcia statku z Australii 13 czerwca 1898 i trzy inne daty na różnych dokumentach.

– Widzisz – powiedziała Erin. – Jeśli Mims zaszła w ciążę z Anną w maju 1893 roku, to byłaby jeszcze w ciąży w chwili narodzin bliźniaczek.

Calliope podliczyła miesiące na skrawkach papieru. Chciała porozmawiać o Louise i Charlotte i dowiedzieć się, co się z nimi stało. Wyliczenia Erin zgadzały się, ale nie brała pod uwagę wszystkich możliwości.

– Nie wszystkie ciążę trwają dziewięć miesięcy – rzekła Calliope.

– Bliźniaki prawie zawsze rodzą się wcześniej, nie ma tam dość miejsca dla dwójki.

– Ale o dwa miesiące? W tamtych czasach raczej by nie przeżyły.

– Bez dokładnych dat urodzenia trudno cokolwiek powiedzieć. Anna mogła urodzić się dwa tygodnie za wcześnie, a Mims mogła zajść w ciążę z bliźniaczkami pod koniec marca.

Erin oparła głowę o stół.

– Pewnie masz rację, ale coś tu się nie trzyma kupy. Chciałam dowieść, że Anna urodziła się w styczniu.

– Dowiodłaś – odrzekła Calliope. – Ma tyle lat, ile mówi, a może nawet jest starsza.

Śmiały się, gdy Anna weszła do kuchni razem ze swym wiernym psem.

– Co to? – spytała, wskazując na rozłożone na stole papiery.

Erin opowiedziała jej o tym, co znalazła, w tym także o dwóch tajemniczych dziewczynkach.

Calliope dostrzegła, że pod wpływem słów Erin twarz babci się zmieniła. Oczy zaszły jej mgłą i lekko opadła jej szczeka. Usiadła na krześle i zaczęła przeglądać pożółkłe papiery.

– Nigdy nie sądziłam, że to była prawda. Przychodzą do mnie we śnie i czasem budzi mnie ich śmiech. – Potrząsnęła głową. – To głupie. Powinnam wam powiedzieć, że zawsze o tym wiedziałam, ale już niczego nie jestem pewna.

– Żadna z nas nigdy nie miała siostry – powiedziała Calliope. Zszokowała ją zmiana, która zaszła w Annie, jakby babcia postarzała się w jednej chwili.

– Żałowałam, że nie dotarły z nami do Kidronu. Ciągle prosiłam Mims o rodzeństwo. Odpowiadała, że jest jak kwoka, która lubi doglądać urodzonych już dzieci, a nie produkować nowe.

Z sypialni dobiegło ciche kwilenie Kellera.

– Teraz ja zamieniłam się w kwokę – zaśmiała się Erin i poszła nakarmić syna.

Bets weszła do kuchni w pełni ubrana.

– Dlaczego rozmawiacie o kwokach?

Pies zaszczekał i zaczął drapać łapą w tylne drzwi.

Anna podsunęła papiery córce.

– Miałam siostry – powiedziała.

Bets wypuściła psa.

– Kto je owsiankę? – zapytała i zaczęła szykować garnek i mleko.

– Myślicie, że byłybyśmy inne, gdybyśmy miały siostry? – spytała Calliope.

Pamiętała, że jako dziecko desperacko pragnęła mieć siostrę – sojuszniczkę przeciw braciom. Przez pewien czas starała się sprzymierzyć z Lucy, która mieszkała w dolinie i była jej najlepszą przyjaciółką, ale to nie to samo, co mieć jeszcze jedną kobietę w domu.

– Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie – odrzekła Bets. – W naszej rodzinie jest wystarczająco dużo kobiet.

Ku zaskoczeniu Calliope Anna nie zgodziła się z córką.

– Nie możesz porównywać matki albo babki z siostrą – powiedziała. – Weź na przykład swoich braci, jacy byli ze sobą zżyci. Łączyły ich wspólne doświadczenia.

– Nie mieli ojca, więc musieli trzymać się razem – odparła Bets, mieszając owsiankę.

Anna pokręciła głową.

– Zrozumiesz to lepiej, gdy umrę. Mimo że wiek do pewnego stopnia zniwelował różnice między nami, nigdy nie będziemy sobie równe, a takie byłyby twoje relacje z siostrą, byłybyście sobie równe.

Bets wrzuciła drewnianą łyżkę do garnka. Calliope podniosła głowę i zobaczyła, że matka odwróciła się do nich tyłem. Szarpnięciem otworzyła szafkę z przyprawami i zaczęła przesuwac słoiczki, aż znalazła cynamon.

– Ty nigdy nie umrzesz. Będziesz żyła i żyła, i żyła – powiedziała bardziej do ściany niż do nich.

– Całkiem możliwe – odrzekła Anna i mocno zacisnęła usta, aż zrobiły się białe.

Ze słoiczka z cynamonem spadła nakrętka i ogromna ilość przyprawy sypnęła się do owsianki. Bets jęknęła i gwałtownie zwróciła się w stronę matki.

– Nawet nie myślisz o śmierci, jesteś zbyt łakoma na życie. Nie chcesz dopuścić, żeby któraś z nas zaznała życia bez ciebie.

– A co w tym złego, że chcę żyć? Po to Bóg nas stworzył – odparła Anna.

Owsianka zaczęła się przypalać. Calliope podniosła się, żeby zdjąć ją z kuchenki, ale zawahała się, gdy matka cisnęła drewnianą łyżkę o ścianę. Bets podeszła do Anny



i wykrzyczała jej prosto w twarz:

– Więc żyj! Tylko nie myśl, że podążę twoim śladem.

– Dobrze, umieraj sobie. – Anna dźgnęła córkę w klatkę piersiową. – Przestań już o tym mówić i przejdź do czynów.

Calliope zamarła.

– Co u diabła się tu dzieje? – zapytała Erin, zdejmując z kuchenki przypaloną owsiankę. – Dziecko śpi. Obie jesteście takie drażliwe.

– Jestem tak potwornie zmęczona – rzekła Bets, siadając przy stole.

Calliope ujęła dłoń matki i zaczęła ją głaskać.

– Już dobrze. Wszystko będzie dobrze – powiedziała, unikając wzroku reszty kobiet.

Anna wzięła ręcznik kuchenny i wytarła ze ściany owsiankę, po czym schyliła się i podniosła z podłogi łyżkę. Tak gwałtownej scysji między nimi Calliope nie widziała od wielu lat. W roku setnych urodzin Anny nie rozmawiały ze sobą przez parę tygodni. Bets nie chciała, żeby jej matkować. Calliope zastanawiała się, czy zawsze miała tę cechę, nawet gdy była zbyt młoda, żeby się sobą zająć. Z pewnością Bets nie matkowała córce. Calliope nigdy nie czuła się przytłoczona nadopiekuńczością matki. Jej chęć ucieczki wynikała raczej z faktu, że matka nie przejmowała się tym, co ona robi i jak się czuje. Frank się o nią troszczył, to on udzielił jej wszystkich ważnych życiowych lekcji.

Pod wieloma względami Frank był zarówno jej ojcem, jak i matką, za to zupełnie ignorował swoich synów. Pozostawił ich Bets, a ona traktowała ich jak książąt, usługiwała im i nadszkakiwała, jakby chciała im coś wynagrodzić.

Calliope zrobiło się zimno. Wstała, pocałowała Annę w czubek głowy i poszła zrobić następną owsiankę. Po cichu powiedziała do matki, tak żeby Anna nie słyszała:

– Jak się dowiedziałas o bliźniaczkach?

– Nic nie wiedziałam – odrzekła Bets. Wzięła z półki cynamon i nasypała do nowego garnka.

– Nie wyglądałaś na zdziwioną. Odniosłam wrażenie, że spodziewałaś się, że natrafimy na coś takiego i dlatego wpadłaś w złość. Ostatnio często jesteś zła.

– Złości mnie sto lat nakładających się na siebie drobnostek.

– Ale to wciąż tylko drobnostki – odrzekła Calliope i wyjęła z szafki cztery miseczki. – Zwykle wpadasz w złość tylko wtedy, gdy ktoś odkryje jeden z twoich sekretów, więc o co chodzi tym razem? Co ukrywasz?

– Niczego nie ukrywam – odpowiedziała Bets i zaniósła owsiankę na stół.

Jadły w milczeniu, podając sobie kartkę z okrętowego rejestru i snując domysły o Louisie i Charlotte. Przypisywały im cechy charakteru i rodzinne podobieństwa. Lottie, bo tak zdrobniły Charlotte, miałyby szare oczy i dołeczki w policzkach jak Mims, a Louisa

byłaby bardziej podobna do ojca, może jej blond włosy połyskiwałyby w słońcu na czerwono albo miałyby podobny układ piegów, ciekawszy niż porozrzucane po nocnym niebie gwiazdy. Anna opowiadała o Mims i ojcu. Bets milczała, a Erin zadawała pytania, żeby podtrzymać rozmowę. Calliope chciała jak Erin znać swoich prapradziadków. Opowieści Anny były tak żywe, że czuła, jakby Veda i Percy siedzieli z nimi przy stole. Słuchając tęsknego głosu Anny z ledwie dostrzegalnym australijskim akcentem, Calliope się rozplakała. Nagle zrozumiała, że gdyby nie genetyczny cud lub jakaś zdrowotna aberracja, nie poznałaby Anny, nie spędziłaby tyle czasu z własną matką – i wszystkie potencjalne siostry świata nie mogłyby wynagrodzić jej tej straty.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

## Niepodległość

Dzień przed przyjazdem Amrita poprosiła Peteya i Roberta, żeby umieścili na wąskim pasie trawnika przed sklepem tabliczkę z napisem „Na sprzedaż”. Nancy krążyła wokół nich, nie ukrywając rozżalenia.

– Powiedziałaś rodzinie, jak poważny jest twój związek z doktorem? – zapytała swoją pracodawczynię. Paliła papierosa, stojąc w otwartych drzwiach sklepu.

– Nie pal w środku – powiedziała Calliope.

Nancy zrobiła krok do przodu, tak że jej stopy znalazły się za progiem.

– Nic im nie powiedziałaś?

– Nie ma nic do mówienia – ucięła Calliope.

Żałowała, że nie przyniosła poziomicy. Chłopcy spojrzeli na tabliczkę i stwierdzili, że jest prosto, ale według niej cały czas była przekrzywiona.

Jeden z jej dalekich kuzynów miał agencję nieruchomości w Kidronie i zgodził się pomóc w sprzedaży bez prowizji. Jednak okazało się, że lokal i biznes były warte o wiele mniej, niż sądziła.

Petey wytarł twarz bandanką, a Robert zaczął zbierać narzędzia.

– A jeśli nikt tego nigdy nie kupi? – zapytała Nancy. – Zamkniesz sklep? A jeśli ktoś będzie chciał lokal, ale nie zatrzyma sklepu? To pierwszorzędna lokalizacja. Warta kupienia dla samego billboardu.

Calliope spojrzała na wyrastający ponad Olive Pit metalowy billboard. Na wysokości ponad piętnastu metrów był doskonale widoczny z autostrady I-5 i usytuowany w dostatecznej odległości od zjazdu, żeby kierowcy zdążyli zmienić pas.

– Sprzedam, co się da. Nie spieszy mi się. Dlaczego tak cię to martwi? Nie potrzebujesz przecież pracy.

Mąż Nancy miał zasilek dla inwalidów.

– Każdy potrzebuje pracy – odpowiedziała kasjerka, strzepując popiół na betonowy schodek. – Nawet mężatki muszą pracować.

Calliope zamknęła sklep i wyłączyła oświetlenie billboardu. Pomachała chłopcom i odprowadziła Nancy do samochodu. Był to dziwny miesiąc. *Księga rekordów Guinnessa* zaakceptowała spis ludności Kidronu i rejestr okrętowy jako wystarczające dowody wieku Anny i oficjalnie ogłosiła ją najstarszą osobą żyjącą na Ziemi. Przez następny tydzień Anna przyjmowała wizyty największych mediów – przez satelitę wystąpiła w programie Oprah Winfrey i rozmawiała przez telefon z Regisem. Gdy powiedziała u Oprah o oliwie

z oliwek, Calliope w ciągu dwóch dni sprzedała cały zapas i zarobiła wystarczająco dużo pieniędzy, żeby spłacić resztę kredytu za sklep.

Tylko Amritowi wyznała, że ucieszyło ją to mniej, niż się spodziewała.

– Znalazłam sobie nowe zmartwienia; martwię się o moją matkę albo że złapią Deb.

Spojrzała na zegarek. Jest już w samolocie z Pittsburgha do San Francisco, co oznacza, że po raz pierwszy od sześciu miesięcy nie powiedzą sobie dobranoc. Zawróciła samochód i pojechała w stronę Hill House. Cieszyła się, że znowu go zobaczy. Gdy rozmawiali przez telefon, nie potrafiła wyobrazić sobie jego twarzy. Był krzepkim, potężnym mężczyzną z brodą, która nie kryła jego zaokrąglonych policzków. A jego głos o ledwie dostrzegalnym obcym akcencie był głęboki i mocny. Wyciszyła go w słuchawce do tego stopnia, że mówił szeptem, tak jakby byli w sypialni. Zbyt długo się nie widzieli, a jej wizyta podczas przesłuchania Deb była zbyt krótka.

Wszystkie światła w Hill House były pogaszone i Calliope spodziewała się, że kobiety siedzą na ganku, podziwiając zachód słońca. Poszła żwirową ścieżką na tył domu, ale była tam tylko Anna. Siedziała na bujanym fotelu.

– Co też powie nam jutro pan doktor? – zapytała, wyciągając pomarszczoną rękę.

– Nic mi nie chciał zdradzić. Twierdzi, że to byłoby nie fair w stosunku do was.

– Znalazłaś mądrego mężczyznę – stwierdziła Anna i pokazała gestem, żeby Calliope usiadła obok niej. – Zawsze boli cię noga po tak długim dniu.

– Powinam wziąć tabletkę. Amrit dziś przyjeżdża i umówiliśmy się na późną kolację.

– Twoja mama uważa, że za dużo bierzesz tych pigułek.

– To, że nie było odpowiednich lekarstw, gdy was coś bolało, nie znaczy, że ja również mam cierpieć. Dosyć się nacierpiałam.

– Twoja mama i ja uważamy, że cierpienie zostaje wynagrodzone – wycedziła Anna przez zaciśnięte usta.

– Już w to nie wierzę. Nie po tym, co się stało – odrzekła Calliope, pokazując na ciemniejące niebo.

– Nie powinnaś odwracać się od Boga – powiedziała Anna i siedziały przez dłuższą chwilę w milczeniu, wsłuchując się w znajome odgłosy Bets i Erin kąpiących Kellera.

Nagle na poręczy ganku usiadł żółto-szary ptak.

– To kacyk złotobrewy – stwierdziła Anna. – Nie widziałam ich od lat. A może po prostu nie zwracałam na nie uwagi.

Calliope nie odzywała się do odlotu ptaka. Po czym podzieliła się z Anną obserwacją, że klatka piersiowa ptaka ma ciemniejsze zabarwienie, przypominające bardziej szafran niż cytrynę.

– To samiec. Mają swoje własne piosenki – powiedziała Anna.

– A samice nie mają?

Anna spojrzała na nią i roześmiała się.

– Opowiadał mi o nich mój ojciec i jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby o to zapytać. Zainteresowały go te ptaki, bo samce są ładniejsze i lepiej śpiewają od samic. Samice interesowały go jedynie wtedy, gdy znosiły jajka.

Calliope nie wiedziała zbyt wiele o mężczyznach w rodzinie. Opowieści, które słyszała na wakacjach i pogrzebach, dotyczyły głównie kobiet. Nawet jej bracia opowiadali o matce, a nie mieli nic do powiedzenia na temat Franka. Zapewne dlatego, że zawsze faworyzował córkę. Sama nigdy nie odczuwała potrzeby opowiadania o ojcu. Ale teraz, wobec milczenia Bets i choroby Franka, zrozumiała, że jedynie ona może przekazać jego dziedzictwo.

Podczas drugiej wojny światowej jej ojciec służył na jednym z mniejszych okrętów na Pacyfiku. Pamięta, że kiedyś w gaju opowiadał jej, jak wygląda ocean, gdy na horyzoncie nie widać żadnego lądu. Mówił, że był jak trefniś, rozśmieszał innych marynarzy i zastawiał pułapki na nowicjuszy. Pokazał jej kiedyś, jak ustawić pułapkę, żeby uniesiony w powietrze za kostkę delikwent zawisł głową w dół. Miesiącami bezskutecznie usiłowała złapać braci, ale udało się jej tylko powiesić za tylne łapy psa.

Calliope opowiedziała o tym Annie.

– Naprawdę był taki zabawny? – zapytała na koniec.

– Tak – przytaknęła Anna. – Frank potrafił wszystkich rozśmieszyć, nawet dziadka Mike’a, a to był niezły sukinsyn.

– Babciu! – Calliope nie często słyszała, by Anna przeklinała.

– Na farmie ciągle używaliśmy słowa „suka”. Jakimś sposobem nabrało teraz innego znaczenia w połączeniu z różnymi słowami, ale taki właśnie był mój mąż.

– Tyle czasu jesteś sama. Świetnie sobie radzisz – zauważyła Calliope. Chciała zapytać babcię, jak przez tyle lat dawała sobie radę z samotnością i życiem w celibacie.

– Słyszałam, że znowu się zakochałaś. W tym doktorku – powiedziała Anna.

– Może. – Przyznałaby się Annie, ale babcia powiedziała to w taki sposób, że zrobiło jej się głupio. Nie byli zakochani, byli kochankami. Myśl o zakochaniu wydała jej się śmieszna. Byli po prostu samotni.

– Nigdy nie potrzebowałam tych bzdur po śmierci Mike’a. Ale wtedy były inne czasy. Jeszcze długo były inne czasy, wszystko zmieniło się zaledwie parę lat temu.

Calliope pomyślała o lecie, gdy wróciła do domu po wypadku. Mężczyźni interesowali się nią, bo miała pieniądze i ziemię. Pragnęli władzy nad Callie i jej rodziną. Greg był inny – kochał się w niej od czasów, gdy był małym, grubym chłopcem, którego rodzice prowadzili kino. Naśmiewała się z niego z koleżankami, ale wykorzystywała jego uczucie,

żeby dostawać darmowe bilety.

– Czasy zmieniły się jedynie dla Erin, a ona musiała wyjechać i zakochać się w kimś, kto mógłby być jej ojcem. Ma tyle lat, że traktuje kobiety jak w dawnych czasach. Dokładnie tak samo jak jej matka. W życiu każdej z nas było stanowczo za dużo niewłaściwych mężczyzn.

– Nie mów tak. Masz dobrych braci i dobrych synów. Deborah i Erin dokonały swoich własnych wyborów. Twój ojciec też taki nie był, zawsze traktował Bets jak równą sobie i nie ożenił się z nią dla ziemi. Wiesz o nim, prawda?

Calliope wzruszyła ramionami. Nie była gotowa na rozmowę o ojcu, ale nie chciała, żeby Anna przestała mówić.

– Jak to zrobiłaś? Żyłaś w celibacie przez tyle lat?

Spodziewała się, że Annę zawstydzi to pytanie, ale ona odchyliła głowę do tyłu i wybuchła siarczystem śmiechem, który sprowadził na ganek Bets i Erin. Po paru minutach wewnętrznego oporu Calliope przyłączyła się do rozbawiania Anny.

– Co was tak śmieszy? – zapytała Bets, kręcąc głową.

– Dyskrecja – wysapała Anna i rechotała dalej.

Erin usiadła na bujanym fotelu.

– Mogłybyście mi powiedzieć. Przydałby mi się dobry śmiech. Przez to dziecko mam jedynie ochotę płakać z frustracji lub radości. Mam już dość łez.

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

## Kochankowie

Spotkała się z Amritem w hotelu tuż przed północą. Wymykając się ukradkiem z domu, gdy wszyscy poszli spać, Calliope czuła się jak nastolatka. Z butami w ręku szła długim korytarzem ze swojego pokoju i włożyła je dopiero na ganku. Rozmowa z Anną polepszyła jej humor i zamiast grzecznego stroju włożyła jedyny stanik, który podnosił wszystko na właściwe miejsce, i halkę zamiast majtek. Bezpośrednio na to włożyła płaszcz i spryskała się perfumami. Rzuciła torbę z przyzwoitą piżamą i normalnym ubraniem na tylne siedzenie i pomyślała, że gdy była młodsza, nigdy nie przejmowała się seksownymi ciuzzkami. W młodości wystarczało samo ciało. Nie musiało być podnoszone, wygładzane, ukrywane w ciemnościach – teraz wołała trzymać swą nagość pod przykryciem do momentu, gdy oboje byli zbyt podnieceni, żeby się zatrzymać. Calliope zdawała sobie sprawę, że to śmieszne, i zastanawiała się, czy sześćdziesięciosześcioletnia kobieta może uprawiać seks, nie przekraczając granic absurdu.

Motel był niedaleko od Hill House. Wybudowano go dla strudzonych drogą kierowców, zbyt śpiących, żeby pokonać w ciemnościach górę Shasta. Na parkingu stało z tuzin samochodów. Callie pomalowała usta czerwoną szminką, poprawiła stanik, tak aby jak najbardziej podnieść swe atuty, i zacisnęła pasek płaszcza. Stała przez chwilę na parkingu, obserwując poruszające się za zasłonami cienie postaci. Jako stewardesa przespała się z wieloma pilotami – wszyscy byli starsi, wielu żonatych. Dziwnie poczuła się na myśl, że jest teraz starsza niż większość z nich.

Amrit otworzył drzwi, gdy tylko zapukała. Uśmiechnął się i odchylił połę jej płaszcza.  
– Przybywasz w iście amerykańskim stylu – powiedział głosem z telefonu, gardłowym i zmysłowym.

Przysunęła się, żeby powąchać jego szyję. Sięgnął ręką do jej piersi i ścisnął delikatnie, wsuwając kciuk pod koronkę stanika. Pocierał kciukiem po twardniejącym sutku. Jęknęła i przestała myśleć o obwisłościach, zmarszczkach i fałdkach. Gdy ciepło i drżenie z jej brzucha rozeszły się niczym ogień do sutków i pomiędzy nogi, czuła jednocześnie siłę i uległość. Pragnęła, żeby ten ogień rozprzestrzenił się do każdego zakątka jej ciała. Wiedziała już, że Amrit potrafił być nadzwyczaj cierpliwy. Zaczęła odpinać jego pasek, ale wziął jej ręce i położył sobie na twarzy.

– Najpierw mnie pocałuj – powiedział.

Miał miękkie, pełne usta i smakował goździkami. Żeby ich dosięgnąć, musiała stanąć na palcach. Poczwała w ustach jego delikatny język i otworzyła je szerzej. O tak,

pomyślała. To wszystko twoje. Cała jestem twoja. Przysunął się bliżej i poczuła na miękkim brzuchu jego erekcję. Pieścił ustami jej szyję i delikatnie ugryzł ją w ramię, ściągając zębami ramiączko stanika.

Wędrowała rękami po jego szerokich plecach i napierała na niego, aż trzymając ją w ramionach, zaczął przesuwać się do tyłu, w stronę łóżka. Wiedziała, że jego żona była powściągliwą kobietą. Określał ich życie seksualne jako poprawne, więc Calliope czuła się przy nim bardzo pewnie. Opadli na łóżko i usiadła na nim okrakiem. Położył ręce na jej pośladkach.

– Niegrzeczna – powiedział, oddychając coraz szybciej. – Niegrzeczna amerykańska kobieta zapomniała włożyć majtki.

Wyszedł z niej i pieścił każdy centymetr jej ciała, mówiąc, co lubi w jej obojczyku, łokciu, a nawet nogach – całując bliznę na łydce.

Gość w pokoju obok zaczął walić w ścianę i wrzeszczeć, żeby się pospieszyli. Położyła się na plecach i wciągnęła go na siebie. Otworzyła szeroko oczy i patrzyła mu w twarz, gdy wchodził w nią głęboko. Uśmiechał się, a w jego oczach dostrzegła przeblysł Amrita jako młodego mężczyzny. Poczowała jego orgazm i przywarła do niego, szczytując chwilę po nim. Oczami wyobraźni zobaczyła, jak kochają się swymi młodymi ciałami, i wiedziała, że będą razem aż do śmierci. Wbiła zęby w jego ramię, żeby nie krzyczeć, i pozwoliła, aby rozkosz rozlała się po całym ciele. Zwróciła ku niemu głowę i zobaczyła, że Amrit się uśmiecha.

– Tęskniłem za tobą – powiedział.

Obudziła się później niż on. Nie włożyła grzecznej piżamy i szorstkie prześcieradło drażniło jej obolałe sutki. Miała zeszywniałe ramię, a na poduszce widniała plama ze śliny. Amrit otworzył drzwi łazienki i spodziewała się, że wyjdzie w ręczniku, prosto spod prysznic. Tymczasem on wyszedł z kłębow pary, poprawiając śliwkowy krawat.

– Najpierw powinniśmy spotkać się z twoim ojcem – powiedział.

– Jesteś okropnie staroświecki – odrzekła Calliope. – Ojciec nie będzie nawet wiedział, kim jestem, nie zrozumie, dlaczego pytasz o zgodę, żeby ze mną zamieszkać.

– To nie tylko o to chodzi. Chcę, żeby zrozumiał, że wyjeżdżasz. Kimkolwiek dla niego jesteś, nie zostaniesz z nim w Kidronie, ale zamieszkasz ze mną w Pittsburghu. Poza tym bardzo chciałbym poznać sławnego pana Franka. – Amrit puścił do niej oko, jakby wiedział o Franku coś, czego nie wiedziała Calliope.

– Co ci powiedziała moja matka?

– Nic, co mógłbym ci powtórzyć – odrzekł i sięgnął, żeby uszczypnąć jej sutek.

Calliope nagle przypomniała sobie, jak wygląda w świetle dnia jej ciało.

– Pójdę wziąć prysznic i ubiorę się – powiedziała, zawijając się w kołdrę.



W drodze do Golden Sunsets omawiali historię choroby jej ojca. Amrit chciał poznać wszystkie kliniczne szczegóły, i jak to się stało, że najpierw zdiagnozowano u Franka chorobę Parkinsona, potem Alzheimera i wreszcie otępienie z ciałami Lewy'ego.

– Dla mnie to jedno i to samo – wyznała Calliope. – Ojciec przestał być panem swej pamięci.

– To musi być trudne – rzekł Amrit.

Calliope pokręciła głową.

– Zawarliśmy z ojcem pakt. Gdy miesiącami dochodziłam do siebie po wypadku, wkurzały mnie odwiedziny ludzi o smętnych twarzach, którzy przelewają na mnie swoje zmartwienia. Jakies dwa tygodnie po powrocie do domu rozmówiłam się z mamą. Powiedziałam jej, że nie mam ochoty słuchać, jak bardzo jej przykro. To nie ona leżała z dwoma połamanymi rękami, złamaną nogą i przebitym płucem.

– Brzmi okropnie. – Amrit poklepał ją po udzie. Ostro zahamowała pod światłami.

– Przestań. Właśnie o to chodzi. Żadnego współczucia i specjalnych względów. Traktuj mnie, jakbym była normalna. I tak właśnie traktuję ojca. Mama nie może się na to zdobyć i dlatego on staje się przy niej agresywny. W jej obecności czuje, że coś jest z nim nie w porządku.

Zapaliło się zielone światło, a Calliope przepuściła jadące prosto samochody, żeby skręcić w lewo, do Golden Sunsets.

– W ten sposób każda wizyta staje się przygodą – powiedział Amrit.

– Właśnie tak. Dopóki się nie odezwie, nie wiesz, kim jesteś, więc przygotuj się na odegranie swojej roli.

– Athena – wykrzyknął Frank, gdy Calliope weszła do świetlicy. Siedział obok swego przyjaciela Guya, który wyglądał dużo starzej od niego, mimo że był o trzydzieści lat młodszy. Calliope nie przeszkadzało, że Frank myli ją ze swoją siostrą.

– Franky – powiedziała i wyciągnęła ramiona. Wpadli w niezręczny uścisk. Kapelusz ojca spadł na podłogę, a Amrit go przydeptał. Wydukał przeprosiny i schylił się, żeby go podnieść.

– Ileż to już czasu – powiedział Frank, przyglądając się jej uważnie. – Dobrze wyglądasz. Masz w oczach jakiś nowy błysk. To z powodu tego mężczyzny czy wybierasz się na wycieczkę?

– Z obydwu powodów – odrzekła Calliope, a Guy się zaśmiał.

Lubiła przyjaciela ojca; gdy był w pobliżu, pomyłki Franka wydawały się zabawne. Z Guyem często się śmiał, a zanim się poznali, demencja złościła go i Calliope przerażała siłą jego emocji.

Amrit podał rękę Guyowi i Frankowi.

– Zabieram ją od pana. Poprosiłem, żeby zamieszkała ze mną w Pittsburghu.

– Proszę, proszę – powiedział Frank.

Guy sięgnął po jej dłoń i mocno ją ścisnął.

– Gratulacje. Właśnie tego potrzebujesz.

– Chyba nigdy nie byłem w Pensylwanii – oznajmił Frank. – Co tam pan porabia?

Guy puścił oko do Calliope.

– Nie poznajesz go? – zapytał Franka. – To jeden z najlepszych na świecie weterynarzy zajmujący się egzotycznymi zwierzętami. Zaczął od pracy ze słoniami w Indiach, a potem zatrudnił go Ringling.

Amrit wybałuszył ze zdziwienia oczy i zaczął zaprzeczać.

Żądna ubawu Calliope zagłuszyła jego protesty.

– Och tak, zamierzamy utworzyć schronisko dla egzotycznych zwierząt, lwów, tygrysów, niedźwiedzi.

– Ojej – powiedział Frank i cała czwórka wybuchnęła śmiechem, jak dzieci.

Calliope dostrzegła, że Amrit rozluźnia się i poddaje Frankowi. Trudno było uwierzyć, że Frank był tym samym człowiekiem, który niemal zabił jej matkę. Było to zaledwie trzy miesiące po tym, jak Deb dostała wyrok za zastrzelenie Carla. Mimo że jego stan pogarszał się na przestrzeni lat, nikt nie spodziewał się tak nagłego postępu demencji. Calliope pracowała po sześćdziesiąt godzin tygodniowo i ciągle jeszcze mieszkała w małym domku przy ulicy Butte, dokąd przeniosła się, wychodząc za męża. Od paru miesięcy stosunki między Calliope, jej matką i Anną nie były najlepsze, a pogorszyły się jeszcze, gdy odmówiła pomocy przy Erin.

Calliope nie była pewna, czy między nimi kiedykolwiek by się poprawiło, gdyby Frank nie zaczął strzelać do Bets. Właśnie zamykała sklep, gdy zadzwonił sąsiad. Telefon odebrała Nancy, która dopiero zaczęła pracować w Pit Stop. Calliope dostrzegła, że jej rumiana cera staje się coraz bardziej żółta.

– Coś się stało twojej matce – wykrzyknęła Nancy i niemalże nakazała jej pojechać do Hill House. – To coś poważnego – oznajmiła, wypychając ją ze sklepu.

Napotkani po drodze policjanci powiedzieli jej, że ojciec złamał jej matce rękę, po czym pobiegł do gaju ze strzelbą i zaczął strzelać do drzewek.

– Nie chcą opuścić domu – wyjaśnił policjant. – Twoja matka, babka i wnuczka ukryły się w pokoju na tyłach domu i nie chcą się stamtąd ruszyć. Nasi ludzie szukają Franka.

Pojechała jak najszybciej do domu, wpakowała wszystkie do samochodu i popędziła do szpitala. Bets była w opłakanym stanie. Miała pokrwawioną koszulę i liście na ubraniu, a jej zwykle perfekcyjny kok był rozczochrany. W drodze do szpitala Anna się modliła. Nie była to formalna modlitwa, którą Calliope pamiętała z dzieciństwa, ale gorące błaganie

składające się głównie ze słów „proszę, Boże, proszę”.

Erin siedziała na przednim siedzeniu camaro, obok Calliope.

– Pif-paf – powiedziała. Miała ze sobą lalkę, którą uszyła jej Bets na święta.

Wycelowała palcami w głowę lalki i powtórzyła: – Pif-paf.

Na izbie przyjęć miała dyżur Joy Fielding. Już w liceum była zgorzkniała, a jej małe, zacięte usteczka przypominające pestkę oliwki były nienaturalnie jasne, prawie żółte. Chodziły z Calliope do szkoły, ale nie były przyjaciółkami. Patrząc na wzdychającą z poirytowaniem Joy, Calliope zdała sobie sprawę, że jej rodzina zaczyna być kojarzona z problemami.

Wysłała Annę z Bets, a sama usiadła w poczekalni z Erin. Zastanawiała się, co dziewczynka myślała o broni, która od zawsze była obecna w życiu Calliope – polował jej ojciec, a potem mąż. Toczyły się wojny, z kolegami bawiła się w kowboi i napady na bank, a wszyscy celowali do siebie z palców i podobnie jak Erin krzyczeli „pif-paf”.

Erin była dziwnym dzieckiem. Myślały, że będą musiały chodzić wokół niej na paluszkach, szeptać o Deb za jej plecami, ale Erin zaakceptowała śmierć ojca łatwiej, niż się spodziewały. Nie zamknęła się w sobie i nie zagrzebała swej tragedii pod przykryciem milczenia. Podczas pierwszego roku z Anną i Bets ciągle mówiła o zbrodni: informowała urzędnika w banku, że jej matka siedzi w więzieniu, wypytywała pracownika w spożywczym, czy kiedyś strzelał z pistoletu, i zamęczała je nieustannymi pytaniami o rodziców.

Erin spojrzała na babcię.

– Dlaczego dziadek Frank strzelał do drzew?

– Nie wiem, kochanie – odrzekła Calliope. Bolała ją noga i choć miała ochotę usiąść na podłodze i pobawić się z Erin, bała się, że nie będzie mogła się podnieść. Przyciągnęła do siebie dziewczynkę. – Myślę, że dziadek Frank jest chory.

– Jest śmieszny – powiedziała Erin.

Wdrapała się na kolana babci i zaczęła bawić się swoją lalką i drugą, którą znalazła w kącie poczekalni. Znaleziona lalka była brzydka i brakowało jej większości blond włosów. Niegdyś miała oczy, które powinny się otwierać i zamykać, ale teraz jedno było permanentnie zamknięte. Erin zaczęła udawać, że lalki ze sobą rozmawiają.

– Kim jesteś? – zapytał jednooki niemowlak.

– To ja – odpowiedziała lalka Erin. – Znasz mnie.

– Kim jesteś? – Erin podniosła niemowlaka tak, że z góry patrzył na drugą lalkę, i zapytał ponownie.

Calliope pocałowała główkę wnuczki.

– Wie, kim jesteś – powiedziała. – Na chwilę zapomniał, ale wkrótce sobie przypomni.

W tym momencie policjanci wprowadzili Franka. Widząc ojca bredzącego od rzeczy, zakutego w kajdanki, Calliope nie mogła się powstrzymać.

– Tato – wykrzyknęła.

– Tato – zawtórowała jej Erin.

Frank spojrzał na nie, ale Calliope widziała, że ich nie poznaje. Erin upuściła lalkę niemowlaka na podłogę i mocno przytuliła swoją.

– To twój tato – powiedziała i poklepała Calliope po policzku.

– Mój tato – potwierdziła Calliope.

– Odszedł – oznajmiła Erin, a Calliope nie odwróciła się, żeby zobaczyć, czy dziecko miało na myśli fakt, że zniknął w gabinecie lekarskim.

Wnuczka wtuliła się w jej ramiona i zaczęła ssać kciuk. Mimo że noga paliła Calliope z bólu, kołysała się w przód i w tył, aż dziecko zasnęło. Dwa tygodnie później, gdy jej ojciec zamieszkał w Golden Sunsets, Calliope przeprowadziła się do Hill House, do matki i Anny.

Spojrzała teraz na ojca i zobaczyła, że zasnął. Guy opowiadał im o swoim wnuku, który był dublerem Lumière'a w objazdowym przedstawieniu *Pięknej i Bestii*. Wyciągnęła rękę i poklepała go po kolanie, a Guy się zaśmiał.

– Oto jaka ze mnie dusza towarzystwa. Ciągle opowiadam jakieś historie, żeby zainteresować sobą was młodych, i zapominam, że jeśli nie ma nic o polowaniu albo łowieniu ryb, Frank zaśnie.

– W jakim jest naprawdę stanie? – zapytała Calliope.

– W porządku – powiedział Guy.

– Świetnie sobie pan z nim radzi – zauważył Amrit. – Nigdy nie wpadłbym na historię o słoni. Jak długo jesteście razem?

Guy spojrzał na Calliope i pokręcił głową.

Amrit poczerwieniał.

– To znaczy, jak długo tu pan jest?

– Zbyt długo – odrzekł Guy.

Nigdy nie mówili otwarcie o swoim związku, ale Calliope widziała istniejącą między nimi intymność i mimo że nie chciała wiedzieć nic więcej, zdawała sobie sprawę, że łączy ich coś więcej niż przyjaźń.

– Pielęgniarki powiedziały mi, że świetnie się trzyma jak na mężczyznę w tym wieku, ale przyjaźnicie się od ponad dwóch lat i z pewnością zauważyłeś różne drobne zmiany, jak na przykład fakt, że jego ręce drżały dziś bardziej niż normalnie albo że był bardziej żółty.

Twarcz Guya złagodniała. Spojrzał na nią z ulgą, szczęśliwy, że mogą otwarcie

porozmawiać. Zaczął mówić cieplejszym, mniej chrapliwym głosem, a Calliope miała wrażenie, że ogląda klauna, który zmywa makijaż, ujawniając swe prawdziwe oblicze.

– Mieszkając tu, na co dzień obcujemy ze śmiercią. Obserwujemy niszczące ciała, które stopniowo odmawiają właścicielom posłuszeństwa. Starość jest jak oddział gremlinów, które krążą po ciele, wyłączając po kolei jego funkcje, spowalniając trzymające nas przy życiu mechanizmy. – Przerwał i podrapał się po ramieniu. – Zamieszkałem tu w zbyt młodym wieku. Moje ciało ma jeszcze przed sobą wiele lat, ale Franka już zaczęło obumierać.

Calliope zaczęła płakać.

– A ja przychodzę mu powiedzieć, że wyjeżdżam.

Amrit wziął ją w ramiona.

– Cieszył się twoim szczęściem i ja też uważam, że to najwyższy czas – powiedział Guy. – Nigdy nie mogłem zrozumieć, co cię trzyma w Kidronie.

– Powinnam zostać, jeśli ma tylko...

– ...ile ma? Dwa tygodnie? Pięć miesięcy? Wiesz, jak to jest. Od tylu lat nikogo nie rozpoznaje. Są dni, kiedy mija mnie obojętnie na korytarzu. Muszę za nim jechać i przypominać mu, że jestem kotwicą trzymającą go w miejscu.

Siedzieli posmutniali przez kilka chwil. Amrit gładził Calliope po plecach. Obok przechadzali się inni pacjenci. Słyszała, jak rozmawiają z odwiedzającymi ich przyjaciółmi i rodziną. Po chwili otrząsnęła się i wstała. Pochyliła się i uściskała Guya.

– Twoja przyjaźń świetnie mu służy – powiedziała, po czym dodała: – Jesteś dla niego dobry. Dziękuję.

Potrząsała ramieniem ojca, by się obudził. Dostrzegła, że nikogo z nich nie rozpoznaje, ani nie wie, gdzie jest. Jego szeroko otwarte oczy wypełniał strach, ale jednocześnie Frank jakby wiedział, że nie powinien im mówić, że nic nie pamięta. Obserwowała, jak się jej przygląda i usiłuje poukładać sobie wszystko w głowie.

– Hej, Dziewanna – powiedział. To przywido nadał jej w dzieciństwie, gdy pracowali razem w gaju oliwnym.

– Och, tatusiu! – wykrzyknęła Calliope i mocno go uściskała.

Wychodząc, słyszała, jak Frank mówi do Guya:

– To moja córka? – A potem: – Ja mam córkę? – Mówił cieniutkim, wysokim głosem, a Guy próbował go uspokoić, przestawić jego myślenie na otaczający ich świat.

# ROZDZIAŁ ÓSMY

## Bets

Po słonecznym poranku znad góry Shasta nadciągnęły chmury, a temperatura spadła o dziesięć stopni. Calliope wjechała na podjazd Hill House i rozmyślała, jak zmieni się jej życie. Chciała najpierw porozmawiać sam na sam z matką. Pragnęła podzielić się emocjami, które wzbudzali w niej Frank i Guy. Chciała pożegnać się z Anną, bo chociaż babcia mogła żyć jeszcze parę lat, jej koniec nieubłagane nadchodził. Związek z Amritem i widok Erin z małenstwem sprawił, że zaczęła się obawiać, że coś zaniedba i będzie tego żałować, tak jak miała wiele żalu po śmierci męża, która nadeszła tak niespodziewanie, że nie było czasu na pożegnania.

Matka otworzyła drzwi, zanim Calliope sięgnęła po klamkę.

– Gdzie doktor Hashmi?

– Zaraz przyjedzie. Dziś rano zabrałam go do taty – powiedziała Calliope. – Masz ochotę pójść na spacer?

Bets spojrzała na niebo, a potem na córkę.

– Świetna pogoda na spacer. – Zeszła ze schodów, zapinając stary, domowy sweter i wyjęła z kieszeni plastikowy kapelusz przeciwdeszczowy.

– Nie będzie padać – powiedziała Calliope.

– Może.

Poszły ścieżką prowadzącą od schodów w kierunku gaju, a potem skręciły w zarośniętą drogę wiodącą do drzewek ojca. W gaju nie było ciemniej, drzewka miały zaledwie półtora metra i nawet niższa od Calliope Bets widziała ponad konarami, jednak światło było tu zupełnie inne – liście absorbowwały i rozpraszały promienie słoneczne, a przy zachmurzonym niebie były jeszcze bardziej szare. Gdy weszły do gaju, podniosło się skrzeczenie srok, które osłabło dopiero, gdy ptaki przyzwyczyły się do obecności kobiet.

– Sprzedałam całą oliwę Anny z drzewek ojca – powiedziała Calliope, gdy doszły do ławki, którą Frank zrobił z podcinanych gałęzi. Lubił pracować ze świeżym, niewysuszonym drewnem, bo z łatwością nadawał mu wybrane kształty. Siedzenie było zrobione ze starego, powalonego przez piorun drzewa. Ojciec własnoręcznie je przycinał, heblował i oliwił.

– Ludzie są naiwni – powiedziała Bets. – Zawsze szukają drogi na skróty, gotowi uwierzyć w cudowne eliksiry młodości.

– Nie zaszkodzi im – odrzekła Calliope. – Przecież nie wiemy, dlaczego Anna żyje tak długo. Ani ty, ani tata.

– Fałszywa nadzieja to niebezpieczna broń – oznajmiła Bets.

– Nadzieja to nadzieja. – Calliope pragnęła zmienić temat. – Próżni zasługują na odrobinę złudnej nadziei.

Poza tym kończę z tym.

Dostała ofertę na sklep. Wystarczająco dużo pieniędzy, żeby dać sobie spokój z oliwą, opuścić Kidron i zamieszkać z Amritem.

Bets złapała ją za rękę.

– Cieszę się. Nie chciałam ci nic mówić, ale to nie było właściwe. Bałam się, że kupi to ktoś naprawdę chory. Nie masz pojęcia, do czego byłam zdolna się posunąć, żeby pomóc ci po wypadku. A teraz jeszcze twój ojciec. Oddałabym wszystko, żeby przywrócić mu pamięć.

Calliope opowiedziała matce o dzisiejszej wizycie w Golden Sunsets, o tym jak ojciec wziął ją za swoją siostrę. Powiedziała jej o Amricie i jak zareagował na niego ojciec. Matka śmiała się i jakby odmłodziła. Calliope chciała zapytać ją o relacje ojca z Guyem, o to, jak długo matka podejrzewała, że woli mężczyzn, ale nie wiedziała, jak zacząć.

– Trzymają się za ręce – oznajmiła.

– Guy to dobry przyjaciel – odrzekła Bets.

Calliope chciała ją przycisnąć, zapytać o ich małżeństwo, o swoich braci, ale wiedziała, że matka ma wyjątkowy talent do trzymania sekretów. Gdy zacznie za bardzo drążyć, matka wstanie, odejdzie i zajmie się jakąś robotą. Ale coś w głosie Bets, gdy wspomniała o Guyu, powiedziało Calliope wszystko, co chciała wiedzieć. Jej matka była świadoma zmiany w zachowaniu ojca i Calliope zaczęła się zastanawiać, czy to w ogóle była zmiana. Bo cóż miał zrobić w latach czterdziestych mężczyzna, który wolał mężczyzn? Nie było parad, hymnów, poradników. Ubolewała nad faktem, że rodziców nie łączyła prawdziwa miłość, przeznaczenie i romans, a byli ze sobą jedynie dla wygody i pozorów.

– Amrit i ja kochamy się – oznajmiła nagle Calliope i od razu poprosiła matkę, żeby opowiedziała, jak poznali się z ojcem.

– Zawsze się znaliśmy. Wiesz przecież o tym.

– Ale musiał być moment, gdy popatrzyłaś na niego i uświadomiłaś sobie, że jest dla ciebie kimś więcej niż tylko pomocnikiem w gaju.

– Nie. Właśnie za to go kochałam. Zawsze był w pobliżu.

– Więc opowiedz mi o dniu, w którym ci się oświadczył. Wiedział, że się w nim zakochałaś?

Matka odwróciła się i spojrzała na dom.

– Anna będzie się zastanawiać, gdzie się podziewamy. Powinniśmy wracać.

Calliope chciała ponownie usłyszeć z ust matki historię, którą znała z dzieciństwa –

jak Frank porwał ją z gaju i zabrał na koniu niczym Lancelot Ginewrę. Jak pojechali nad rzekę, gdzie powiedział jej, że nie może bez niej żyć. Matka zawsze kończyła tę nadzwyczaj sentymentalną opowieść słowami, że wojna odebrała wszystkim rozum. Dorastająca Calliope zachwycała się tą historią i przekonywała samą siebie, że rodziców połączyło przeznaczenie. Wyolbrzymiała drobne gesty, na przykład gdy ojciec przynosił matce polne kwiaty i robił dla niej wianki.

Takiej miłości szukała przez całe życie, pragnęła w swoim małżeństwie. A teraz zaczynała podejrzewać, że była ona wyłącznie wytworem jej wyobraźni, że rodzice byli zaledwie przyjaciółmi, którzy założyli rodzinę. W uszach brzmiały jej słowa matki: Zawsze był w pobliżu.

Bets wstała i skierowała się w stronę domu. Calliope nie powiedziała jej jeszcze o swoim wyjeździe.

– Mamo – wybąkała i wybuchła płaczem.

– Deb sobie poradzi – powiedziała Bets. Wróciła do ławki i zaczęła głaskać Calliope po plecach. – Na pewno sobie poradzi. Powiedziałam jej o starych chatkach wujka Wealthy’ego w Górach Kaskadowych. Jestem pewna, że tam właśnie pojechała i po jakimś czasie będziemy mogli ją odwiedzić.

Po tym wyznaniu Calliope zaczęła płakać jeszcze bardziej. Głęboko wierzyła, że matka nie zna miejsca pobytu Deb i nic nie wiedziała o planowanej ucieczce. Im bardziej płakała, tym bardziej była zła na matkę. Zaczęła doskwierać jej noga i musiała wydmuchać nos w bluzkę. I wtedy wreszcie to powiedziała.

– Wyjeżdżam.

– Ależ dopiero co przyjechałaś – zdziwiła się Bets. – Nawet nie przywitałaś się z Anną.

– Nie. Wyjeżdżam z Kidronu. Dostałam dobrą ofertę na sklep, a Amrit chce, żebym zamieszkała z nim w Pittsburgu.

– Och.

Cisza nie wróżyła nic dobrego. Calliope pamiętała to z dzieciństwa. Gdy matka milczała, znaczy była zła i nigdy nie było wiadomo, co robi. Gdy Calliope powiedziała matce, że jej brat Jimmy ożenił się po kryjomu, Bets spojrzała na Franka, kiwnęła głową i zamknęła się w swoim pokoju na dwa tygodnie.

– Oczywiście będę was odwiedzać – powiedziała Calliope, ale nawet sama słyszała swoją nieszczerłość.

Matka spojrzała na nią i bez cienia emocji wycodziła:

– Przyjedziesz, ale tylko na pogrzeb.

**TAJNE**

**Nominacja do Nagrody Fundacji MacArthura 2007**



Zebrane przez: Redakcja

Proponowany kandydat: Amrit Hashmi

**Dziedzina badań:** Genetyka, a w szczególności geny odpowiedzialne za długowieczność. Badania mają na celu zapewnienie ludziom biologicznej nieśmiertelności.

**Lokalizacja:** Uniwersytet w Pittsburghu

Jest to dla nas pożądana lokalizacja, gdyż zapewnia zróżnicowanie dystrybucji nagród.

**Publikacje i nagrody:** W załączniku.

### **Przegląd badań**

Przez ostatnie dwadzieścia lat doktor Hashmi prowadził badania nad genetycznymi mechanizmami starzenia się i długowieczności. Początkowo przedmiotem jego badań była *Turritopsis nutricula*, popularnie zwana nieśmiertelną meduzą. W odpowiedzi na niekorzystne warunki środowiskowe *Turritopsis* potrafi odwrócić proces starzenia i z dojrzałej meduzy zamienić się w polip, który stanowi początkowe stadium rozwoju dla tego gatunku. W ten sposób meduza unika śmierci i może powtórzyć cykl wzrostu nieskończoną ilość razy. Zdolność ta, stanowiąca formę biologicznej nieśmiertelności, nie została zaobserwowana u żadnego innego gatunku.

Podczas gdy wielu innych badaczy w tej dziedzinie próbuje zrozumieć procesy starzenia się u niższych organizmów, doktor Hashmi jest jednym z nielicznych, którzy skierowali wysiłki badawcze na materiał genetyczny człowieka. W 2000 roku, gdy projekt rozszyfrowania genomu ludzkiego był na ukończeniu, doktor Hashmi poświęcił całą swą uwagę szukaniu genu (lub genów) długowieczności. Uważa on, że najszybszą drogą do zatrzymania procesu starzenia jest zrozumienie, czym różni się od ogółu populacji ten mały procent ludzi, którzy przekraczają dziesiątą dekadę życia w lepszej kondycji fizycznej i psychicznej niż trzydzieści czy czterdzieści lat młodsza większość. Hashmi rozpoczął zakrojony na światową skalę proces dokumentacji każdego człowieka, który dożył 110 lat. Naraził się na krytykę innych uczonych za wyłączenie z badań osób pomiędzy 100 a 110 rokiem życia, ale zebrane przez doktora Hashmiego dane wskazują, że postęp opieki medycznej w ostatnich dwudziestu latach sztucznie wyolbrzymił liczbę osób dożywających setnych urodzin. Postanowił skupić swoją uwagę na superstulatkach, co oznacza, że jego pole badań ogranicza się zaledwie do około tysiąca osób na świecie.

Ze względu na niewielką liczbę badanych i za namową Narodowego Instytutu Badań nad Procesami Starzenia, który współfinansuje badania, w zeszłym roku doktor Hashmi rozszerzył zainteresowanie na potomstwo superstulatków. Pozwoliło to na identyfikację markerów biologicznych, które kontrolują proces starzenia organizmu. Krążące w środowiskach naukowych plotki mówią, że Hashmi jest bliski znalezienia szczególnej sekwencji genów. W zeszłym roku rozpoczął badania studwunastoletniej kobiety

z północnej Kalifornii i jej potomstwa w linii żeńskiej. Jeden z asystentów doktora Hashmiego zdradził nam, że istnieją przesłanki, by sądzić, iż każda z kobiet jest nosicielem mutacji genetycznej, która zapobiega degradacji komórek w momencie podziału. U większości ludzi telomery, czyli fragmenty DNA występujące na końcach chromosomów, ulegają skróceniu z każdym podziałem komórki. Zespół doktora Hashmiego twierdzi, że u badanych kobiet proces ten nie występuje.

### **Zastosowanie badań**

Badania doktora Hashmiego odróżnia od innych badań w tej dziedzinie twierdzenie, że geny długowieczności nie tylko wydłużają życie. Uważa on, że w organizmach superstulatków zachodzą również inne mechanizmy chroniące ich przed śmiertelnymi chorobami, takimi jak rak, cukrzyca, otyłość i choroby serca. Dzięki genom długowieczności i innym cechom dziedzicznym superstulatków unikają tradycyjnie związanych ze starzeniem się procesów degradacyjnych: problemów ze słuchem, wzrokiem, uzębieniem, ruchomością stawów i mobilnością. Doktor Hashmi wiąże ze swoimi badaniami wielkie nadzieje, daleko wykraczające poza jego dyscyplinę naukową. Głęboko wierzy, że jego badania mogą zrewolucjonizować nie tylko leczenie ogólnych procesów degradacyjnych, ale również wielu chorób. Twierdzi, że za pięćdziesiąt lat jedynym zagrożeniem będą dla nas czynniki środowiskowe. W najbliższej przyszłości identyfikacja konkretnych genów pozwoli naukowcom wydłużyć ludzkie życie o około trzydzieści lat.

### **Kontrowersje**

Do tej pory badania nad długowiecznością nie zaowocowały stworzeniem żadnych konkretnych leków ani terapii genowych. Wysiłki doktora Hashmiego skupiające się na produkcji pewnego typu białek dają największe perspektywy na stworzenie terapii, chociaż wielu oponentów twierdzi, że podwyższony poziom owych białek w organizmach superstulatków może być jedynie efektem ich długowieczności. Mimo to nikt inny nie wysunął alternatywnego wytłumaczenia dotyczącego zwolnienia procesów starzenia u superstulatków. Doktor Hashmi odpowiada oponentom, że dzieci superstulatków również dożywają sędziwego wieku, co stanowi dowód na związek genetyczny.

Oprócz kwestii naukowej precyzji istnieją etyczne i praktyczne kwestie związane z wydłużaniem ludzkiego życia. Wydłużenie życia o zaledwie dwadzieścia lat to dodanie kolejnego pokolenia do światowej populacji. Z drugiej strony musimy jednak pamiętać, że zaledwie dwieście lat temu średnia długość życia ludzkiego wynosiła tylko czterdzieści pięć lat. W dzisiejszych czasach większość mieszkańców krajów rozwiniętych ma szansę przeżyć dwa razy tyle. Wydłużenie średniej długości życia było wynikiem postępu naukowego w produkcji żywności, wprowadzenia szczepień, antybiotyków i lepszego

zrozumienia organizmu ludzkiego. Badania doktora Hashmiego stanowią naturalne poszerzenie naukowych horyzontów. Tak jak ludzkość przez ostatnie dwieście lat zaadaptowała się do nowych realiów, kolejne pokolenia przystosują się do jeszcze dłuższej przeżywalności. Należy również wziąć pod uwagę, że każdy teoretycznie sprzeciwia się pomysłowi wydłużenia ludzkiego życia, aż do momentu, gdy staje przed perspektywą utraty kogoś bliskiego lub musi stawić czoło własnej degeneracji.

### **Notka personalna**

Urodzony w Indiach Amrit Hashmi mieszka w Stanach Zjednoczonych od 1940 roku, gdy jego ojciec znalazł zatrudnienie w Oak Ridge w ramach eksperymentów nuklearnych. W 1949 roku wraz z rodzicami uzyskał obywatelstwo amerykańskie, chociaż zatrzymał indyjski paszport i często odwiedza dalszą rodzinę w Indiach. Jego pierwsze małżeństwo było zaaranżowane. Nie ma dzieci, a jego żona zmarła ponad dziesięć lat temu.

Doktor Hashmi jest dynamiczną mową, zafascynowaną tematyką swoich badań. Niektórych naukowców odstrasza jego absolutna pasja do przedmiotu badań. W wolnym czasie działa jako wolontariusz w organizacji młodzieżowej w Pittsburghu, ucząc młodzież z rodzin dysfunkcyjnych puszczać latawce. Jeden z członków tej organizacji powiedział nam, że parę lat temu Hashmi przygotował program zajęć pozalekcyjnych, które wyjaśniały podstawy geometrii i postrzegania przestrzennego poprzez budowę latawców.

Osobiście uważam, że badania doktora Hashmiego są nie tylko fascynujące, ale poszerzają horyzonty nauki. Dziedzina jego badań jest stosunkowo nowa w porównaniu z niektórymi tradycyjnymi dyscyplinami, ale być może właśnie z tej wcześniej niedocenianej dziedziny narodzą się zmiany, które zrewolucjonizują społeczeństwo. Do tej pory genetycy zdołali wydłużyć życie w laboratorium, nie znając specyficznych mechanizmów starzenia. Uważam za godne podziwu, że doktor Hashmi próbuje wykorzystać te same techniki u ludzi.

### **Rekomendacja**

Doktor Hashmi powinien otrzymać nagrodę Fundacji MacArthura w ciągu najbliższych trzech lat.

**CZEŚĆ PIĄTA**  
**Drugie pokolenie**  
**Bets pod koniec lata**

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## Zaufanie

Elizabeth nie lubiła, gdy nazywano ją Bets, ale czasem zdrobnienia i przezwiska przyklejają się do człowieka i nic nie można na to poradzić. To pomysł dziadka Percy'ego, który nazywał ją Mini Bets, gdyż przez długi czas była o wiele niższa niż wszystkie inne dzieci. O tym właśnie rozmyślała Elizabeth, pochylając głowę pod gałęziami, gdy wracała do Hill House. Przeżyła tu całe osiemdziesiąt dziewięć lat i w przeciwieństwie do innych, nigdy nie miała ochoty wyjeżdżać. Czuła hulające po gaju podmuchy letniej bryzy poruszające srebrzyste liście. Była roztrzęsiona po kłótni z Callie. Córka musiała poznać jej sekret. Ten jej doktorek naruszył tajemnicę lekarską i wszystko jej wypaplał. Nie powinna była mu ufać.

Oparła się o balustradę ganku. W domu Anna grała na pianinie jeden z koncertów Mozarta, a Erin nuciła. Dziecko leżało cicho, tylko w chwilach, gdy muzyka stawała się głośniejsza, gruchało radośnie. Śmiech malucha wywoływał z kolei szczekanie psa. Nie zdawały sobie sprawy ze skrywanych przez Elizabeth tajemnic, nie tylko jej własnych, ale także tych powierzonych przez innych. Zachowywała sekrety wyjawiane przez rodzeństwo i przyjaciół – sympatie, drobne kradzieże – a jej pierwsza wielka tajemnica nadeszła latem, gdy miała czternaście lat i Mims wyjawiała jej prawdę o Annie. To Mims uczyniła z niej strażniczkę sekretów, dostrzegła, że wnuczka wygląda na osobę godną zaufania – z symetrycznie osadzonymi okrągłymi oczami, których kąciki gładko zlewały się z wysokimi kośćmi policzkowymi, i głosem tak delikatnym i cichym, że niewiele osób ją słyszało.

Przejechała rękami po poręczy i kawałek drewna wbił się jej w dłoń. Usiadła w bujanym fotelu i zaczęła skubać paznokciem drzazgę, rozmyślając o Mims i jej wyznaniu, kim naprawdę była Anna. Od czasu śmierci babki minęły dwa życia, ale Elizabeth odczuwała jej obecność zarówno teraz, jak i podczas kłótni z Callie. Wiedziała, że przyjazd doktora Hashmiego oznacza koniec sekretów i wielkie zmiany. Elizabeth nie była gotowa ani na jedno, ani na drugie. Ze złością wydlubywała drzazgę, aż rozdrapała dłoń do krwi.

Gdy stało się jasne, że Mims umiera, ojciec przywołał Elizabeth z gaju, żeby zaopiekowała się babcią. Było to latem, kiedy zaczął nazywać ją Bets. Teraz rozumiała, że była to z jego strony próba powstrzymania jej dorostania, bo w lipcu matka zabrała ją do domu handlowego w Red Bluff, po – jak to określiła – kobiece ubrania.

Mims była grubą kobietą, ale tego lata straciła ponad dwadzieścia kilogramów i skóra

wisiała na niej jak prześcieradła na sznurku. W oczach Elizabeth sprawiała wrażenie bardzo starej, pomarszczona i szara, jak obecnie Anna, chociaż nie mogła mieć więcej niż sześćdziesiąt trzy lata. Kąpiąc ją, Elizabeth musiała odciągać płaty skóry na ramionach, żeby umyć między nimi. Przypominało jej to mycie oskubanych kurczaków. Obie odwracały w tych momentach wzrok. W innych chwilach, gdy czytała jej z Księgi Tobiasza lub Księgi Estery, czuły się jak konspiratorki. Mims pochodziła z rodziny irlandzkich katolików, ale została metodystką, jak jej mąż. Pierwszej nocy poprosiła Elizabeth, aby poszła do Lindseyów i pożyczyła Biblię. – Potrzebuję odrobiny wiary mojego dzieciństwa – tłumaczyła się wnuczce.

Pewnej nocy, gdy zamknęły się oczy babki i Elizabeth wstała, żeby wrócić do swojego pokoju, Mims jęknęła. Elizabeth usiłowała ją uspokoić, ale babka była coraz bardziej pobudzona, aż w końcu powiedziała:

– Twoja matka nie jest moją córką.

Opowiedziała jej całą historię. O życiu w Australii i o tym, jak pewnej nocy, gdy musieli uciekać, jej mąż wyznał, że spał z kobietą, która przychodziła do miasteczka pomagać przy praniu. Dziecko Aborygenki, piegowata czterolatka, było jego córką.

– Nie chciał opuścić Brisbane bez dziewczynki – powiedziała Mims. – Stałam i patrzyłam, jak zabiera Annę z ramion matki, i pamiętam, że ścisnęłam mocniej moje dzieci, jakbym się obawiała, że też zostaną odebrane.

Elizabeth zastanawiała się, czy jej matka wie. Studiowała twarz Anny i nie dostrzegła żadnego podobieństwa do Mims. Skóra Anny miała kolor kory oliwnego drzewa, a jej czarne włosy były tak sztywne, że trudno było je spiąć. Ruchy i gesty odziedziczyła po ojcu, ale zamiast jego pucułowatych irlandzkich policzków, policzki Anny rozciągały się od oczu po brodę, a wydatne usta sprawiały, że gdy była zła, wyglądała jak buldog. Jej oczy kształtem przypominały oczy ojca, ale były żółtobrazowe, nie niebieskie. Elizabeth wiedziała, że wygląda jak matka; miała nieco jaśniejszą skórę i łatwiejsze do poskromienia loki, ale były bardzo podobne, szczególnie teraz, gdy zaczęła nabierać kobiecych kształtów.

Wymęczona chorobą Mims dopowiadała jej historię Anny po kawałku. Elizabeth nie wiedziała, co zrobić z tym sekretem. Obawiała się dziadka, którego zawsze postrzegła jako człowieka surowego. Gdy dowiedziała się, że zabrał Annę prawdziwej matce, przestała z nim rozmawiać, chociaż wydawał się nie zauważać, że zamiast mówić „tak, dziadku”, kiwała jedynie głową. Pewnego popołudnia, gdy pomagała matce ugniatać ciasto, zapytała ją o jej dzieciństwo w Australii.

Anna świetnie radziła sobie w kuchni.

– Pamiętam, że chciałam stamtąd wyjechać. Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć

o kangurach i innych torbaczach, musisz zapytać wujka Wealthy'ego.

Przycisnęła Annę i zapytała o jej pierwsze wspomnienia z Mims. Matka wydeła usta i złożyła ciasto na pół.

– Nie płakała. Na statku do Ameryki nie płakała nawet, gdy urodziła martwego chłopca, którego owinięto w płótno i wyrzucono za burtę. Ojciec płakał, ale Mims nie.

– Ależ Mims bez przerwy płacze – zauważyła Elizabeth. Poruszyło ją, że w opowiadaniu matki wyczuła nutkę satysfakcji.

– Zestarzała się – odrzekła matka i machnęła ręką. – Gdy zbliżasz się do kresu życia, zaczynasz wielu rzeczy żałować. Za młodu nie masz czasu na łzy.

W tym momencie do kuchni wszedł ojciec Elizabeth.

– Ty kalwinko – powiedział, obejmując żonę w talii. Anna zeszywniała, po czym na chwilę oparła głowę na jego ramieniu. – Chyba nie mówisz mojej małej dziewczynce, żeby dorosła. Zachowaj te gadki dla chłopców. Zdaje się, że jeden z twoich synów płakał dziś rano z powodu drzazgi.

– Oj, cicho – odrzekła Anna, posypując go mąką.

Mims zmarła w lipcu. To na jej pogrzebie Elizabeth chciała porozmawiać o sekrecie z wujkiem Wealthym. Był sześć lat starszy od Anny, więc musiał być na tyle duży, że pamiętałby nagłe pojawienie się w rodzinie czterolatki.

Wealthy spekulował.

– Staram się żyć w zgodzie z imieniem <sup>[4]</sup>– mówił, gdy ktoś pytał o jego aktualny pomysł. Skupował i sprzedawał ziemię, usiłując przewidzieć trasę linii kolejowych, a obecnie przebywał w Teksasie, poszukując złóż, które pozwolą mu przejść na emeryturę.

Na pogrzeb przyjechał w największym kapeluszu, jaki Elizabeth kiedykolwiek widziała. Nosił wąsy, a jego rude włosy zaczynały siwieć. Zabawiał dzieci, robiąc na ścianie domu w Kidronie teatrzyk cieni. Elizabeth nie wiedziała, jak zapytać go o matkę. Bała się, że pytając wprost, zdradzi sekret, więc krążyła wokół tematu, tak jak z Anną. „Opowiedz mi o Australii. Jakie jest twoje najwcześniejsze wspomnienie mamy? Co robiliście na statku?”

Drugiego dnia pobytu Wealthy zapytał, czy chce wybrać się na przejażdżkę. Jej ojciec trzymał parę koni na czas, gdy drogi stawały się zbyt błotniste, więc osiodłali dwie klacze i pojechali nad rzekę. Jadąc, rozmawiali o tym, jak różne są krajobrazy okolic Kidronu i w Teksasie, i Wealthy próbował ją nauczyć paru słów po hiszpańsku. Dojechawszy nad rzekę, zatrzymali konie. Nie patrząc na Elizabeth, zapytał:

– Co ci powiedziała Mims?

– Że nie jest matką Anny.

– Myliła się. Mims była w każdym calu matką dla Anny.

Elizabeth z trudem dobierała słowa.

– Powiedziała, że dziadek ukradł Annę prawdziwej matce.

Wealthy westchnął.

– Nie wiem, czy ją ukradł, ale z pewnością postąpił źle. Powinien przywieźć tę praczkę razem z nami, zapłacić za jej podróż do Ameryki.

– Nie wiem, co robić – wyznała Elizabeth.

– Zapomnij o tym. Fakt, że Mims nie była twoją babcią, niczego nie zmienia.

– Czy mama wie?

– Wie i nie wie. – Wealthy zszedł z konia i zaprowadził go nad rzekę, żeby napił się wody. Woda w rzece była w tym czasie błotnista. Nie było jeszcze tam i zbiorników retencyjnych, które zatrzymywały spływający z Shasty szlam.

Dopiero po wielu latach Elizabeth zrozumiała słowa wujka. Wealthy nigdy nie wypełnił zawartego w imieniu przeznaczenia, ale za każdym razem, gdy zarobił większe pieniądze, zanim włożył je w nowy interes, dokupywał parę akrów do rodzinnej ziemi w Kidronie. Do czasu gdy Elizabeth wyszła za mąż, a jej bracia wyruszyli na poszukiwanie szczęścia w świat, rodzina posiadała wystarczająco dużo ziemi, żeby poczuć się bezpiecznie. Wealthy zmarł w 1943 roku, poszukując złota na Alasce. Po jego śmierci dwóch braci i kilku bratanków Elizabeth wyruszyło na zachód Alaski dokończyć jego dzieło. Miesiąc później Elizabeth dostała pocztą naszyjnik z samorodkiem złota, który wyglądał jak stwardniała owsianka.

Dłoń Elizabeth przestała krwawić, ale cały czas tkwił w niej kawałek drewna. Odpięła naszyjnik, który nosiła przez całe życie, i zważyła go w dłoni. Do prezentu nie był dołączony żaden list, i Elizabeth, obracając go w dłoni, zrozumiała, że była to zapłata za dochowywanie sekretów.

---

[4] Wealthy znaczy bogaty, zamożny.



# ROZDZIAŁ DRUGI

## Bunyip

Dźwięk kół na żwirze wyrwał Elizabeth ze wspomnień. Za szybą samochodu dostrzegła zmierzwiłone czarne włosy i okrągłą twarz genetyka. Kątem oka zobaczyła wyłaniającą się z gaju Callie, która szła w kierunku samochodu. Pianino ucichło, a Elizabeth przeszył dreszcz paniki. Przez ostatnie parę miesięcy nie chciała myśleć o tym, co odkryje doktor Hashmi we krwi jej i jej dzieci, ale na widok genetyka ogarnął ją strach. Musi z nim najpierw porozmawiać sam na sam. Szybko zeszła ze schodów i pomachała, żeby się zatrzymał.

Otworzył okno.

– Wygląda pani na podekscytowaną – powiedział.

– Nie. Zanim podzieli się pan swoimi odkryciami ze wszystkimi, musimy porozmawiać. Czy moglibyśmy gdzieś pojechać? Albo porozmawiać w samochodzie? – Elizabeth podeszła od strony pasażera i wsiadła.

W tej samej chwili do samochodu podeszła Callie.

– Co robisz, mamó?

– Doktor zapomniał jakichś dokumentów z motelu, a ja potrzebuję trochę świeżego powietrza. Poprosiłam, żeby zabrał mnie na przejażdżkę. – Elizabeth pokazała doktorowi, żeby wycofał, i pomachała córce i matce, która wyszła tymczasem na ganek.

– Zaraz wrócimy – powiedział doktor Hashmi i skinął w stronę Callie.

Nie odzywali się, aż wyjechali na główną drogę.

– Gdzie jedziemy? – zapytał doktor.

– Nigdzie, wszystko jedno. Dwie mile stąd jest taki zjazd, o którym prawie nikt nie wie. Pokażę panu, gdzie skrócić – powiedziała Elizabeth. Znowu zaczęła krwawić jej ręka i wytarła ją w szare spodnie. Zaparkowali pod dębem. – Kiedyś był tu sad, ale jakiś głupiec stwierdził, że taniej będzie co roku wycinać drzewa, zamiast przycinać gałęzie.

– Nie wyszło?

– Zbankrutował. Drzewka nie odrastały tak szybko, jak myślał.

Otworzyła swoje okno i odsunęła do tyłu fotel, by rozprostować nogi. Doktor Hashmi sięgnął w głąb samochodu, wyjął z teczki jakieś papiery i zaczął je przeglądać.

– Zapewne chodzi pani o badanie krwi – zaczął.

Przerwała mu w pół zdania.

– Słyszał pan kiedyś o bunyipie?

Pokręcił głową. Elizabeth wyciągnęła nogi i oparła je o tablicę rozdzielczą.

– Gdy byliśmy dziećmi, mama straszyla nas stworem o skórze foki i paszczy krokodyla. Mówiła, że ukrywa się w wodzie. Zanim urosły mi piersi, przychodziliśmy tu popływać w okolicznych sadzawkach. Były cholernie zimne. – Wyrzała przez okno i wskazała na małą polankę za dwoma dębami i paroma pniami. – O tam jest jedna. Nazywano je wtedy wiosennymi oczkami.

– Tak, słyszałem o nich. Pojawiają się na wiosnę, gdy topnieją śniegi – odrzekł doktor Hashmi. Nie pospieszał jej, jedynie skinął głową, żeby mówiła dalej.

– Nigdy nie wchodziłam do wody. Przychodziłam tu z braćmi, patrzyłam, jak rozbierają się do bielizny i skaczą, drąc się wniebogłosy. Sama bałam się wejść, bo wiedziałam, że gdy tylko wetknę palec do wody, dopadnie mnie bunyip.

– Z pewnością nie ma takiego stworzenia – powiedział cicho doktor.

– Nie. Nie, to wymyślony potwór, o którym mama słyszała w dzieciństwie. Tylko że gdy się starzejesz, gdy masz tyle lat co ja, żałujesz, że nie istnieją. Teraz zagrażają mi potwory, które sama stworzyłam.

– Nie jest aż tak źle – powiedział doktor.

Elizabeth chciała mieć to już za sobą. Spojrzała na doktora i wygłosiła kwestię, którą przygotowywała, od chwili, gdy przyjechał pobrać jej krew:

– Odkrył pan mój sekret. – Nie zabrzmiało to tak zabawnie i lekko, jak myślała. Z trudem powstrzymywała łzy, a jej słowa padały jak kamienie do jeziora. A każde wywoływało swą własną falę.

Wręczył jej kartkę papieru z wypisanym na górze imieniem Callie.

– W ramach naszych badań przeanalizowaliśmy DNA pani rodziny nie tylko pod kątem długowieczności, ale staraliśmy się także pogrupować próbki pod względem podobieństwa. Chciałem zobaczyć, czy fakt pokrewieństwa z Anną wpływa na wynik. Testy te badały również ojcostwo. Żeby określić ojcostwo, badamy piętnaście markerów DNA. – Wskazał liczby na karcie Callie i odczytał cyfry, które nazwał allelami, oraz objaśnił jej pojęcie locus. Elizabeth nie słuchała.

Wiedziała, o czym mówił. Callie była córką jej i Franka. Cztery lata trwało, zanim się poczęła. Przez cztery lata Elizabeth leżała w łóżku, modląc się, żeby jej mąż zechciał jej dotknąć. Pragnęła dużej rodziny – takiej, w jakiej dorastała. Ale Frank nie pragnął jej, nie mógł na nią patrzeć, gdy byli razem w łóżku, kazał jej odwracać się tyłem, a po tym, jak ze sobą spali, płakał.

Genetyk wyciągnął kartki z imionami jej synów. Matthew, John, Mark i Luke. Czterej ewangelisci. Ich imiona były przeprosinami dla Boga. Wszyscy czterej wysłali doktorowi Hashmiemu próbki krwi.

– Zebranie próbek od wszystkich bezpośrednich potomków Anny zajęło najwięcej

czasu – wyjaśnił doktor i zamilkł na chwilę. Po czym dodał: – Ich próbki wykluczają ojcostwo Franka i, co dziwniejsze, wskazują z ogromnym prawdopodobieństwem, że każdy z pani synów ma innego ojca.

Co on o mnie musi myśleć? Elizabeth spojrzała na doktora, który skupił uwagę na pstrykaniu długopisem.

– Czy możemy im o tym nie mówić?

Doktor odchrząknął.

– Z mojego doświadczenia wynika... – Przerwał i sięgnął po jej dłoń.

– Bets. To zdarza się dużo częściej, niż pani myśli. Mogę zachować pani sekret i jeśli żaden z pani synów ani ich dzieci nie zna się na genetyce, tajemnica pozostanie bezpieczna. Zastanawiam się tylko, czy już się czegoś nie domyślają. Chodzi mi o to, że prawdopodobieństwo, że pani i Frank będziecie mieć niebieskookie dziecko, jest znikome, a pani ma trzech synów z niebieskimi oczami.

Przerwała mu.

– A więc pan im nie powie?

Pokręcił głową.

– Ale gdyby to o mnie chodziło, wolałbym wiedzieć o bunyipie.

– Nie nienawidziłyby pan jej?

– Kogo?

– Swojej matki?

Wzruszył ramionami.

– Nienawiść kiedyś minie.

– Nie mam czasu, żeby na to czekać.

– Ma pani więcej czasu ode mnie. – Doktor Hashmi objął ją i wyszeptał jej do ucha: – Niech im pani powie.

Otworzyła drzwi samochodu i wyszła na pole. Szła po suchej trawie, a przed nią skakał konik polny.

– Proszę dać mi chwilę – zawołała do doktora.

Pomachał do niej ręką, oparł się i zamknął oczy.

Elizabeth żałowała, że nie może porozmawiać z Frankiem. Gdybyż choć na moment odzyskał władze umysłowe, żeby mogli szczerze pomówić o tym, co zrobiła, o tym, co pozwolił jej zrobić. Pomyślała o swoich chłopcach i wiedziała, że jeśli odważy się im powiedzieć, wybaczą jej.

Droga powrotna do Hill House była stanowczo zbyt krótka. Callie siedziała na stopniach ganku i nogą rysowała litery na żwirze. Elizabeth pozwoliła, aby doktor Hashmi wysiadł pierwszy. Pochylił się i wyciągnął rękę do Callie. Przygarnął ją do siebie,

aż się zachwiała i wpadła w jego ramiona. Przez parę sekund pozostawali w uścisku i coś sobie szeptali. Nie, córka nigdy jej nie wybaczy. Lojalność była dla Callie najważniejsza i niezależnie od przyczyn, nie zaakceptowałyby niewierności Elizabeth.

– Lepiej się czujesz? – zapytała Callie, wyciągając rękę.

Uśmiechała się i napięcie, które istniało między nimi od ucieczki Deb, ulotniło się. Od czasów dzieciństwa jej córka nie była tak otwarta i pozytywnie nastawiona i po raz tysięczny Elizabeth zaczęła się zastanawiać, jak potoczyłoby się życie Callie, gdyby ten cholerny pilot nie postanowił popełnić samobójstwa, wlatując w zbocze góry. Objęła ją i wdychała zapach jej włosów, pachnących lawendą i miejscową ziemią.

– Za ciasno. Ufff – powiedziała Callie i wyrwała się z objęć, ale przez krótką chwilę Elizabeth czuła, że jej córka odwzajemnia uścisk.

Nie była dobrą matką dla Callie. Nawet przed wypadkiem nie traktowała jej tak, jak powinna. Uważała, że musi zostawić ją Frankowi, pozwolić mu ukształtować ją, jak tego zapragnie. Oboje wiedzieli, jak głęboko Frank przeżywa fakt, że inne dzieci nie będą jego. Jej mąż był przesądny i nauczył Callie wszystkich swoich rytuałów. Frank zawsze podziwiał rodzinę Elizabeth. Z niedowierzaniem patrzył, jak zbierają plony w latach, gdy jego rodzinne sady nie rodziły. Widział, że Anna nie poddaje się upływającemu czasowi, podczas gdy jego matka traciła rozum. Teściowa Elizabeth nie zmarła ze starości, ale dlatego że wpadła do studzienki irygacyjnej, gdy wałęsała się w środku nocy, i dostała zapalenia płuc.

Callie była córką Franka, podczas gdy chłopcy byli synami Elizabeth. Wobec obojętności ojca Elizabeth wychowywała ich po swojemu. Latem wysyłała ich do wujów – pracowali na ranchu Phila we wschodnim Oregonie i na rybackiej łodzi Joego, którą trzymał w małym porcie w północnej Kalifornii.

– Dziwnie wyglądasz – zauważyła Callie.

– Właśnie myślałam o twoich braciach.

– Są teraz na innych etapach życia. Pamiętasz ten rok, gdy wszyscy zostali ojcami?

Kiedy to było? W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku urodziło im się w sumie troje dzieci. Bez przerwy do ciebie wydzwaniali – z pytaniami o porady, żeby się upewnić, czy właściwie postępują. Niedługo ich zobaczysz.

– Trudno było mi z nimi rozmawiać po ucieczce Deb. Nienawidziłam tych telefonów, bo nigdy nie wiem, jak mam z nimi rozmawiać o tobie albo o ich siostrzenicy, i to zawsze wytwarza między nami dystans – powiedziała Elizabeth, nie zdając sobie sprawy, że porusza drażliwy temat.

Callie zmarszczyła brwi.

– Nikomu nic do tego, gdzie jest Deb albo dlaczego uciekła, a szczególnie moim

braciom. Nigdy nie byli dla niej – dla nas – zbyt mili.

Jak szybko ulotniło się szczęście, które przed chwilą emanowało z Callie?

– To nieprawda, po prostu myślą o tym co najlepsze dla...

– Nikt nie przejmuję się tym, co byłoby najlepsze dla mnie. Wszyscy obwiniacie mnie za to, co zrobiła Deb. Wiem, że według nich to moja wina. Wiesz, że ani Mark, ani Matt nigdy nie przysłali mi kartki z podziękowaniem za prezenty, które wysyłałam im na urodziny czy z okazji ukończenia szkoły? W skserowanych listach świątecznych co roku chwala się tylko, jak wspaniałe są ich dzieci. Które skończyło studia, kto został burmistrzem, ile razy przepłynęli dookoła Afryki. Są tacy sami jak ty – uważają, że najlepsze, co mogła zrobić Deb, to zniknąć. Uciec od swoich problemów i zostawić nas z własnymi.

– Decydując się na ucieczkę, spaliła za sobą mosty. Jeśli ją znajdą, spędzi w więzieniu resztę życia.

Doktor Hashmi odchrząknął.

– Na to właśnie zasługuje – z niezachwianą pewnością oznajmiła Callie.

– Może powinniśmy wejść do domu? – zasugerował doktor.

– Nawet Erin tak nie myśli. A to ona mogłaby wygłosić taką opinię – powiedziała Elizabeth.

Elizabeth i Callie starały się utrzymywać dobre stosunki ze względu na Erin. Przywołanie jej imienia zakończyło kłótnię. Obie wiedziały, że złość niczemu nie służy, i lepiej będzie, jak zmienią temat.

Callie objęła doktora w pasie i weszli po schodach. Idąc oparta o Amrita, nie kulała tak bardzo i Elizabeth dostrzegła, że jej córka rozluźnia się, gdy wchodzili wszyscy razem do domu.

# ROZDZIAŁ TRZECI

## Odkrycie

Gdy doktor Hashmi i Callie weszli do salonu, zapadła długa, niewygodna cisza, po której nastąpił wybuch aktywności. Przyniesiono z kuchni ciastka i herbatę, po czym kobiety porzysiadały się wokół doktora, który miał ze sobą dużą torbę i komputer.

– Uczynię was sławnymi – powiedział, zacierając ręce. – Czy wiecie, co powoduje, że się starzejemy?

– Czas – odpowiedziała Elizabeth.

– Tak, ale nie tylko – odrzekł doktor.

Callie pospieszyła z odpowiedzią, na którą czekał.

– Degeneracja.

Uśmiechnął się i Elizabeth nabrała pewności, że zainteresowanie doktora jej córką daleko wykracza poza naukową ciekawość. Gdy po raz pierwszy z nim rozmawiała, godzinami opowiadał o biologii starzenia się. Interesowały go głównie geny długowieczności. A raczej teoria, że to geny kontrolują proces starzenia się. Rozłożył sztalugi i wyjął z torby kilka dużych plansz.

Z nieukrywaną radością zaprezentował pierwszą planszę. Bobo rzucił się na sztalugi, doktor przytrzymał planszę, a Anna przywołała pupila do nogi, podczas gdy Elizabeth zastanawiała się, czy doktor zdaje sobie sprawę, że obrazek z rzędami kolorowych słupków nic im nie mówi. Wskazał na małą sekcję przy końcu wykresu.

– To mutacja Anny – wyjaśnił, zakreślając ją wskaźnikiem. – Wszystkie ją macie.

Calliope klasnęła w ręce. Elizabeth wraz z resztą rodziny milczały. W końcu Callie odważyła się zadać pytanie:

– Co oznacza ta mutacja?

– Wszystko – odrzekł. – Jesteście podatne na środowiskowe czynniki powodujące starzenie, ale nie na genetyczne.

– Ale co to znaczy? – zapytała Anna. Drżała lekko, więc Elizabeth sięgnęła przez stół i chwyciła ją za rękę.

– Niech pani unika słońca, zdrowo się odżywia, ćwiczy, a może pani zostać pierwszą osobą, która dożyje stu pięćdziesięciu lat – powiedział doktor.

– Nie chcę żyć wiecznie – wtrąciła Elizabeth.

– Cóż, pewnie pani nie będzie – odrzekł doktor Hashmi. Czuł na barkach ciężar ich poprzedniej rozmowy i potrząsnął głową, żeby pozbyć się tych myśli. – Chciałem jedynie powiedzieć, że w odpowiednich warunkach ktoś obdarzony taką mutacją, unikając

wszystkich szkodliwych substancji, potencjalnie mógłby się nie starzeć. Wy – popatrzyl na wszystkie zebrane w pokoju kobiety – wszystkie byłyście narażone na...

– ...świat – dokończyła Erin. Mocno trzymała dziecko, jakby chroniła je przed doktorem Hashmim.

– Co ciekawsze, mutacja ta występuje jedynie u kobiet, a córka może ją odziedziczyć tylko po matce. Tak więc mały Keller będzie miał normalną długość życia, ale wszystkie twoje córki mogą liczyć na nieśmiertelność. Szczególnie teraz, gdy odkryliśmy ten gen.

Sięgnął po ciastko i przez dłuższą chwilę delektował się herbatą. W pokoju zapadła cisza; każda z kobiet rozmyślała nad słowami doktora. Elizabeth zacisnęła dłonie. Nie mogła spojrzeć na córkę ani na matkę, która z pewnością przyjęła tę rewelację inaczej niż ona. Erin odwróciła się do wszystkich plecami i karmiła dziecko.

Jako pierwsza odzyskała głos Anna i zaczęła zarzucać doktora pytaniami o mutację, skąd się wzięła i jak dalej będą wyglądać badania doktora i jego zespołu.

– Mutacja pochodzi od matki Anny, a przedtem zapewne od babki. Wiemy, że to nie jest nowa mutacja, musiała zajść setki lat temu – wyjaśniał doktor, obrazując swe słowa kolejnymi planszami. Słuchając rozmowy matki z doktorem, Elizabeth zrozumiała, że Anna nie przyjęła do wiadomości, że Mims nie była jej matką.

Odchrząknęła i powiedziała:

– Mutacja nie pochodzi od Mims.

– Oczywiście, że pochodzi – odrzekła Callie. – Mamo, to logiczne. Ja dostałam gen po tobie, ty dostałaś go od Anny, a Anna od swojej matki, Mims.

– Nie – zaprzeczyła Elizabeth.

Pies wspinał się na Annę i lizał ją po policzku. Zepchnęła go i spojrzała na córkę.

– To nie ma znaczenia, nie sądzisz? Nic nie wiemy na pewno.

Doktor Hashmi bez problemu zrozumiał ich rozmowę. Spodziewał się takiego rozwoju wypadków.

– W pani DNA znaleźliśmy pewne markery, niezwykle dla kogoś pochodzącego z zachodniej Europy.

– Może aborygeńskie? – zapytała Elizabeth. – Czy obraz naszego DNA byłby bardziej logiczny, gdyby Anna nie miała krwi irlandzkiej?

– Ojciec pochodził z Irlandii – rzekła Anna.

– O czym wy mówicie? – wtrąciła się Callie. Zwróciła się do doktora. – Amrit, o co im chodzi? To o tym nie chciałeś mi powiedzieć? To dlatego powiedziałeś, żebym zapytała matkę o jej sekrety?

Elizabeth spojrzała na doktora, prosząc wzrokiem, aby nie wyjawiał innego sekretu. Potem zwróciła się do Anny.

– Mamo, wiesz o tym? Wiesz, że Mims nie była twoją matką?

Anna się uśmiechnęła.

– Czasami nawet najbardziej nieprawdopodobne opowieści zawierają ziarno prawdy.

Mój brat ci powiedział? Wiedziałaś i nie wiedziałaś. – Zamknęła oczy i oparła się na krześle. Erin i Callie nerwowo szeptały z doktorem, szukając u niego potwierdzenia.

Elizabeth dotknęła ramienia Anny.

– Opowiedz nam swoją historię.

– Więc przynieś mi coś mocniejszego niż herbata – powiedziała Anna, stawiając Boba na podłodze. Pies powęszył u jej stóp, po czym podreptał na swoje posłanie i ułożył się do snu.

Erin poszła do szafy, gdzie trzymały zawiniętą w zimowej pościeli butelkę szkockiej.

Gdy wróciła, naląła po trochu wszystkim z wyjątkiem doktora, który odmówił.

Anna opowiedziała im swoją historię. Powiedziała, jak bardzo nienawidziła ojca za to, że ją zabrał, i jak ogromna miłość Mims pozwoliła jej pogodzić się z losem. Opowiedziała, jak pamięta swoją matkę – wysoką dziewczynę z zakurzoną chustką na głowie.

– W nocy, przed zaśnięciem, bardzo staram się przypomnieć sobie jej twarz, ale bez skutku. Myślę, że musiała mieć brązowe oczy i nos taki jak mój. – Anna podniosła dłoń i przejechała palcami po swojej twarzy, po pełnych policzkach i poklepała palcem szeroki, trójkątny nos. Jej dolna warga była znacznie szersza niż górna i czasem, gdy rozluźniła twarz, wyglądała, jakby wydymała usta.

Słuchając zwierzeń Anny, doktor Hashmi przysiadł na rękach. Elizabeth pomyślała, że wygląda, jakby siedział na zbyt wąskim krześle, a za każdym razem, gdy Anna robiła przerwę w opowieści, poruszał ustami, jakby zamierzał coś powiedzieć. W końcu, gdy Anna opadła na krzesło, a Callie i Erin zadały wszystkie pytania, jakie im przyszły do głowy, doktor wstał i przeszedł przez pokój.

– Pani matka może jeszcze żyć – powiedział.

Anna pokręciła głową.

– Chyba musiałyby się zdarzyć cud.

– Nie chciałabyś się dowiedzieć? – Erin podeszła do Anny i uklękła przy jej krześle.

Elizabeth widziała w jej oczach, że podziela opinię doktora. Zawsze była pełna nadziei, przekonana, że wszystko, co najlepsze, jest jeszcze przed nią. To dlatego tak usilnie walczyła o zwolnienie matki i Elizabeth już wiedziała, że jej prawnuczka znalazła nowy cel.

– Ależ ja... ja prawie nic o niej nie wiem – powiedziała Anna.

Elizabeth próbowała przypomnieć sobie, co powiedział jej Wealthy ponad sześćdziesiąt lat wcześniej.



– Twój brat powiedział, że rodząc cię, nie mogła mieć więcej niż czternaście lat.

Powiedział, że twoi rodzice zatrudnili ją do pracy z sierocińca, a nigdy nie brali starszych dziewcząt. Rok po tym była w ciąży.

– To by znaczyło, że ma tylko około stu dwudziestu ośmiu lat.

– Nikt tak długo nie żyje – powiedziała Elizabeth, zastanawiając się, jak zniosłaby kolejne trzydzieści lat.

– To wcale nie jest niemożliwe – odparł doktor Hashmi, kładąc rękę na dłoni Anny.

– Ależ jest – oznajmiła Elizabeth, wstając i z powrotem siadając. Po raz pierwszy dostrzegła w sposobie bycia doktora ślady egoizmu.

– Myślę... Nie, wraz z całym zespołem uważamy, że nawet biorąc pod uwagę niekorzystne czynniki środowiskowe, Anna powinna żyć jeszcze około trzydziestu lat – wyjaśnił doktor Hashmi z takim przejęciem, że nie dostrzegł toczącej się pomiędzy kobietami rozmowy pozawerbalnej.

– Co jeszcze powiedział ci mój brat? – zapytała Anna.

Elizabeth odwróciła się od matki.

– Najwięcej dowiedziałam się od Mims.

– Długo zatrzymywałaś to tylko dla siebie. – Ton głosu Anny zmienił się z przyjacielskiego na rodzicielski i Elizabeth poczuła się jak wtedy, gdy matka przyłapała ją na kłamstwie, że wykonała wszystkie przydzielone jej prace.

Nielubiąca napięć Callie stanęła pomiędzy matką i Anną.

– Mogłybyśmy pojechać do Australii i spróbować się czegoś dowiedzieć. Być może to marzenie ściętej głowy, ale...

– Musimy pojechać – przerwał jej doktor Hashmi. – A na pewno ja muszę pojechać. Ona może jeszcze żyć i mieć innych krewnych obdarzonych mutacją.

Elizabeth zignorowała córkę i doktora i mówiła do matki:

– Nie wiedziała, jak dużo pamiętałaś i nie chciała cię unieszczęśliwić. Podobnie jak Wealthy. Jeśli i tak wiedziałaś, dlaczego nigdy nic nie powiedziałaś?

– Ojciec mówił, że jeśli jestem przekonana, że nie należę do rodziny, odeśle mnie z powrotem do Australii. Przekonywał mnie, że to był tylko sen i Mims jest moją matką.

Erin natychmiast stanęła po stronie Anny.

– Nie uwierzyłaś mu? – nalegała.

– Jak mogłam uwierzyć? Wspomnienie o tym, jak wydziera mnie matce, było zbyt realne, żeby mógł mnie przekonać, że to sen. Czułam jej zapach, smak jej łez.

– I nigdy nie zapytałaś Mims? – szepnęła Erin.

– Za bardzo się bałam tego, co mi powie, i że przestanie mnie kochać. Pozwoliłam jej więc być moją matką.

Doktor Hashmi otworzył mały laptop i zaczął szybko coś pisać.

– Mówiła pani, że skąd pochodzili pani rodzice? Z jakiej części Australii?

Elizabeth podeszła do niego z tyłu i zajrzała mu przez ramię.

– Brisbane.

Przeszukiwał stronę po stronie danych.

– Trzymamy dane wszystkich ludzi, którzy mogą mieć ponad sto dziesięć lat. Jest ich więcej, niż myślicie, ale w końcu na świecie jest ponad sześć miliardów ludzi. Tu na przykład jest doniesienie z jakiejś wioski w Somalii. Dwie kobiety twierdzą, że są matką i córką, ale nikt nie wie, która jest która, a są tak stare, że wszyscy sąsiedzi znali je jedynie jako staruszki. Uważają, że jedna ma sto dwadzieścia, a druga sto sześć lat, ale nikt nie może tego potwierdzić.

Podświetlił rząd danych i kliknął. Otwierały się bardzo szybko, wypełniając niewielki ekran.

– W Australii mamy czterdziestu dwóch niepotwierdzonych superstulatków.

I trzydzieści osiem z nich to kobiety.

– Więc? – zapytała Callie?

– To stanowczo zbyt dużo – oznajmił.

– Jak to? – spytała Erin.

Doktor usiadł obok niej z laptopem na kolanach.

– To normalne, że jest więcej kobiet niż mężczyzn. Kobiety bardziej o siebie dbają, nie biorą udziału w wojnach ani nie podejmują tylu ryzykownych zachowań co mężczyźni. Ale tu dysproporcja jest zbyt duża. Chyba trafiliśmy na mutację, jak u Anny, która jest obecna jedynie u kobiet.

Callie podeszła do doktora. Erin i Elizabeth patrzyły, jak kładzie mu na ramieniu rękę gestem posiadacza. Chciała mu dać do zrozumienia, jaka jest dumna, że odkrył mutację i tak szybko potrafił połączyć ją z przeszłością Anny.

Elizabeth podeszła do matki.

– Tak mi przykro.

– Ludzie zawsze ci ufali – odparła Anna, kładąc dłoń na głowie córki. – Powiedz mi, co wiesz.

Pomimo wieku i niewygody Elizabeth położyła głowę na kolanach matki. Podzieliła się każdym szczegółem dotyczącym pochodzenia Anny. Gdy skończyła, została przy niej i obserwowała własną córkę. Od lat nie widziała jej szczęśliwej. Stała obok doktora Hashmiego, opierając ciężar ciała na zdrowej nodze. Podekscytowany doktor rozprawiał o genetyce i długowieczności, wymachując rękami, jakby dyrygował orkiestrą. Oczywiście Callie i Elizabeth dostrzegła, że ma zarumienione policzki.

Pomyślała o innym sekrecie, który wraz z doktorem ukrywała przed Callie, i zastanawiała się, czy gdyby wyznała córce, że jest ona jedynym biologicznym dzieckiem Franka, zachwiałaby jej szczęściem. Chciała zapytać matkę, czy powinna zachować sekret, szczególnie w świetle rewelacji o jej własnym pochodzeniu.

Anna nie wyglądała na szczęśliwą. Po raz pierwszy, odkąd Elizabeth pamięta, wyglądała staro. Może doktor się pomylił, dając jej jeszcze trzydzieści lat życia?

– Mamo? – zaczęła Elizabeth. Jej głos przywrócił Annę do teraźniejszości.

– Wszystko w porządku – powiedziała. Z jej policzków zniknęła żółtawa maska, a na jej miejsce wróciły kolory. – Mamy do zaplanowania wycieczkę do Australii.

# ROZDZIAŁ CZWARTY

## Wyjazd

Tego dnia, kiedy Callie wyjechała z doktorem Hashmim, zaczęło padać i padało przez cały miesiąc. Deszczowe lata należały w Kidronie do rzadkości i wkrótce radość z mięsistych oliwek zamieniła się w rozpacz, gdy w sierpniu na owocach zaczęły pojawiać się oznaki choroby. Elizabeth lubiła ponure, wilgotne dni; doskonale pasowały do jej nastroju.

– Rozchmurz się, ponuraku – zaszcebiotała Erin, wchodząc w chuście zawiązanej wokół ramienia z dzieckiem do pokoju. – Mówili, że wyjdzie dziś słońce.

– Przynieś mi dziecko, ono mnie pocieszy. – Chłopiec miał już prawie cztery miesiące i Elizabeth nie mogła uwierzyć, jaki zrobił się duży. – Jego ojciec musi być zapaśnikiem sumo.

– Jego ojciec ma tylko metr siedemdziesiąt – odrzekła Erin, siadając naprzeciwko Elizabeth. – Spotka się z nami w Australii.

– Och?

Dziecko złapało Elizabeth za nos.

– Gdy jego żonie przeszła złość, zdecydowała, że chciałyby poznać Kellera. Oni nie mają dzieci.

– Uważaj – ostrzegła Elizabeth.

– Zaopiekuję się wszystkimi – powiedziała Anna, wchodząc do pokoju. – Poza tym dziecko powinno znać swojego ojca.

Erin się zaczerwieniła.

– Chyba trochę straciłam głowę. Nie mogę uwierzyć, że tak szalałam za mężczyzną, który w ogóle mnie nie kochał.

Anna się zaśmiała.

– Wszystkie traciłyśmy głowy dla mężczyzn. Ciesz się tylko, że jesteś bardziej podobna do nas niż do swojej matki. Ona dopiero się urządziła.

– Babciu! – wykrzyknęła Erin.

– Zbyt serio traktujemy nasze małe problemy – oświadczyła Anna. – Co miałby zrobić Bóg? Wystawić rodzinę Kellerów na więcej prób? Powinien się już zorientować, że to na nas nie działa.

Wbrew ponuremu nastrojowi na twarzy Elizabeth zagościł uśmiech. Wiadomość o pochodzeniu Anny sprawiła, że wszystkie stały się mniej przewrażliwione. Podrzuciła Kellera na kolanach, naśladowując jego język, i zastanawiała się, jak będzie się czuła

podczas samotnej zimy w Hill House. Wyjeżdżając, musiałyby zostawić Franka, a odkąd zamieszkał w Golden Sunsets, nie opuściła jeszcze ani jednego dnia wizyt.

– Nie podrzucaj go tak mocno. Dopiero co zjadł i często...

– Aaaa! – Elizabeth odsunęła od siebie dziecko, tak że skończyło wymiotować już na podłogę. Jej żakiet poplamiony był skwaśniałym mlekiem. Oddała dziecko roześmianej Annie.

– Nigdy nie radziłaś sobie z niemowlakami. Nie zrozum mnie źle, gdy zaczynały chodzić, zmieniałaś się w najlepszą matkę, jaką widziałam, ale z trudem tolerowałaś je przez pierwsze parę miesięcy.

– No i widać dlaczego – odrzekła Elizabeth i poszła się przebrać.

Miała się spotkać z agentem Callie, żeby oddać klucze do Olive Pit. Jej córka postanowiła przenieść sklep do Internetu. Sprzedała nieruchomość i ziemię przedsiębiorcy, który pragnął otworzyć przydrożny kościół dla kierowców. Przebrała się w śliwkowy garnitur i przed wyjściem pocałowała na pożegnanie Kellera.

– Ciocia Bets! – wykrzyknął agent, gdy Elizabeth wysiadła z samochodu.

Był to młody chłopak, spokrewniony z rodziną Kellerów przez matkę, kuzynkę dziewczyny, która wyszła za bratanka Elizabeth. Związki rodzinne w Kidronie były dość skomplikowane. Pomachała mu kluczami do sklepu. Mężczyzna, który zamierzał kupić budynek, zaglądał przez okno do środka. Miał na sobie kraciastą koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami odsłaniającymi owłosione przedramiona i tatuaż, który przypominał Popeye'a.

– Wreszcie przestało padać – powiedział agent. – To było ciężkie lato w handlu nieruchomościami. Wszyscy siedzieli w domach, żeby przypadkiem nie zamoczyć sobie stóp.

– A to całe szczęście, że stąd nie pochodzę – odrzekł mężczyzna. Wyciągnął rękę do Elizabeth.

– Dennis. Mówią, że kobiety z Kellerów wyglądają młodo i muszę się z tym zgodzić. Nie dałbym ci więcej niż sześćdziesiąt lat.

Elizabeth się rozluźniła.

– Dziękuję. Mój mąż często bierze mnie za swoją pielęgniarkę, która nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat.

Wszyscy się zaśmieli. Elizabeth otworzyła drzwi i zaproponowała, że pokaże mu, które sprzęty chcą sprzedać razem ze sklepem. Nacisnęła przycisk i rozbłysło jarzeniowe światło. Pomieszczenie wypełniało zatęchłe powietrze i zapach palonej kawy. Tydzień wcześniej pracownicy Callie spakowali i wysłali jej towar. Elizabeth wskazała na półki i kasę.

– To wszystko należy do pana, chociaż nie wiem, do czego mogłyby się panu przydać.

– Pan Bóg nie będzie miał nic przeciwko temu, żebym sprzedał mej kongregacji parę niezbędnych produktów – odrzekł Dennis. – Sam przez wiele lat byłem kierowcą. Są rzeczy, które kupimy zawsze i wszędzie.

– Myśli pan, że będą się tu zatrzymywać? Wydaje mi się, że ludzie zostawiają praktyki religijne na rodzinne niedziele – powiedziała Elizabeth, która nie pokładała zbyt wielkiej wiary w jego pomysły.

– Zatrzymają się, jeśli będą potrzebowali przebaczenia – odrzekł Dennis i schylił się, żeby zobaczyć, w jaki sposób półki przymocowane są do podłogi. – Muszę tu przyjść z jakąś dobrą wiertarką.

– Do pomocy w remoncie mógłby pan wziąć chłopców, którzy pracowali u Callie – zasugerowała Elizabeth, bo martwiła się, że Robert i Pete nie znajdą zatrudnienia.

– Już ich zatrudniłem – odpowiedział Dennis. – Pani córka też się o nich martwiła. Zapewnienie im pracy uczyniła niemalże jednym z warunków sprzedaży.

– To miłe z pana strony – powiedziała Elizabeth i przeszli na tył sklepu.

– Dennis to prawdziwy filantrop – wtrącił agent. – Szasta pieniędzmi na prawo i lewo. Zapłacił mi nawet prowizję za kontrakt, który załatwiłem mu na wynajem billboardu.

– Chcesz powiedzieć prawdziwy przedsiębiorca – poprawiła go Elizabeth. – O co chodzi z tym kontraktem?

– Sprzedał prawa do billboardu tej firmie, która mieści się naprzeciwko motelu.

– Sklepowi Eddiego? – zapytała Elizabeth.

– Nie. Temu obok Eddiego – odpowiedział agent, odwracając wzrok.

Przebiegła myślami po budynkach na ulicy i jedyny sklep, jaki pamiętała obok Eddiego, to sex-shop z wielkimi XXX nad drzwiami i metalową budą z napisem „Anexxx”, którą wynajmowano na godziny.

– Chyba żartujesz!

Agent utkwiał wzrok w podłodze, a Dennis uśmiechnął się szeroko, tak że mogła zobaczyć jego pożółkłe od nikotyny zęby.

– Pomyślałem, że gdy pozwolę mężczyznom na mały grzeszek, będą mieli za co żałować i sprowadzę ich do kościoła, żeby odpokutowali. Sean ma powiesić przy wyjściu ze swojego przybytku mały plakat z napisem „Bóg też cię kocha” i wskazówką, jak dojść do kościoła.

– To nie o Bogu powinni myśleć, ale o pozostawionych w domach żonach. Jeśli ktoś pójdzie do dziwki, odklepanie modlitwy nie zmaże jego winy – powiedziała Elizabeth. – Zadośćuczynienie to dużo bardziej skomplikowany proces.

– Bóg o tym wie – odrzekł Dennis, idąc za Elizabeth. – Ale ja mam tylko

przyprowadzić ich do kościoła, a najłatwiej to zrobić, gdy pozwoli im się najpierw zgrzeszyć.

Agent zaśmiał się, wydając z siebie wysokie, piskliwe dźwięki przypominające kwiczenie świń. Elizabeth wetknęła klucz do ręki Dennisa i uciekła do samochodu.

Anna siedziała na ganku z tyłu domu. Przyciągnęła fotel bujany na jedyną słoneczną plamę pomiędzy cieniami gałęzi klonów i mimo że miała zamknięte oczy, Elizabeth wiedziała, że nie śpi, a tylko odpoczywa. To jeden z sekretów Anny – odkąd skończyła sto lat, gdy nie było nikogo w pobliżu, zamierała w bezruchu. Twierdziła, że w ten sposób oszczędza energię, że owa hibernacja dodaje jej czasu – każda minuta w stanie zawieszenia to dodatkowa minuta na ziemi.

– Córko – powiedziała Anna, słysząc kroki Elizabeth.

– Jeden z moich wnuków tłumaczył mi, że powinniśmy unikać słońca, bo rzekomo draży w skórze jakieś niewidoczne maleńkie dziurki powodujące zmarszczki i starcze plamy.

– Te twoje wnuki są strasznie przemądrzałe – odrzekła Anna. – Poza tym mam zmarszczki, odkąd skończyłam trzydzieści lat. Trochę więcej mi już nie zaszkodzi.

– Tylko nie mów mu tego. Jest doktorem od raka i robi ci wykład o skórze i mutacjach komórek.

– Nikt, a szczególnie doktorzy, nie będą mi mówić, co mam robić – oświadczyła Anna. Elizabeth uśmiechnęła się do matki.

Cóż można powiedzieć stutrzynastoletniej kobiecie? Anna była święcie przekonana, że jej ciało jest perfekcyjne. Stare, ale wszystko świetnie w nim działa. Elizabeth pomyślała, że doktorzy już dawno powinni przestać ją pouczać.

– Jak się ma Frank?

Matka zawsze miała szósty zmysł. Potrafiła bezbłędnie wyczuć czyjeś intencje, wyciągnąć z człowieka, z czym tak naprawdę do niej przychodził. Elizabeth sama siebie zaskoczyła szczerością odpowiedzi.

– Nie mogłam się zdobyć, żeby do niego dziś pójść. Po tym, jak oddałam klucze agentowi, no wiesz, wnukowi Lucy, nie mogłam spojrzeć mu w twarz. Tak niewiele pamięta. Myśli, że ma dwadzieścia pięć lat.

– Wszyscy myślimy, że mamy dwadzieścia pięć lat. Tylko gdy spoglądam w lustro albo widzę, jak się postarzałaś, uświadamiam sobie, ile czasu upłynęło.

– To co innego – odrzekła Elizabeth.

– Wiem. – Matka pokazała gestem, żeby usiadła obok niej.

Elizabeth poczuła na skórze ciepłe promienie słońca. Otaczający ją zapach i rozmowa o Franku przypomniały jej lato, gdy się oświadczył. Był 1927 rok i zaczynał topnieć śnieg.

W oddali pokryta śniegiem góra Shasta wydawała się mniejsza. Był czerwiec i rozpoczęła się druga fala roztopów. Rzeka zrobiła się bardzo szeroka i rzesze ludzi przychodziły popatrzeć na wysoką wodę. Farmerzy na leżących nad rzeką ziemiach zaczęli wycofywać się już w maju. Jerry Sims wynajął nawet ekipę z końmi, żeby przenieść stodołę, a Barry James opróżnił swoje silosy i płacił sąsiadom za przechowywanie ziarna.

Na początku czerwca, gdy zakończono prace w gaju oliwnym, Frank przyszedł do domu i zapytał, czy pojechałaby z nim popatrzeć na rzekę. Elizabeth nie była ładna i dość wcześnie potrafiła się z tym pogodzić. Gdy miała dziewiętnaście lat, co uprzejmiejsi ludzie określali ją mianem „przystojna”. Była wyższa od większości znanych sobie mężczyzn i miała surową, kanciastą twarz. Z Frankiem znali się od zawsze. Mimo że jego rodzinny gaj nie należał do siedmiu pierwszych założonych w Kidronie, powstał niedługo po historycznej przeprowadzce miasta. Frank pochodził z rodziny mormonów, a jego matka była żoną mężczyzny, który do czasu, gdy zdelegalizowano wielożeństwo, miał siedemnaście żon.

W tym czasie Frank starał się o rękę innej młodej dziewczyny. Drobnej kobiety o imieniu Frances, która przyjaźniła się z jego młodszą siostrą. Zabierał ją do kina i na lemoniadę do jej rodzinnego sklepu. Mimo to co tydzień pojawiał się w domu Elizabeth i chodzili razem na spacerunki albo jeździli konno. Choć jego rodzina nigdy nie miała stajni, jeździł tak, jakby urodził się w siodle.

Gdy rzeka wylała, jeździli tam wczesnym popołudniem, siadali na pniu sekwoi i patrzyli na wodę. Elizabeth nie pamiętała wszystkiego, o czym opowiadał jej Frank, a jedynie to, co mówił o Bogu i sposobach na zwiększenie plonów oliwek. W sierpniu, gdy wody wreszcie zaczęły się cofać, odsłaniając przyniesione z góry kłody i kamienie, Frank się oświadczył. Ten moment pamięta doskonale. Chwycił ją za ramiona i powiedział:

– Musisz za mnie wyjść. Nie zniosę żadnej innej kobiety. Te ich perfumy, głupota, halki!

– Kochasz mnie? – zapytała Elizabeth.

– Nie zasługuję na ciebie – odrzekł.

W tym momencie Elizabeth zrozumiała. Nikt inny nigdy się o nią nie starał, a całe miasteczko traktowało ją jak starą pannę. Życzliwi pożyczali jej książki Jane Austen i Emily Dickinson, mniej uprzejmi mówili, że Anna z pewnością cieszy się z dziecka, które nigdy nie opuści domu.

– Czy będziemy mieć dzieci? – zapytała.

– Dam ci wszystko, co będę mógł – odpowiedział Frank. Podniósł nasiąkniętą wodą gałąź i zaczął dźgać nią jakieś opuchnięte od wody padłe zwierze.

– Wezmę, co mi dasz – oznajmiła Elizabeth.



W noc poślubną wyznał jej swój sekret. Dokładnie powiedział jej:

– Moje oprzyrządowanie nie działa tak, jak powinno. Być może uda mi się zmusić je do akcji, gdy będziesz potrzebować.

Elizabeth dokładnie obserwowała swe miesięczne cykle i mówiła Frankowi, kiedy go potrzebuje. Mimo wszystko starali się o dziecko przez cztery lata, a wpatrywanie się w jego poważną, zdeterminowaną twarz, gdy starał się wytrwać tak długo, jak potrzebowała, zniechęciło Elizabeth do seksu.

Słońce schowało się za chmurą, a przez ciało Elizabeth przebiegł dreszcz zimna.

– Powinnaś pojechać dziś ze mną do Franka.

– Jeżdżę w niedziele. Pielęgniarki zawsze upominają nas, gdy zaburzamy jego rutynę.

Po co ryzykować? – Anna przysunęła swoje krzesło bliżej balustrady, żeby mieć więcej słońca. – Chciałabym, żebyś mi powiedziała, czy coś dobrze zrozumiałam. Chodzi o Franka i naszych chłopców, o to, jak było naprawdę – powiedziała.

Elizabeth pozostała w cieniu i myślami wracała do zachowań, które dostrzegła między Frankiem a Guyem w domu opieki.

Pielęgniarki w Golden Sunsets uwielbiały Franka. Był tam dłużej niż jakikolwiek inny pacjent. W większości młode dziewczyny miały nowoczesne podejście do przyjaźni Franka.

– Nie ma się czego wstydzić – świergotały, gdy je o to pytała. – Żaden nie jest już w stanie nic zrobić, a to, że się całują i trzymają za ręce, no cóż, to bardzo słodkie. – I opowiadały jej o prawdziwych problemach między młodszymi pacjentami. Powiedziały Elizabeth, że paru siedemdziesięciolatków jakiś czas temu zdobyło gdzieś viagrę i dopiero pojawiły się kłopoty. – Nie uwierzyłyabyś, jaką mieliśmy tu epidemię rzeżączki.

Elizabeth była w stanie uwierzyć we wszystko i powiedziała pielęgniarkom, że żyje tak długo, że nic już jej nie zaskoczy. Jej dzieci zdziwiłyby się, poznawszy wyniki badań doktora Hashmiego, a tego typu niespodzianki zawsze powodowały cierpienie. Elizabeth musiała wcześniej niż inni pogrzebać swoje nadzieje. Nie spodziewała się wiele od losu i dzięki temu unikała rozczarowań.

Głos Anny wyrwał ją z zamyślenia.

– Zamierzasz mi powiedzieć?

Elizabeth otworzyła oczy i zwróciła się w stronę matki.

– Oni nie są synami Franka.

– Oczywiście, że nie są – odrzekła Anna. – Ale nie możesz im powiedzieć, dopóki Frank żyje. Będzie im zbyt ciężko, zniszczy ich poczucie winy.

– Skąd mogłaś to wiedzieć? – Elizabeth nie doceniła przenikliwości matki. – Myślisz, że chłopcy wiedzą?

– Wiedzą i nie wiedzą. – Anna w pełni się obudziła. Siedziała prosto i spoglądała na

gaj.

– To samo mówiłaś o swoim własnym sekrecie – powiedziała Elizabeth, bacznie obserwując twarz matki, która siedziała z oczami utkwionymi w powyginanych gałęziach drzew u stóp wzgórza.

– Zawsze zastanawiałam się, czy wiesz o mojej matce. Wealthy był bardzo mądrym człowiekiem. Ludzie nie mieli o nim najlepszego zdania, uważali, że zmarnował życie, goniąc za łatwymi pieniędzmi.

– Więc nie powinnam im mówić? – Elizabeth potrzebowała, żeby ktoś powiedział jej, co ma zrobić. Chciała usłyszeć, że nie powinna posłuchać porady doktora Hashmiego.

– Są szczęśliwi?

Elizabeth zastanawiała się, dlaczego Anna nie zna odpowiedzi na to pytanie. Jej chłopcy byli szczęśliwi. Wiedli zwyczajne, prawe życie – zmartwień przysparzały im jedynie szukające problemów wnuki i prawnuki. Co innego Callie. Szczęście długo się jej wymykało, ale teraz, gdy dzwoniła z Pittsburgha, mówiła radosnym głosem, a doktor Hashmi powiedział Elizabeth w zaufaniu, że zaprowadził ją na terapię w związku z nadużywaniem leków przeciwbólowych.

– Nigdy nie będę mogła powiedzieć Callie – rzekła Elizabeth.

– Więc pozwól Callie i chłopcom na jeszcze trochę radości. Wiadomość, że Frank nie jest ich ojcem, zaburzy ich szczęście, będzie jak burza, ale to przejdzie.

Anna oparła się w fotelu i zaczęła rytmicznie się bujać. Elizabeth wstała i pocałowała matkę w czubek głowy. Pomyślała, że radość matki wynika z odkrycia prawdy o jej pochodzeniu, i spodziewała się, że Anna będzie ją namawiać, aby wyznała prawdę i również chłopcom dała powód do radości. Świat był pełen zaskakujących odpowiedzi.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

## Grzech

Elizabeth niewiele wiedziała o ojcach chłopców. Żałowała, że nie miała innego wyboru. Jeden z wnuków powiedział jej parę lat temu, na święta, że zamówili z żoną przesyłkę z banku spermy. Musieli tylko wybrać cechy, na jakich zależy im u dzieci, i wysłać dwieście dolarów. Mówiąc, wskazał na swoje bawiące się z kuzynami dzieci – same blondynki, jak on i żona. Elizabeth wybierała ojców chłopców wśród mężczyzn z baru Czerwona Podkowa w Redding. Było to popularne miejsce wśród kowboi i kobiet o wątpliwej reputacji, jak napisano w gazecie parę lat po tym, gdy przestała odwiedzać bar. Zamknięto go w 1942 roku, gdy cały kraj stał się bardziej pruderyjny.

Poszła na tył domu, do pokoju, w którym mieszkała od dzieciństwa. W głębi szafy, w pudełku po kapeluszu leżała złożona na cztery pozółkła kartka papieru, na której widniały cztery nazwiska i daty urodzenia ojców jej synów. Zaglądała do ich portfeli i przepisywała dane z praw jazdy, po czym wymykała się po cichu z moteli lub schronisk. Dlaczego to robiła? Musiała wyrzucić tuziny nazwisk – pomimo skrupulatnych wyliczeń, miesiącami nie zachodziła w ciążę. Zanim począł się jej najmłodszy syn, w pewną deszczową noc wigilijną, była z sześcioma mężczyznami. Było ich zbyt wielu i zaczynało jej się to podobać. Z utęsknieniem czekała, aż będzie mogła włożyć sukienkę i pojechać na północ. Ojciec Johnny'ego był bardzo młody i mimo że Elizabeth czerwieniła się na samą myśl o tym, podejrzewała, że była jego pierwszą kobietą. Kochali się trzy razy.

Frank nic nie mówił, gdy wychodziła, ale dwa tygodnie po wizytach w Redding z taką samą obawą jak Elizabeth czekał, czy będzie miesiączkować. Tak bardzo ją kochał, gdy była w ciąży – otwierał jej drzwi, gdy wysiadała z samochodu, wyganiał ją z gaju, gdy tylko chowało się słońce i temperatura spadała poniżej dwudziestu stopni. Wspaniale zajmował się noworodkami, kołysał je w ramionach i śpiewał im celtyckie kołysanki, jak niegdyś robiła to jego babka.

Callie reagowała niechęcią na ciążę matki. Dźgała palcem jej powiększający się brzuch i wykrzywiała usta.

– Nie ma dziecka. Ja wystarczę – mówiła.

Frank uważał, że to bardzo śmieszne. Nauczył ją mówić „jestem zjawiskowa” i obiecał jej, że będzie jedyną dziewczynką. Elizabeth modliła się, żeby to była prawda. Teraz pomyślała, że pojawienie się siostry zdruzgotałoby Callie.

Nazwiska na złożonej kartce brzmią całkiem zwyczajnie. Po tylu latach odczytywania i zastanawiania się, jak potoczyło się ich życie, z zaskoczeniem stwierdziła, jakie są

bezbarwne: Joseph Appleton, Gary Chandler, Michael Adams, Elton Petrik. Nie zdziwiłaby się, gdyby wszyscy byli już martwi. I po co w ogóle zapisywała ich imiona? Po to, żeby pewnego dnia jej chłopcy albo ich dzieci lub wnuki mogły odnaleźć prawnuka Eltona i powiedzieć mu, że są spokrewnieni? Zgniotła papier w dłoni i upuściła na podłogę.

– Babciu? – zabrzmiał z holu głos Erin.

Elizabeth czym prędzej zamknęła drzwi szafy. Potknęła się o pozostawione obok łóżka pudełko po kapeluszu i upadła, uderzając łokciem o toaletkę z drzewa klonowego. Rozległ się głośny trzask i Erin wpadła do pokoju z Kellerem w nosidełku. Gwałtowne ruchy matki obudziły chłopca i zaczął płakać.

– Wszystko w porządku. Wszystko w porządku – powiedziała Elizabeth. Usiadła, przytrzymując lewy łokieć prawą ręką. Zapomniała, jak cichutki może być płacz niemowlęcia – bardziej przypominał kwilenie niż wycie. Odczuwała dotkliwy ból, jakby ktoś wbijał jej w rękę patyk. Żeby odwrócić uwagę od bólu, zaczęła liczyć od stu wstecz. Słyszała głos Erin, ale nie mogła skoncentrować się na jej słowach. Do czasu, gdy skończyła liczyć, Erin wyjęła dziecko z nosidełka i zaczęła je karmić. Czytała jednocześnie ulotkę, która wypadła z pudła po kapeluszu. Była to broszura informująca o szkoleniu stewardes United Airlines, na które trafiła Callie.

– W tamtych czasach mieli zupełnie inną wizję kobiety – powiedziała Erin. Przeczytała na głos kawałek tekstu, który opisywał, że idealna kandydatka to dziewczyna w doskonałym stanie fizycznym, z talią nie większą niż pięćdziesiąt centymetrów i obwodem biustu przynajmniej dziewięćdziesiąt centymetrów.

– Zupełnie jakby szukali lalek Barbie.

Elizabeth wyprostowała rękę. Ból nieco zelżał.

– Callie marzyła o lataniu. Odkąd skończyła pięć lat, chciała wyrwać się z Kidronu.

– Była zadowolona? Dlaczego wróciła?

Elizabeth uśmiechnęła się. Jej córka nigdy nie była zadowolona.

– Wróciła, żeby dojść do siebie po wypadku, ale zanim to nastąpiło, miała sześcioro dzieci i prowadziła restaurację.

– Wszystko zmieniło się po jej wyjeździe. Brakuje mi Callie i mojej mamy. – Erin spojrzała na Elizabeth i szybko odwróciła wzrok.

– Masz od niej jakieś wieści?

– Jest na Florydzie – powiedziała cicho Erin.

– Jakoś nie pasuje mi do tego miejsca – odrzekła Elizabeth. Chciała powiedzieć więcej, ale dziesiątki lat dochowywania sekretów nauczyły ją cierpliwości. Kiedyś nadejdzie odpowiednia chwila.

Erin usiadła na brzegu łóżka. Keller podniósł główkę i przyłożyła go do drugiej piersi.

– Czuję, jakby nasze życie się rozpadało.

– Spędziłyśmy tyle lat w Kidronie – powiedziała Elizabeth. – Najwyższy czas wyruszyć w świat.

– To samo powiedziała mama. Chce, żebym wróciła do Europy i spróbowała dogadać się z ojcem Kellera. Mówi, że dziecko nie powinno wzrastać z dala od jednego z rodziców.

– To zależy od rodzica. – Elizabeth położyła się na łóżku.

– Znalazła pracę. Sprząta w hoteliku na wybrzeżu. – Erin położyła się obok babci i przekręciła na bok, tak że patrzyła Elizabeth w oczy. – Myślisz, że ją złapią?

– Nie mają szans – odrzekła Elizabeth. – Żadnych szans.

– Myślę, że cały Kidron odczuwa jej zniknięcie – powiedziała Erin.

Nie odzywały się, dopóki Keller nie skończył jeść. Erin podała prababci chłopca i poprosiła, żeby go potrzywała, aż mu się odbije.

– Tylko tym razem uważaj na ulewanie. Chyba znasz jakieś dobre sposoby, wychowałeś w końcu czterech chłopców.

Elizabeth położyła Kellera na brzuchu tak, że jego głowa wystawała nieco za jej kolana, i zaczęła go głaskać po pleckach. Chłopcu odbiło się głośno i obie się zaśmiały.

– Jest taki nowy.

Erin przytaknęła.

– Zanim się urodził, nie rozumiałam, jak wymęczone może być ludzkie ciało.

– Spędziłaś z nami zbyt dużo czasu – zauważyła Elizabeth. – Byłyśmy za bardzo zmęczone, gdy z nami zamieszkałaś.

– Może tak jest z innymi babciami, ale każda z was ma geny Anny. Głęboko wierzę, że będziecie żyć wiecznie.

Erin mówiła radosnym tonem i patrząc na nią, Elizabeth pomyślała, że dziewczyna ciągle wierzy, że wiele rzeczy jest pod jej kontrolą.

– Nikt nie chce żyć wiecznie – powiedziała.

Podniosła dziecko z kolan i przytuliła je do piersi. Gdy była młodsza i trzymała małe dziecko, obojętnie czyje dziecko, ścisnęło jej się serce i miała wrażenie, że jej piersi wypełniają się mlekiem. Fantomowe napięcie – jakby jej ciało pamiętało. Teraz nie czuła nic. Jej piersi były płaskie i stwardniałe, jak reszta skóry, obojętne na wszelkie doznania.

– Nie mów tak. – Erin odwróciła wzrok od Elizabeth. – Masz jeszcze przed sobą wiele lat. Zobaczysz, jak Keller kończy szkołę i będą jeszcze inne dzieci.

Elizabeth nie powinna wyznawać prawdy. Odwołała swą wypowiedź. Położyła dłoń na kolanie prawnuczki i wymruczała zapewnienie, że z pewnością wszystko to zobaczy.

– Może do czasu, gdy będziesz w moim wieku, wymyślą lekarstwo na śmierć. Znajdą eliksir nieśmiertelności.

Gdy Keller zasnął, poszły na ganek, do bujającej się w fotelu Anny. Rozmawiali o czekającej Annę i Erin podróży do Australii, o możliwości znalezienia kogoś, kto ma te same geny, tę samą mutację. Elizabeth wpatrywała się w zachodzące słońce i zastanawiała się, czy byłaby w stanie utrzymać swe sekrety w nieskończoność.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

## Szczepienie

Następnego ranka Elizabeth spacerowała po gaju. Wyszła z pokoju przed wschodem słońca, nie mogąc doczekać się dnia. Z wiekiem inaczej sypiała. Gdy była młoda i miała sprężyste mięśnie, spała jak zabita i budziła się w tej samej pozycji, w której zasypiała. Ale po siedemdziesiątce, gdy Frank zamieszkał w Golden Sunsets, jej sen stał się urywany i niespokojny. Często budziła się przed wschodem słońca i szła do gaju, posprawdzać drzewka. W sierpniu drzewka przygotowywały się już do jesieni. Przejechała palcami po gałęziach w starym gaju, po tych, które szczepiła razem z ojcem. Po ponad pół wieku szczepione gałęzie stanowiły integralną część drzewa.

Na połączeniach, gdzie ojciec robił małe nacięcia, kora była grubsza, jak blizna albo stare oparzenie. Z czasem pędy zmieniły się w konary, które z kolei wypuszczały nowe gałęzie i witki, tworząc nowe drzewo. Przeszła do nowszej części gaju, żeby skontrolować pracę zarządcy. Odkąd wydzierżawiły gaj, były odpowiedzialne jedynie za płacenie podatków za ziemię. Nie czuła się właścicielem młodszych drzewek i nie odczuwała potrzeby namawiania ich, żeby urodziły lepsze oliwki. Nie wspinała się na nie jako dziecko.

Przez gałęzie zaczęły się przebijać różowe i pomarańczowe promienie słońca i Elizabeth ruszyła do Hill House. Teraz, gdy nastał dzień, mogła pojechać odwiedzić swojego męża. Żałowała, że pominęła wczorajszą wizytę, i chciała być tam wczesnym rankiem i zobaczyć go, jak tylko pielęgniarki pozwolą jej wejść. Gdy wyszła spod osłony drzew, przeszył ją zimny wiatr i czym prędzej pospieszyła do domu.

Pomimo porannego spaceru i tak przyjechała za wcześnie. Dzienna zmiana pielęgniarek zaczynała się o siódmej, ale znały Elizabeth wystarczająco dobrze, by ją wpuścić, mimo że godziny odwiedzin zaczynały się dopiero o dziewiątej. Patrzyła, jak przez elektronicznie zamykane drzwi wychodzą nocni pracownicy, mrużąc oczy przed słońcem. Zdziwiła się, że niemal cała nocna zmiana składała się z ludzi pochodzenia latynoskiego, i gdy szli do czekających na parkingu samochodów, usiłowała zrozumieć strzępki ich hiszpańskich rozmów.

Frank miał na głowie kapelusz, a jego zbyt długie posiwiałe włosy leżały na kołnierzu koszuli. Siedząca w dyżurce Amelia powiedziała, że Frank ma dziś dobry dzień.

– Jest w świetnym humorze. Przechadza się, podśpiewując „Jesteśmy przy kasie”, i mówi wszystkim, że to dobry dzień, żeby zagrać w lotto. – Dziewczyna puściła oczko do Elizabeth i uśmiechnęła się. – Chyba w przerwie na lunch wyskoczę kupić los.

Elizabeth przez chwilę obserwowała Franka przez drzwi świetlicy. Jej mąż był w doskonałym nastroju i pomyślała, że gdyby spytała, odpowiedziałby, żeby nie przejmować się wojną w Europie, a jeśli już przyjdzie co do czego, chciałby zaciągnąć się do marynarki. Odwrócił się od mężczyzny na wózku, z którym rozmawiał, i ujrzał ją w drzwiach.

– Szukałaś mnie? – zapytał, zdejmując kapelusz, i przyglądził włosy. – Amelia powiedziała, że dziś przyjdiesz. Minęło tyle czasu, że prawie się już nie znamy.

Elizabeth widziała, że Frank nie może zdecydować, kim ona jest. Wpatrywał się w nią w poszukiwaniu jakiejś wskazówki.

– Tęskniłam za tobą, Frankie – powiedziała.

Zdrobniała forma sprawiała, że brał ją za starszą krewną. Czasem padało na siostrę, czasem wybierał matkę. Gdy się urodził, jego siostry miały już swoje rodziny, a bracia kłócili się, kto odziedziczy rodzinne czterdzieści akrów ziemi. Elizabeth wiedziała, że uwielbiał swoje siostry, ale czuł dystans do matki, która nie spodziewała się urodzić kolejnego dziecka w wieku prawie pięćdziesięciu lat. Elizabeth nigdy go nie okłamywała, nie nazywała go bratem ani synem, ale pozwalała mu wybrać dla siebie rolę.

– Siostro – powiedział z uśmiechem.

– Elizabeth – odrzekła, otwierając ramiona, żeby go uściskać.

Obejmowali się długo i w Elizabeth wstąpiła nadzieja, że może gdzieś w głębi duszy Frank ją rozpoznał. Miała już zacząć szeptać mu do ucha, gdy odsunął się i wskazał na siedzącego na wózku mężczyznę w nienaturalnie ciemnym tupeciku.

– Znasz Guya?

Elizabeth знаła Guya. Byli sobie przedstawiani podczas prawie każdej wizyty, odkąd Guy przybył do Golden Sunsets, siedem lat temu. Był partnerem Franka, delikatnym mężczyzną o drobnych kościach i klasycznych rysach twarzy. W przeciwieństwie do jej męża nie miał demencji, ale zawsze, gdy byli przedstawiani, wchodził w rolę. Jego rodzina opuściła go w latach osiemdziesiątych, gdy po śmierci żony przehulał jej pieniądze na młodych kochanków. Jakies piętnaście lat temu miał wylew, który częściowo sparaliżował lewą stronę ciała i skazał go na Golden Sunsets.

Ze wszystkich tych powodów Elizabeth chciała nie lubić Guya, ale nie potrafiła. Był jednym z najbardziej czarujących mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkała. Gdy Callie poznała Guya, powiedziała, że czuła się tak, jakby Clark Gable zszedł z ekranu wprost do domu opieki w Kidronie.

– Co on tam robi? – pytała zdziwiona.

To było, zanim Elizabeth dowiedziała się o upodobaniu Guya do mężczyzn. I do Franka. Przez pierwsze miesiące przychodziły do Golden Sunsets pod pretekstem



odwiedzin u Franka i zbierały się wokół Guya, aby posłuchać o jego przygodach w USO<sup>[5]</sup>. Był specjalistą od dźwięku i podróżował ze wszystkimi wielkimi gwiazdami na koncerty w bazach wojskowych. W ten sposób poznał swoją żonę, śpiewającą w siostrzanym zespole, który nagrał zaledwie dwie płyty.

– Mogły osiągnąć dużo więcej – lamentował Guy. – Problem polega na tym, że kobiety wolą zachodzić w ciążę.

Elizabeth lubiła słuchać jego przerysowanych opowieści, były zabawne i przenosiły ją w czasy młodości. Gdy Guy nie próbował zabawiać gości, mówił leniwym, monotonnym głosem z akcentem ze Środkowego Zachodu.

Przez pierwsze miesiące, zanim zrozumiała, o co chodzi, zastawała ich w kącie, jak grali w warcaby i rozmawiali o swoim dzieciństwie – psach, które kiedyś mieli, stawach, w których pływali, filmach, których Elizabeth nigdy nie widziała.

Guy próbował powiedzieć jej o ich związku. Pewnego jesiennego popołudnia, podczas drzemki Franka, przyznał się Elizabeth do swej skłonności do mężczyzn. Nazywał ją świętą Elizabeth. Wyznał, że dla jego syna miarka się przebrała, gdy kochanek, a właściwie męska prostytutka, ukradł Guyowi portfel i sprawił, że utknął w Reno.

– Ten chłopak był w wieku mojego wnuka, a obaj byli jeszcze dzieciakami. Syn spojrzał na mnie tak jak wtedy, gdy powiedziałem mu, że Święty Mikołaj nie istnieje, i stwierdził, że ma dosyć wykupywania mnie z kłopotów. Był rok 1989 i wtedy ostatni raz go widziałem. To jego żona za wszystko płaci.

Jak się okazało, synowa Guya była daleką kuzynką jednego z wujków Elizabeth i w Golden Sunsets umieściła również swoją babcie.

– Wielu ludzi w okolicy jest z nami spokrewnionych – wyjaśniła Elizabeth. W tym momencie oboje spojrzeli na Franka, po czym Guy odwrócił się do Elizabeth i położył jej rękę na kolanie.

– Wiesz, nie jest nas wielu. Może jeden na parę setek, a jeszcze w tak zaawansowanym wieku... – Zamilkł i Elizabeth po raz pierwszy nie poddała się jego urokowi. Mówił pozbawionym wyrazu, niespiesznym głosem i dostrzegła, że wpatrywał się we Franka.

Teraz żałowała, że nie był wtedy bardziej dosłowny w opisie relacji łączącej go z jej mężem.

– Którą jesteś siostrą? Winifred? – zapytał Guy i wyciągnął do niej rękę.

– Proszę, mów mi Winnie – odrzekła Elizabeth.

Guy puścił do niej oczko i poprosił Franka, żeby usiadł.

– Opowiadałem wam kiedyś, jak Bob Hope wyleciał z tyłu dżipa i złamał rękę?

Elizabeth nie знаła tej historii, ale nie mogła skupić się na tym, co mówił Guy. Czuła,

że rosnące od paru dni napięcie sięga zenitu, i zaczęła się modlić o to, żeby Frank choć na chwilę odzyskał władze umysłowe, żeby mogła spytać, czy powinna wyznać dzieciom swe grzechy i powiedzieć im, że nie on jest ojcem chłopców. Pielęgniarki mówiły, że takie przebłyski świadomości zdarzały mu się niezwykle rzadko. Od ostatniego minęły już dwa lata. Niektóre pielęgniarki twierdziły, że takie momenty zdarzają się jedynie wtedy, gdy pacjent znajduje się na progu śmierci, ale Elizabeth rozmawiała z tyloma innymi współmałżonkami, by wiedzieć, że nie ma tutaj reguły. Jeden z mężczyzn na każdą wizytę przynosił bukiet fiołków, bo ich zapach czasami przenosił jego żonę do teraźniejszości.

Frank przerwał jej rozmyślenia.

– Nie jesteś dziś zabawna, Winnie.

– Jest po prostu zmęczona – powiedział Guy i Elizabeth zobaczyła, że trzymają się za ręce, a jego kciuk delikatnie głaszcze dłoń jej męża.

– Chodźmy stąd – zaproponował Frank.

– Nie możemy – odrzekł Guy, wskazując na swój wózek i otaczający ich pokój.

Elizabeth czasami zabierała Franka z Golden Sunsets, szczególnie na początku. Gdy rozmawiali w świetlicy, zadawał zbyt dużo pytań. Chciał wiedzieć, kim są Callie i Deb, w jaki sposób jest z nimi spokrewniony. Ucieczka od zapachu środków dezynfekujących i tylu starych twarzy koła jego umysł. Nie odczuwał wtedy tak silnej potrzeby poukładania swego świata, zadowalał się słuchaniem Elizabeth. Gdy Deb trafiła do więzienia, Elizabeth zabierała go do samochodu i potrafili jechać godzinami; Frank siedział z głową opartą o okno, a ona trajkotała i wylewała z siebie wszystkie skrywane emocje związane z córką i wnuczką.

Frank popatrzył na Elizabeth.

– Ona mogłaby nas zabrać.

– To nie takie proste – odrzekł Guy.

– Ależ ona nie ma nic przeciwko temu. Nie widzisz, jak tam jest pięknie? – Frank podszedł do okna wychodzącego na mały dziedziniec, po którym spacerowali pacjenci. – Ona nie chce tu siedzieć tak samo jak ty i ja.

Elizabeth zaprotestowała. Powiedziała, że ma mały samochód i nie będzie miejsca na wózek. Nie wiedziała również, jak pomóc Guyowi wsiąść i wysiąść z samochodu. Nie dałaby rady go podnieść.

Guy zapewnił ją, że sam poradzi sobie z wsiadaniem i wysiadaniem, a wózek mogą zostawić na parkingu.

– To tylko przejażdżka i chyba dobrze nam zrobi.

W tym momencie Elizabeth zaufała Guyowi. Pragnęła wierzyć, że zmiana otoczenia zmieni wszystko inne, wymaże ciężar, który osiadł w jej kościach po rozmowie z doktorem

Hashmim, i przede wszystkim przywróci jej dawnego Franka.

Gdy opuszczali Golden Sunsets, powstało małe zamieszanie. Amelia, pielęgniarka z dyżurki, udzielała im ścisłych instrukcji, kiedy mają wrócić i gdzie mogą pojechać. Pozostali rezydenci, słysząc rumor, przyglądali im się i marszczyli brwi. Elizabeth nie była pewna, czy w ich pełnych dezaprobaty spojrzeniach kryło się rozczarowanie, że muszą zostać, czy potępienie, że ich trójka narusza obowiązującą rutynę.

---

<sup>[5]</sup> USO – organizacja zapewniająca programy rozrywkowe amerykańskim siłom zbrojnym.

# ROZDZIAŁ SIÓDMY

## Rzeka

– Gdzie jedziemy? – zapytała Elizabeth.

Siedzący obok niej Frank opuścił szybę i wystawił dłoń na uderzenia wiatru. Guy siedział wzdłuż tylnego siedzenia i opierał się plecami o drzwi. Na obu twarzach gościły szerokie uśmiechy.

– Las Vegas – powiedział Guy.

– Meksyk – odrzekł Frank.

Elizabeth skręciła w Szóstą Aleję i pojechała w kierunku rzeki. Myślała, żeby ich zabrać do kasyna w Red Bluff, ale bała się, że Guy nie będzie w stanie wysiąść z samochodu. Przez dobre pięć minut sadowił się na tylnym siedzeniu i to pod czujnym okiem Amelii, gotowej odwołać wyprawę w razie najmniejszego niepowodzenia. O tej porze roku park nad rzeką wyglądał wyjątkowo pięknie i był doskonałym miejscem, żeby usiąść i porozmawiać.

Frank i Guy gawędzili i co jakiś czas zaczynali chichotać. Żartowali z pielęgniarek i wymieniali się plotkami o innych rezydentach. Guy zaczął naśladować kobietę o imieniu Gladys, ale Elizabeth nie mogła się domyślić, kto to jest. Wciągnął policzki, trzepotał rzęsami i obniżył głos o dwie czy trzy oktawy, żeby oddać brzmienie jej poleceń.

Minęła starą rodzinną farmę Franka, na terenie której powstało osiedle mieszkaniowe. Identyczne budynki z ogromnymi garażami i klinkierowymi dachówkami, które wyglądały na plastikowe. Zaczęła pokazywać to Frankowi, ale zmieniła zdanie i zamiast tego opisała Guyowi, jak wyglądały te ziemie, gdy była młoda i patrzyła z okien Hill House na rosnące tu rzędy drzewek oliwnych.

– Nie lubię oliwek – stwierdził Guy. – Są zbyt słone.

Elizabeth poczuła chłód i zamknęła okna. Frank odwrócił się do Guya i zapytał, czy próbował kiedyś oliwek, które nie były konserwowane w solance. Rzuciła okiem na męża. Takie pytanie zadałby, zanim zachorował na demencję. Teraz rzadko mówił o oliwkach. Zwolniła, żeby skręcić do parku nad rzeką.

– Wszystkich próbowałem – odrzekł Guy i zaczął wymieniać znane mu oliwki. – Nie lubię też oliwy, zawsze wlewa się jej za dużo. Wolę olej rzepakowy, dodaje potrawom odrobinę poślizgu.

Elizabeth zaparkowała samochód i ze zdziwieniem stwierdziła, że parking jest prawie pusty. Było lato i szkolne wakacje. Gdy przychodziła tu z Erin, w parku było mnóstwo dzieciaków rzucających frisbee i biegających za piłką. Teraz nawet na placu zabaw

panowała cisza, żadnego skrzypienia huśtawek czy pisków dzieci zjeżdżających po rozgrzanej od słońca aluminiowej zjeżdżalni.

– Próbowalesz kiedyś oliwy mojej córki? – zapytał Frank. – Robiona jest z oliwek pochodzących ze specjalnych gatunków drzewek, które ojciec Anny przywiózł z Australii.

Elizabeth zapało dech w piersi.

– Kochanie – zwrócił się do niej Frank. – Opowiedz mu o tym. Oliwa Callie ma specjalne właściwości, prawda?

Guy usiadł prosto i nachylił się nad Frankiem.

– Powiedz, co o tym wiesz.

Elizabeth położyła dłoń na ramieniu męża.

– Frank? Czy wiesz, kim jestem?

Zaśmiał się i zanim wysiadł z samochodu, pocałował ją w czoło.

Elizabeth pospieszyła za nim, a potem przypomniała sobie o Guyu. Przekręciła kluczyk i pootwierała wszystkie okna, pospiesznie opowiadając mu o doktorze Hashmim, swoich dzieciach i rzadkich przebłyskach świadomości Franka.

Guy jej przerwał.

– Idź za nim. Nic się nie martw. Widzę stąd rzekę i powietrze pachnie tak słodko. Nie czuć ani odrobiny środków dezynfekujących.

Gdy dogoniła Franka, stał na chodniku biegnącym równoległe do rzeki. Wsunęła dłoń w jego rękę i wtedy zrozumiała, dlaczego park jest pusty. Po miesiącu burz rzeka wezbrała, wylała się z koryta i rozlała po trawnikach, na których nastolatki zwykle rozkładały koce i grały w piłkę. Woda wdarła się na plac zabaw i rozmoczyła grube podłoże z trocin wysypanych pod zabawkami, żeby amortyzować upadki. Parę stojących na parkingu samochodów należało do podróżnych, którzy potrzebowali chwili oddechu. Elizabeth spojrzała przez ramię na Guya i dostrzegła siedzących w samochodach ludzi; z zamkniętymi oczami, opartymi o kierownice głowami lub ze wzrokiem utkwionym w jakimś punkcie na horyzoncie. Zostawiła samochód w głębi parkingu, tak że z tylnego okna rozciągał się widok na rzekę i, odchodząc, widziała za szybą okrągłą jak księżyc twarz Guya, który wpatrywał się w nich zmrużonymi oczyma.

– Muszę porozmawiać z tobą o chłopcach.

– Jak się miewa Callie? Martwię się o nią i o Deb. Kiedy wyjdzie na wolność?

Elizabeth ścisnęła jego dłoń. Chciała powiedzieć mu o tym lecie, o ucieczce Deb, dziecku Erin, planowanej podróży do Australii i niesamowitych wiadomościach o Annie, ale nie mogła tracić czasu. Musiała powiedzieć mu, że Callie jest w końcu szczęśliwa.

– Twoja córka się zakochała. Zachowuje się jak nastolatka, ale to dobry człowiek, owdowiały naukowiec.

– Czy pochodzi z zagranicy? Z Pakistanu? Indii? Poznałem go? – Jego bursztynowe oczy gorączkowo poszukiwały odpowiedzi w jej twarzy. – Nie poznałem, prawda?

Elizabeth starała się go uspokoić.

– Stanowi cześć tego, o czym muszę z tobą porozmawiać. Zrobił nam pewne testy...

– Wszystko w porządku? Masz raka? Umierasz? – Głos Franka stał się wysoki jak głos dziecka.

– Nie. Wręcz przeciwnie. Doktor dał Annie jeszcze trzydzieści lat, a mnie pięćdziesiąt, jeśli będę chciała.

– To jak nowe życie – zauważył Frank.

– On wie o chłopcach. O tym, co zrobiłam, żeby ich mieć.

– Po co ich badał? Wszyscy wiedzą, że mężczyźni nie żyją długo, szczególnie w porównaniu z wami, kobietami Kellerów.

– Bo mają córki. Twój synowie są już dziadkami. – Nie powiedziała tego z myślą, że on nie pamięta, ale dlatego że trudno jej było uwierzyć, że ci rozbrykani chłopcy wyrosli na mężczyzn, a potem stracili włosy i potrzebowali wymiany stawów biodrowych.

– Jeśli są tacy starzy, to chyba są wystarczająco dorośli, żeby dowiedzieć się, że nie jestem ich ojcem.

Elizabeth pragnęła bardziej jednoznacznej odpowiedzi.

– Ależ ty jesteś ich ojcem.

– Niczym nie jestem – powiedział Frank.

Przez chwilę wpatrywali się w wodę. Elizabeth często zastanawiała się, do jakiego stopnia Frank uświadamia sobie swą utratę pamięci. Schylił się i podniósł z chodnika kilka kamieni i parę kawałków betonu, i zaczął wrzucać je do rzeki. Elizabeth poczuła, że z każdym pluśnięciem kamienia w wodę uciekają jej okazje. Położyła dłoń na jego ramieniu, żeby przeszkodzić mu w rzucaniu.

Na jednym tchu zapytała:

– Czy powinnam powiedzieć chłopcom, że nie jesteś ich ojcem?

Wrzucił garść kamieni do wody, a Elizabeth poczuła ich uderzenia w sercu, i ogarnął ją żal, że nie urodził się pięćdziesiąt lat później, kiedy nie musiałby wybierać pomiędzy rodziną a miłością. Nie, to nie było w porządku. Frank ją kochał, tyle że nie była to taka sama miłość jak pomiędzy innymi małżonkami; brakowało pasji, pożądania, pozostawała jedynie rezygnacja.

– Czy Callie sobie z tym poradzi? – zapytał Frank. – Jeśli powiesz chłopcom, ona też musi wiedzieć. Martwię się, że nie będzie mogła tego znieść, zrozumieć. Chociaż może w tej szkole dla stewardes uczą ją, jak być silniejszą.

Elizabeth się uśmiechnęła. Zapomniała, jaki był opiekuńczy w stosunku do Callie,

zanim wyjechała do szkoły. Nie dostrzegając, że to właśnie jego wychowanie i wpływ dały Callie siłę, żeby wyjechać z Kidronu. Gdyby nie wypadek, Elizabeth wiele lat temu powiedziała im o ojcach. Sam Frank by im powiedział i wytłumaczył decyzję swoją i Elizabeth.

– Gorąco tu – powiedział nagle.

Elizabeth pograżyła się w myślach o Callie i chłopcach i nie zareagowała wystarczająco szybko, gdy Frank podwinął nogawki spodni i zrzucił buty, a właściwie kapcie. Jak mogła nie zwrócić uwagi przed wyjściem na to, co miał na nogach? Wszedł do wody.

– Nie! – krzyknęła Elizabeth, wyciągając do niego rękę, ale poszedł głębiej w wodę. Odwrócił się i gestem pokazał, żeby za nim nie szła. W tej samej chwili duża gałąź uderzyła go w nogi, z tyłu pod kolanami. Przewrócił się na plecy, a jego głowa zanurzyła się pod wodą. Elizabeth widziała, jak zaczyna się krztusić.

– Frank! – wrzasnęła.

Usiłował się podnieść. Z pozoru spokojna woda kipiała od silnych prądów. Nurt rzeki porwał go z przybrzeżnej wody i Frank z trudem utrzymywał się na powierzchni.

Za plecami usłyszała krzyk Guya:

– Idź za nim! Idź za nim! O Boże, musisz go wyciągnąć!

– Spróbuj wstać! – darła się Elizabeth do męża. Biegała po chodniku, patrząc, jak on się przewraca i desperacko próbuje stanąć na nogach. Zobaczyła przed nim drzewo, które kiedyś dostarczało cienia graczom we frisbee. – Złap się drzewa!

Elizabeth nie była dobrą pływaczką. Wahala się, szukała czegoś, co mogłaby mu podać. Usłyszała, że Frank ją woła, i zobaczyła, że zdołał chwycić się drzewa i zatrzymać. Był oparty plecami o pień i na wpół siedział, na wpół stał w wodzie. Było zbyt głęboko, żeby mógł usiąść, ale na tyle płytko, że woda sięgała mu jedynie po pachy.

Ponownie usłyszała krzyk Guya, który docierał z bliższej odległości i, odwróciwszy się, dostrzegła, że otworzył drzwi i wyczołgał się na chodnik. Kobieta, która wcześniej siedziała w niebieskim sedanie, szła do nich w telefonem w ręku.

– Mamo. Proszę. Mamo! – płakał Frank.

Demencja wróciła i Elizabeth zastanawiała się, co mógł myśleć, rozglądając się dookoła. Wyglądała jak jego matka, to był jeden z powodów, dla których się z nią ożenił, a teraz, gdy była stara i pomarszczona, wyglądała jak wszystkie matki i babcie.

Weszła do rzeki i poczuła, że woda oblewa jej kostki i wlewa się do adidasów. W butach czuła się bezpieczniej na zalanej przez rzekę śliskiej trawie. Frank nie był daleko od chodnika, ale widziała, że traci siły. Zgubił kapelusz i zobaczyła na jego głowie starcze plamy i poszarpaną bliznę od uderzenia kija, którym wraz z bratem grali w piłkę. Blizna rozciągała się od lewego ucha w stronę szyi, jak zygzak błyskawicy.

– Pomocy! – zawołał.

Elizabeth podeszła do niego na wyciągnięcie ramion, a woda sięgała jej ponad kolana. Prąd rzeki szarpał za spodnie, a z każdym krokiem woda ochlapwała jej twarz. Nie była czysta i Elizabeth zaczęła myśleć o ściekach, zdechłych zwierzętach i węzach.

– Frank, musisz wstać.

Chwycił ją za ramię tak mocno, że wpadła na drzewo. Uczepił się jej i czuła, że zaczyna tracić równowagę. Wokół pnia woda płynęła dużo szybciej i popychała Elizabeth. Frank obsunął się do tyłu i jego głowa znów znalazła się pod wodą. Schyliła się, chwyciła go za koszulę i desperacko ciągnęła do siebie. Cofnęła się o krok, żeby łatwiej go było ciągnąć, i prąd podciął jej nogi. Zdażyła jeszcze zobaczyć wypełnione strachem niebieskie oczy Franka pod wodą. Miał otwarte usta i wtedy zrozumiała, że on nie przeżyje.

Woda była zimna. Elizabeth pomyślała, że powinna panikować, machać rękami i wzywać pomocy, ale nie miała na to energii. Uświadomiła sobie, że chciałaby utonąć, dołączyć do Franka na dnie rzeki. Miała dość sekretów, dość życia. Już się nażyła. Osiemdziesiąt dziewięć lat to chyba wystarczająco długo? Woda rzuciła jej rękę o głaz i przeszył ją spazm bólu. Krzyknęła i do ust wpadł jej haust wody o smaku starej ryby. Poczuela, że jej koszula zaczepia się o wciśniętą pomiędzy skały gałąź, i stanęła w miejscu.

Na tym odcinku rzeki powietrze pachniało dymem. Zdała sobie sprawę, że spłynęła parę mil w dół od Woodson Bridge, w miejsce, gdzie farmerzy wypalali ściernisko po zbiorach ryżu. Dym wisiał nisko nad brzegami rzeki i nie widziała, czy ktoś spieszy jej z pomocą. Zastanawiała się, czy Guy widział, że porwała ją woda i czy tamtej kobiecie udało się zadzwonić po pomoc. Rzeka huczała, jakby Elizabeth stała pod wodospadem, i wydawało jej się, że słyszy głosy dochodzące z brzegu lub jakiejś łodzi. Szum wirów wodnych. Mężczyznę mówiącego o pniach i mieliźnie albo może płacz kobiety, przypomniawszy sobie słowa Mims, że ziemia nie należy do rodziny, dopóki nie pochowa się w niej swoich zmarłych.

Oparta o gałąź, w kłębiącej się wokół wodzie, spojrzała w niebo. Rzeka płynęła dużo szybciej niż zwykle cztery mile na godzinę i, patrząc na drzewa i żwir, Elizabeth wiedziała, że zbliżała się do Foster Island. Ponad nią przeleciał rybołów z gałązką w pazurach. Z nastroszonymi brązowo-białymi piórami leciał, unoszony prądami powietrznymi, z rozwianym białym krzyżem na brzuchu i lotkami rozpostartymi na końcach skrzydeł niczym palce. Zamknęła oczy, wystawiła twarz do słońca i rozluźniła wszystkie mięśnie. Woda, która rozbijała się o napięte ciało, teraz przekreśliła ją na brzuch. Elizabeth usiłowała podnieść głowę i złapać oddech, ale woda płynęła zbyt szybko, a ona leżała pod takim kątem, że trudno było się jej poruszyć. Przestała walczyć i otworzyła oczy, jednak woda była zbyt mętna i pełna mułu, żeby dało się dojrzeć dno.



# Keller, 1 sierpnia 2017 roku

Jestem zbyt duży na opowieści na dobranoc, ale każdej nocy, gdy matka siada na brzegu łóżka mojej siostry i przywołuje mnie, idę do jej pokoju. Kiedy jest zimno, przychodzę otulony w koce, a gdy suche pustynne wiatry ogrzewają dolinę, kładę się na drewnianej podłodze i chłonę jej chłód. Mieszkamy w starym domu na wzgórzu, a z okien mojej sypialni rozciąga się widok na gaj oliwny posadzony przez mojego prapraprapradziadka.

Początek każdej opowieści jest zawsze taki sam. „Była sobie ciekawska dziewczynka, która mieszkała w ciekawym miejscu. Miała tylu przyjaciół, ilu potrafi zliczyć dziewczynka w jej wieku, ale jej najbliższym towarzyszem był żółw, który twierdził, że jest tak stary jak ziemia, chociaż w rzeczywistości żył tylko sto siedemdziesiąt dwa lata. Żółw nie miał imienia i dziewczynka, która miała imię, ale woli być nazywana Dziewczynką, nazywała go po prostu Żółwiem”.

Moja czteroletnia siostra często domaga się, żeby Dziewczynka miała normalne imię, zwykle Athena, bo to imię mojej siostry. Mama nigdy się nie zgadza i uparcie nazywa dziewczynkę „Dziewczynką”, a żółwia „Żółwiem”. Wszystkie kobiety w naszej rodzinie są nadzwyczaj uparte. „Takie jest opowiadanie”, tłumaczy mama siostrze i delikatnie poklepuje ją przez kołdrę. Dzisiaj moja siostra powstrzymuje się przed ulepszeniem opowieści. Myślę, że to dlatego, że w pokoju z nami jest Anna.

Wszyscy wiemy, że Anna, która jest moją – o dziwo jeszcze żyjącą – prapraprababcią, to dziewczynka z opowieści. Ma dziś sto dwadzieścia dwa lata i sto sześćdziesiąt pięć dni. Zwykle nikt nie liczy ludziom dni, ale dzisiaj Anna pobiła rekord. Żyje dłużej niż jakakolwiek inna osoba na ziemi. Przynajmniej według dostępnych dokumentów. Mój przyjaciel Jim, który jest ode mnie szybszy na krótkich dystansach, mówi, że Matuzalem żył dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć lat, ale powiedziałem mu, że to się nie liczy, bo nikt nie może tego udowodnić. Widziałem, że miał ochotę mnie uderzyć za to, że powiedziałem, iż to, czego nauczył się w szkółce niedzielnej, jest nieprawdą, ale zamiast tego wyzwał mnie na bieg i z wielką satysfakcją wygrał o całe dwie sekundy.

Niektóre opowieści są pełne przygód, inne pełne głupot, ale dzisiejsza historia jest smutna. Słyszałem ją tylko raz, gdy byłem młodszy od Atheny, i jedyne, co pamiętam, to że Żółw umiera. Chyba zdradziłem zakończenie, ale to nie ma znaczenia, bo gdy okazało się, że magiczny świat, w którym istnieje tylko Żółw i Dziewczynka, ma kres, wszystkie opowieści stały się dla mnie ciekawsze. Wszystkie zwierzęta będące najlepszymi towarzyszami ludzi umierają. Billy stracił Old Dana i Little Ann, Travis musi zastrzelić

Starego Szczekacza i nawet jeśli Wilbur uniknął przemiany w bekon, musiał pożegnać się z Charlotte.

Głos mojej mamy jest jak ocean zamknięty w muszli. Ludzie płacą dużo pieniędzy, żeby posłuchać, jak śpiewa w tych wszystkich obcych językach, ale jej głos najlepiej brzmi po angielsku, a kiedy opowiada historie, słowa wydają się płynąć do twoich uszu wprost z wnętrza twojego ciała. Muszle też tak potrafią. W zeszłym roku nauczyciel powiedział nam, że dźwięk wewnątrz muszli to nic innego jak wzmocnienie wszystkich dźwięków naszego ciała, których normalnie nie słyszymy – krwi płynącej w żyłach i bicia serca. W każdym razie tak właśnie brzmi moja mama, gdy opowiada nam historie.

„Żółw był jedyną rodziną dla dziewczynki. Powiedział jej, że przyszła na świat w jednym z tych ogromnych miedzianych kotłów, w których kobiety z wioski piorą ubrania. Wyszła z niego pewnego wieczoru, gdy Żółw przechodził z wysokich traw do wilgotnych rowów pozostawionych przez kotły. W zimne noce Żółw miał zwyczaj sypiać w owych błotnistych zagłębieniach”.

Babcia Anna wyciąga rękę i klepie mamę po ramieniu.

– Ten Żółw nie słyszał zbyt dobrze – mówi, przerywając mamie. – Dlatego zauważył Dziewczynkę dopiero, gdy przed nim stanęła. I nie zapomnij opowiedzieć im o kwiatach hibiskusa.

Wcześniej do domu przyjechały dziesiątki reporterów i wszyscy chcieli porozmawiać z babcią Anną i spytać, co myśli o dzisiejszym świecie. Nazywali ją babcią ludzkości. Powiedziała im, że mimo iż wiele rzeczy się zmieniło, ludzie zawsze byli tacy sami, i że czas jest iluzją, którą sobie stwarzamy, żeby wszystko w naszym życiu nie zdarzało się naraz.

– Po prostu potrafię lepiej rozciągnąć moją iluzję – powiedziała, wywołując burzę oklasków.

Mama nachyla się i całuje Annę w policzek. Ponieważ nasi rodzice tak dużo podróżują, Anna pomaga się nami opiekować. Właśnie teraz mój tata jest w Niemczech, gdzie reżyseruje przedstawienie *Alcyna* dla Opery Drezdeńskiej. Wyjeżdżają na zmianę, chociaż ostatnio taty nie było częściej niż mamy. Myślę, że to dlatego, że mama nie wie, ile jeszcze zostało jej czasu z babcią Anną. Inne babcie również się martwią. Babcia Callie i jej mąż, dziadek Amrit, który nie jest tak naprawdę moim dziadkiem, przyjechali świętować jubileusz Anny, ale musieli już wrócić do Pittsburgha z powodu badań dziadka.

Mama zaczyna od momentu, w którym przerwała jej babcia, i opowiada mojej siostrze o pewnym szczególnym dniu, kiedy „Dziewczynka karmi Żółwia kwiatami hibiskusa i opowiada o mężczyźnie, którego widziała w mieście. Ponieważ Dziewczynka nie ma mamy ani taty, siada na nabrzeżu w pobliżu rynku rybnego na wschodnich obrzeżach

miasta, gdy Żółw ucina sobie popołudniową drzemkę, i wpatruje się w twarze przechodzących dorosłych.

– Miał złote oczy – mówi Dziewczynka.

– Znam tylko jedną osobę o złotych oczach – odpowiada Żółw.

Dziewczynka patrzy na niego i powoli mruga”.

Athena staje na łóżku i zaczyna krzyczeć.

– Dziewczynka. To Dziewczynka. To ona ma złote oczy.

– Cieszę się, że pamiętasz – mówi babcia Anna i układa Athenę pod kołdrą.

Mama spogląda na mnie, jakby pytała, czy sądzę, że Athena jest wystarczająco duża, aby usłyszeć dalszy ciąg historii. Podnoszę się z zimnej podłogi i siadam z podkulonymi pod brodę kolanami. Mama uznaje to za odpowiedź twierdzącą i opowiada dalej.

„Przez wiele dni Dziewczynka i Żółw obserwowali mężczyznę. Wyglądało na to, że przygotowuje się do opuszczenia miasteczka. Do jego ukrytego w gąszczu zieleni domu przyszli inni mężczyźni i wynieśli wszystkie jego rzeczy na statek. W domu zawsze krzątała się kobieta, której Dziewczynka nigdy nie mogła się dokładnie przyjrzeć, i starszy od Dziewczynki chłopiec, który ze smutkiem obserwował ojca z okna. Im dłużej Dziewczynka patrzyła na mężczyznę o złotych oczach, tym bardziej wierzyła, że to jej ojciec.

– On obiera banany od dołu – mówi do Żółwia.

– I żuje gałązki bunya – dodaje Żółw. Długo ganił ją za ten zwyczaj, myśląc, że przez to wypadają jej zęby. Ponieważ był Żółwiem, nie wiedział, że dzieci mają mleczaki.

Trzeciego dnia kobieta i chłopiec wyszli z domu wraz z mężczyzną i poszli na statek, gdzie znajdował się ich cały dobytek”.

– Nie zapomnij o bliźniaczkach – wtrąca Anna, gdy matka bierze oddech.

– Ach tak. „Były tam również dwie dziewczynki, które wyglądały dokładnie tak samo, tyle że jedna miała blond włosy, a druga rude. Były mniej więcej w tym samym wieku, co Dziewczynka, i widząc je w identycznych niebieskich sukienkach, Dziewczynka poczuła smutek. Żółw dostrzegł łzy w oczach Dziewczynki i powiedział jej, że najpiękniejsze sukienki robi się z liści eukaliptusa.

– Jeśli odjedzie, nie dowiem się, czy jest moim ojcem – powiedziała Dziewczynka.

Dalej obserwowali statek, a Żółw zrobił się bardzo głodny i pomyślał, że Dziewczynka powinna przynajmniej przynieść mu parę liści hibiskusa. W tym momencie na statku podniosły się ogromne białe żagle, zmieniając wrzecionowate uschłe drzewa w majestatyczne iglice podtrzymujące chmury.

Żółw, który wie więcej niż Dziewczynka, uświadamia sobie, że mężczyzna i jego rodzina nigdy już tu nie wrócą. Nie chce jednak powiedzieć tego Dziewczynce, bo obawia

się, co ona może zrobić. W głębi serca rozumie, że żółw nie jest odpowiednią rodziną dla dziewczynki, ale kocha ją i lubi kwiaty hibiskusa, których sam nie może dosięgnąć.

– Myślisz, że on wie, że ma córkę? – spytała Dziewczynka.

– Statek zaczyna się poruszać.

– Nie może teraz wyjechać.

Dziewczynka rozgląda się w panice po porcie, aż jej wzrok pada na Żółwia. Wie, że Żółw nie umie dobrze pływać, ale widziała, jak unosi się na wodzie w kotłach do prania. Nie musi nawet prosić. Żółw podchodzi do wody, w mgnieniu oka jest już w oceanie i macha głową, żeby wsiadała na jego ogromny pancerz”.

– Skorupa – podpowiadam siostrze, widząc, że jest tak samo zdezorientowana jak ja, gdy po raz pierwszy usłyszałem to słowo.

– Uda się jej? – pyta mnie Athena, bo doskonale wie, że mama nie zdradzi zakończenia historii.

– Poczekaj, to się dowiesz – mówię.

– Babcia Deb też nie mogła spokojnie poczekać – stwierdza babcia Anna z kąta pokoju. – Zawsze chciała od razu poznać zakończenie. Miała zwyczaj od razu czytać ostatnią stronę książki, żeby tylko zobaczyć, co ją czeka.

Tylko raz widziałem babcię Deb. Mieszka na Florydzie i pracuje w miejscu, gdzie można pływać z delfinami. Pojechaliśmy tam, gdy miałem sześć lat, po tym jak mama i tata wreszcie wzięli ślub. Ale musieliśmy udawać, że nie wiemy, kim ona jest, a na jej plakietce widniało imię LORNA. Rozdawała i zbierała piankowe kostiumy, które nosiliśmy w wodzie.

– Ciii – mówi mama. Jest późno i mimo że Athena ma szeroko otwarte oczy, reszta jej ciała znajduje się u progu snu.

– Co stało się dalej? – pyta Athena.

„Wiosłując rękami, Dziewczynka podpłynęła na Żółwiu do statku. Zajęło im to wiele godzin, ale w końcu zbliżyli się na tyle, że mogła złapać wiszącą przy burcie drabinkę. Sięgnęła do wody i próbowała wciągnąć ze sobą żółwia, ale była zbyt słaba, żeby go podnieść, a jego nogi były zbyt krótkie, by mógł wejść na drabinkę.

– Prąd zabierze mnie z powrotem na ląd – powiedział Żółw. Miał zamknięte oczy, a jego głowa ledwie wystawała z wody.

– Nie mogę cię tak zostawić. – Jeszcze nigdy nie widziała, żeby jej przyjaciel był tak zmęczony.

– Pocałuj mnie w nos. To zapewni ci szczęście i życie tak długie, że będziemy mogli ponownie się spotkać.

Trzymając się jedną ręką drabinki, Dziewczynka pochyliła się i pocałowała Żółwia

w nosek. Nigdy wcześniej tego nie robiła i była zaskoczona, jak miękka była jego skóra. Dotknęli się nosami, a potem Żółw ją pocałował. Wdrapała się po drabince, a gdy doszła do pokładu, zaczęła rozglądać się za Żółwiem. W ciemniejącym oceanie każda fala wydawała się być skorupą Żółwia. Widziała go wszędzie i nigdzie, a gdy w końcu zaszło słońce, odwróciła się od oceanu i poszła na poszukiwanie ojca”.

– Koniec? – pyta Athena z zamkniętymi oczami.

– Koniec – odpowiada mama, podnosząc się i całując czubek głowy mojej siostry.

Biorę babcię Annę za rękę i gdy wychodzimy razem z pokoju, babcia mówi:

– Wiesz, ciągle szukam tego Żółwia.

# Podziękowania

Gdy miałam osiemnaście lat, wytatuowałam sobie gęsie pióro, które miało mi przypominać, że jestem pisarką. Tatuaz nie działał, ale za to przypomniał mi o tym mój mąż. Nie tylko wierzył, że zdołam napisać książkę, ale zabierał dzieci do kina, do parku, na rower w sobotnie popołudnia, żebym mogła skoncentrować się na pisaniu tej książki.

Kiedy skończyłam trzydzieści lat, za sprawą przypadku i Richarda Bauscha znalazłam się w grupie pisarzy, którzy nie mieli ze sobą nic wspólnego poza pragnieniem doskonalenia warsztatu pisarskiego. Przez całą zimę omawialiśmy nasze prace i pobieraliśmy u Richarda lekcje pisarstwa. Do dziś spotykam się z tymi wspaniałymi pisarzami, którzy swoim humorem, uczciwą krytyką i wiarą pomogli mi przetrwać niejedną zimę. Podziękowania dla Beverly, Davida, Elizabeth, Jerry'ego, Lisy, Marjorie, Patti i Raya.

Studenci i wykładowcy z programu sztuk pięknych uniwersytetu w Memphis są niezwykle utalentowani i uczynni. Bez ich wskazówek, pomocy (i uczciwej konkurencji) książka ta byłaby zaledwie opowiadaniem o starej kobiecie, ciężarnej kobiecie i o żółwiu. Podziękowania dla Toma Russella za to, że pomógł mi zacząć pisać tę powieść podczas swoich warsztatów, i dla Cary Holladay za to, że była najwspanialszym promotorem. Cary jest także genialną pisarką, która ofiarowała mi swój czas.

Podziękowania dla mojej agentki, Alexandry Machinist, która mnie znalazła, walczyła o mnie i pozwoliła mi uwierzyć, że marzenia mogą się spełnić. Wraz ze Stephanie Koven przeprowadziły mnie niemal za rączkę przez wszystkie zawiłości, przez które musi przejść ktoś, kto ma wydać książkę.

Nie ma na świecie lepszego redaktora niż Carrie Feron. Zaopiekowała się moją książką i pokazała mi, co muszę dopracować. Bez jej bezcennych uwag na temat bohaterek powieść wiele by straciła. Współpraca z zespołem wydawnictwa William Morrow jest jak marzenie: podziękowania dla Tavii Kowalchuk, Shawna Nichollsa, Bena Brutona, Lynn Grady, Liate Stehlik, Mike'a Brennana, Briana Grogana i Andrei Molitor. Szczególnie dziękuję Tessie Woodward – za to, że wiedziała, czego potrzebuję, zanim zdażyłam o to poprosić.

Wreszcie podziękowania dla mojej własnej nieprzerwanej linii kobiet, szczególnie dla mojej mamy i babć. Żyję w otoczeniu silnych, skomplikowanych, interesujących kobiet, które mają do opowiedzenia więcej historii, niż kiedykolwiek będę w stanie napisać.

# **Sekret Drzewa Oliwnego**

**Spis treści**

## Okładka



# Karta tytułowa

## Dedykacja

## Motto

\*\*\*

## CZĘŚĆ PIERWSZA Pierwsze pokolenie Anna jesienią

# ROZDZIAŁ PIERWSZY Przyjazd

## ROZDZIAŁ DRUGI Erin

## ROZDZIAŁ TRZECI Kidron

## ROZDZIAŁ CZWARTY Superstulatka



## ROZDZIAŁ PIĄTY Violet

## ROZDZIAŁ SZÓSTY Jedna na siedem milionów

## ROZDZIAŁ SIÓDMY Załączki

ROZDZIAŁ ÓSMY Szóste pokolenie  
CZEŚĆ DRUGA Piąte pokolenie Erin zimą

## ROZDZIAŁ PIERWSZY Fryzura

## ROZDZIAŁ DRUGI Chowchilla

## ROZDZIAŁ TRZECI Więzienna pieśń





## ROZDZIAŁ PIĄTY Historia Deb

## ROZDZIAŁ SZÓSTY W co wierzyła Erin

ROZDZIAŁ SIÓDMY Występ Erin

CZEŚĆ TRZECIA Czwarte pokolenie Deborah wiosną

## ROZDZIAŁ PIERWSZY Wolność

## ROZDZIAŁ DRUGI Wybory

## ROZDZIAŁ TRZECI Wzorowa obywatelka

## ROZDZIAŁ CZWARTY Rodzina

## ROZDZIAŁ PIĄTY Głupcy



## ROZDZIAŁ SZÓSTY Matka i dziecko

## ROZDZIAŁ SIÓDMY Przyjazdy i odjazdy

FRAGMENTY KORESPONDENCJI E-MAILOWEJ POMIĘDZY CALLIOPE

A AMRITEM

CZEŚĆ CZWARTA Trzecie pokolenie Calliope latem

## ROZDZIAŁ PIERWSZY Jedyna ocalała

## ROZDZIAŁ DRUGI Początki

## ROZDZIAŁ TRZECI Frank

## ROZDZIAŁ CZWARTY Sklep

## ROZDZIAŁ PIĄTY Dowód



## ROZDZIAŁ SZÓSTY Niepodległość

## ROZDZIAŁ SIÓDMY Kochankowie

## ROZDZIAŁ ÓSMY Bets

### CZEŚĆ PIĄTA Drugie pokolenie Bets pod koniec lata

## ROZDZIAŁ PIERWSZY Zaufanie

## ROZDZIAŁ DRUGI Bunyip

## ROZDZIAŁ TRZECI Odkrycie

## ROZDZIAŁ CZWARTY Wyjazd

## ROZDZIAŁ PIĄTY Grzech



## ROZDZIAŁ SZÓSTY Szczepienie

## ROZDZIAŁ SIÓDMY Rzeka

Keller, 1 sierpnia 2017 roku

## Podziękowania

## Karta redakcyjna

Tytuł oryginału  
THE ROOTS OF THE OLIVE TREE

Redakcja  
*Maria Wirchanowska*  
*Justyna Żebrowska*

Korekta  
*Jadwiga Piller*  
*Elżbieta Jaroszuć*

Copyright © 2012 by Courtney Miller Santo  
Copyright © for the translation by Małgorzata Miłosz, 2013  
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2013

Wielka Litera Sp. z o.o.  
ul. Kosiarzy 37/53  
02-953 Warszawa  
ISBN 978-83-63387-43-3



Odwiedź  
nas na 



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: [kontakt@elib.pl](mailto:kontakt@elib.pl)

[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)